



SEMPER FIDELIS

PL ISSN 0866-9414

LISTOPAD - GRUDZIEŃ 6 (71) 2002

PISMO TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW LWOWA I KRESÓW POŁUDNIOWO-WSCHODNICH • WROCŁAW



Benedictio in die natalis domini.

Spis treści

Życzenia świąteczne i noworoczne	1
Jerzy Masior – Na pasterkę – wiersz	1
Danuta Śliwińska – Boże Narodzenie – Święta Rodzinne	1
Beata Kopyt, T. SE. – Andrzej Przewoźnik – strażnik narodowej pamięci (Przedruk z „Rzeczpospolitej”)	4
Zbigniew Berling – Spotkanie z Premierem	6
Zbigniew Małyszczyczyk – Nie bagatelizujemy zagrożeń (Przedruk z „Nowej Myśli Polskiej”)	7
Joanna i Anna Hotała – Hugon Steinhaus – twórca lwowskiej i wrocławskiej szkoły matematycznej	8
Stefania Kowalińska – Wspomnienie o Księdzu Januszu	9
Marian Hemar – Strofy lwowskie – wiersz	11
Marek Białokur – Joachim Bartoszewicz we Lwowie	11
Antoni Mieczysław Dancewicz – Chodorów. Opowieść o losach miasta i jego mieszkańców	14
Anna Cieplewicz – Młodzieżowe spotkanie	19
Mieczysław Kowal – Pomoc Fundacji L. Radłowskiego	20
Zbigniew Umański – Dni Lwowa i Kresów w Warszawie	21
WCZORAJ – DZIŚ – JUTRO	
Zbigniew Umański – Kronika Kresowa	22
Jerzy Julian Szewczyński – W 63-cią rocznicę powstania Polskiego Państwa Podziemnego	25
Piotr Franków – Dzień Niepodległości w Gorzowie Wlkp.	27
Natalia Koczan (Kijów) – Przyczynek do problemu porozumienia i pogodzenia ukraińsko-polskiego.	
Płasczyzna kościelna (II)	29
Piotr Franków – Tych ofiar nie możemy zapomnieć	32
Tadeusz Łodziana – Państwowy Instytut Sztuk Plastycznych we Lwowie 1937-1943 – wspomnienia	33
Bolesław Nagay – Była taka klasa	38
Ewa i Janusz Błaszczuk – Historia zwykłej damskiej parasolki	39
Marta Świetlicka – Wspomnienia sercem pisane	39
Jerzy Masior – Łyczakowska 55 – wiersz	41
Jerzy Masior – Najpiękniejsza dzielnica	41
Danuta Nespiak – Lwowska optyka Jacka Kuronia	44
Mieczysław Kowal – Msza św. za Kresowian w Rzeszowie	45
Alfred Janicki – W Żarach mamy przyjaciół	46
Danuta Koziółowa – Rudolf Stefan Weigl – 55 rocznica śmierci	47
Idzi Martynowicz – Wspomnienia o tajnym nauczaniu w Złoczowie	48
Piotr Marek Stański – Bracia Mokłowscy: Kazimierz i Tadeusz	49
Z ŻAŁOBNEJ KARTY	
Śp. Jacek Dębicki	50
Śp. Zdzisław Naja	51
Śp. Tadeusz Lewicki	51
Śp. Zbigniew Stójkiewicz	51
Wspomnienie o profesorze dr. hab. Stanie Schellerze	51

Na okładce: Boże Narodzenie – Pontyfikat Karola VIII, poł. XV w., miniatura, biblioteka w Watykanie.

Pismo finansowane przez Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa.

Redaktor naczelny: Andrzej KAMINSKI
 Redaguje Kolegium: Danuta NESPIAK, Jerzy PETRYŃSKI, Danuta ŚLIWIŃSKA, Zbigniew UMAŃSKI.
 Właściciel tytułu i adres redakcji: Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, 50-079 Wrocław, ul. Rуска 32/33, tel./fax 344-88-93; konto bankowe PKO-BP IV O/Wrocław Nr 10205255-99192-270-1-111

Materiałów nie zamawianych redakcja nie zwraca. W publikowanych tekstach zastrzegamy sobie prawo dokonywania skrótów, zmian tytułów oraz poprawek stylistyczno-językowych. Nie płacimy honorariów autorskich.

Z okazji Świąt Bożego Narodzenia i Nowego 2003 Roku składamy najserdeczniejsze życzenia pomysłności, spełnienia zamiarów i pragnień oraz osobistego szczęścia.

Niech Nowy Rok będzie rokiem pokoju, radości i nadziei na lepszą przyszłość w naszych domach, w regionie i Ojczyźnie.

Jerzy Masior

Na pasterkę

*Dla kogo ta noc
 po tylu latach
 nawet jej nie oczekuję
 już nie potrafię
 brak mi sił
 bo skąd wziąć
 garść śniegu łyżakowskiego
 na pasterkę u św. Antoniego.
 Nie udało się wywieźć
 jodełki z winnickiego lasu
 nie udało się tyle rzeczy
 tylko Gloria in Excelsis
 jest zawsze
 powtarza się
 lśni Gwiazdą
 ze wszystkimi chmurami.*

*Nie jesteśmy zwykłymi wędrowcami –
 my z ziemi lwowskiej
 do ziemi lwowskiej.*

Nowy Sącz, grudzień 2002



Wesołych Świąt

Danuta Śliwińska

Boże Narodzenie – Święta Rodzinne

Święta Bożego Narodzenia – jak żadne inne, najchętniej spędzamy w domu, w gronie najbliższej rodziny. Przed samymi świątami – w okresie zadumy i refleksji czekamy z niecierpliwością na te dni – kojarzą się one z bliskością rodziny i ciepłem domowego ogniska, innym z bolesną samotnością – oddaleniem od miejsca szczęśliwego dzieciństwa.

W miarę zbliżania się świąt rośnie radość związana z tymi najpiękniejszymi chwilami w roku, staramy się najlepiej przygotować do tych dni. Chyba nie ma ważniejszej, bardziej znanej tradycji świętowania, łączącej rodziny, a również prawie wszystkich ludzi na świecie,

od tradycji Bożonarodzeniowej, piękne obrzędy, zwyczaję od wieków przekazywane są następnym pokoleniom. Boże Narodzenie kojarzy się nam: z białym śniegiem, białym obrusem, białym opłatkiem i drzewkiem, bez którego nie można sobie wyobrazić świąt. Pięknie udekorowane wprowadza do domu uroczysty nastrój, a drobiazgi, którymi ozdabiamy całe mieszkanie, tworzą niepowtarzalny klimat.

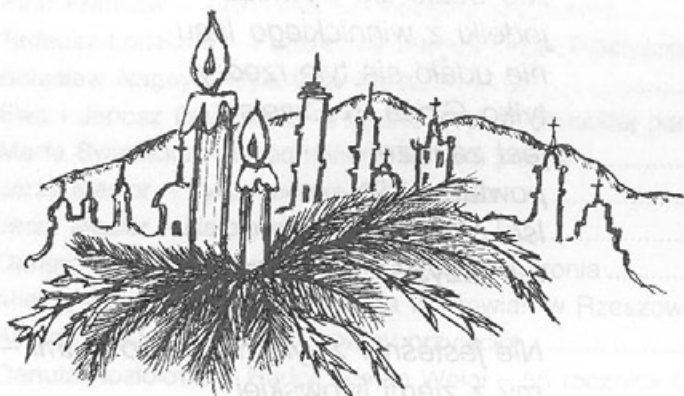
W ten wyjątkowy wieczór – kiedy pierwsza gwiazdka zabłyśnie na granatowym niebie (a przyświecała trzem królom, zmierzającym do Betlejem) – zasiadamy do uroczystej wieczerzy całymi rodzinami. Kolacji wigilijnej

zawsze towarzyszy wyjątkowa atmosfera, niezależnie od tego, czy obchodzona jest w kraju, czy u naszych rodaków za wschodnią granicą.

Dzielimy się oplatkiem, symbolem wspólnoty, miłości i zgody. To czas przebaczenia i dobrych życzeń, czas, kiedy myślą biegniemy na dalekie Kresy.

To również czas dobrych smaków, których wspomnienie pozostaje nam na całe życie. Bo nigdzie już potem w życiu nie zje się takiego smacznego barszczu z uszkami, nie zje takich wspaniałych ryb i gołąbków jak te, które przyrządzała matka. Ale nawet skromniejsza wieczerza smakuje inaczej, jak spożywana jest w serdecznej rodzinnej atmosferze, atmosferze wzajemnego zrozumienia i dobroci. Po kolacji – przychodzi czas na śpiewanie kolęd, oglądanie upominków, które tyle radości sprawiają dzieciom, na nacieszenie się sobą, na rozmowy między bliskimi, których brakuje w codziennym, zabieganym życiu.

A później Pasterka, nocna msza św. o niezwykłym uroku. Sprawiają to melodie starych kolęd, towarzyszące nam od dzieciństwa oraz odświeżony nastrój kościołów, w których królują kolorowe szopki. Na Pasterkę idziemy – poza najstarszymi i najmłodszymi – i tu w kraju, i tam we Lwowie, Stanisławowie, Tarnopolu, Kamieńcu Podolskim, Drohobycz, Truskawcu..., a także w Wilnie, Turgielach, Grodnie, Wołkowyskach.



Kolęda Maryli Wolskiej

Byli i odeszli do siebie
Mądre Trzy Króle obce,
Po aniołach opuszczona gręda,
Ojciec i Matka już w niebie.
Przy Dziecku w szopce
Została polska kolęda.
I prędzej Bóg słońce odwoła,
I prędzej świat się odstanie
Niż ona odbiec zdoła
To zawiniątko na sianie...

Po Pasterce wracamy do domów ciepłych, przytulnych, w których unoszą się zapachy świeżego drzewka i upieczonych ciast, do domów, w których rodzina chce być razem.

Pamiętajmy, aby w te święta – wszystkie rodziny się odnalazły, aby nikt nie został sam w tej jedynej, najbardziej rodzinny wieczór w roku. Wspólne przeżycia w rodzinie – są fundamentem bezpieczeństwa. Tradycja łączy ludzi, rodziny i narody. Z tradycji czerpiemy

ogromną część naszej tożsamości, łączy ona nas żyjących z przeszłymi pokoleniami, naszymi rodzicami, dziadkami, pradiadkami... Tradycyjne obrzędy, zwyczaje, przenosimy na następne pokolenia, żeby nasze dzieci i wnuki wspominały po latach rodzinne, pełne miłości, czułości święta oraz przekazywały z kolei swoim następcom nasze obyczaje związane z tymi najpiękniejszymi świętami.

Wracając do wieczerzy – tak jak co roku najważniejsze miejsce na stole wigilijnym zajmą dania z ryb, a wszystkie świąteczne wypieki będą nęcily makiem, orzechami, bakaliami.

W gronie rodzinnym będziemy spożywać dania, których przepisy przekazywane są w naszych domach z pokolenia na pokolenie. Ja również Państwu przekazuję receptury na dania wigilijne mojego domu rodzinnego. W poprzednich latach, poczynawszy od 1993 r., w „Semper Fidelis” podawałam przepisy na potrawy najbardziej popularne, te, których nie mogło zabraknąć na lwowskim stole świątecznym.

Dzisiaj podaję dalszy ciąg potraw wigilijnych.

1. Śledzik na przystawkę

Składniki: 8 filetów śledziowych, 1/2 l mleka, 2 ugotowane na twardo jajka, 1 1/2 łyżeczki musztardy francuskiej, 1 cebula sałatkowa, 1 jabłko, oliwka, 3 łyżki soku z cytryny, sól, cukier, natka pietruszki, 3 ziarna ziela angielskiego, 1 listek laurowy.

Przygotowanie: filety moczymy w mleku ok. 6 godzin. Następnie wewnętrzną stronę smarujemy pastą z rozartych żółtek, musztardy francuskiej i 1/2 cebuli startej na tarce. Ciasno zwijamy, spinamy wykałaczką i układamy w słoju. Zalewamy sosem wykonanym z tartego jabłka, startej na tarce 1/2 cebuli, trzech łyżek soku z cytryny, oliwki, soli i cukru do smaku, 1 listka laurowego i 3 ziaren ziela angielskiego. Po 10-12 godzinach możemy podawać do stołu, dekorujemy natką pietruszki i pokrojonymi białkami z ugotowanych jajek.

2. Zupa śliwkowa

Składniki: 80 dkg śliwek suszonych, 1/2 szklanki cukru, 3 goździki, mały kawałek cynamonu, 3 łyżki soku z cytryny, szklanka śmietanki, grzanki ze słodkiej bułki, woda.

Przygotowanie: umyte śliwki gotujemy w 2-ch szklankach wody do miękkości. Po schłodzeniu przecinamy na połowę, wyjmujemy pestki i całość przecieramy przez sito. Do przetartych śliwek wlewamy wodę, w której się gotowały oraz 3 szklanki wody, 3 łyżki soku z cytryny, wkładamy goździki, cynamon, wysypujemy cukier i zagotowujemy. Po schłodzeniu – precedzamy, podprawiamy śmietanką. Zupę tę podajemy na chłodno, a osobno grzanki z bułki.

3. Karp po królewsku

Składniki: 1 karp ok. 1,5 kg, 3 marchewki, 2 pietruszki, 1 por, 1 seler, 2 cebule, mały listek laurowy, 5 ziaren ziela angielskiego, 5 ziaren pieprzu tureckiego, szklanka białego wina, 20 dkg małych pieczarek, 2 łyżki masła, 2 żółtka, 2 łyżki posiekanej zielonej pietruszki, puszka zielonego groszku, sól, tymianek, pieprz, brokuły, fasolka zielona szparagowa (z puszek).

Przygotowane: w litrze wody gotujemy jarzyny, 1 cebulę – pokrojoną, korzenie, odpadki z karpia, lekko solimy. Smaku powinno być 3/4 litra. Po odciedzeniu i schłodzeniu – wlewamy płyn do podłużnego naczynia (może być biała blacha) – wkładamy oczyszczonego karpia – posolonego i posypanego niewielką ilością tymianku, wlewamy szklankę wina i gotujemy pod przykryciem na małym ogniu ok. 30 minut.

Oddzielnie oczyścimy pieczarki, wkładamy do startej na tarce 1 cebuli, zeszkłonej na maśle, dusimy na małym ogniu, ok. 10 minut. Solimy i pieprzymy do smaku. Szklankę płynu spod karpia wlewamy do pieczarek. Zagotowujemy, wysypujemy zieloną pietruszkę i podprawiamy sos dwoma żółtkami.

Rybę na półmisku – obkładamy ugotowanymi w osolonej wodzie brokułami i podgrzany z puszek zieloną fasolką i zielonym groszkiem (można też ugotować fasolkę i groszek z mrożonek). Polewamy rybę sosem z pieczarkami.

4. Szczupak w sosie chrzanowym

Składniki: 1 szczupak ok. 1,2 kg, 3 marchewki, 2 pietruszki, 1 por, 1 seler, 2 cebule, 1/2 listka laurowego, 5 ziaren ziela angielskiego, 5 ziaren pieprzu tureckiego. Sos: 2 łyżki startego chrzanu świeżego (lub ew. ze słoiczka na kwasu cytrynowym), 2 łyżki soku z cytryny, 3/4 szklanki śmietany, 1 łyżeczka masła, 1 jajko ugotowane na twardo, sól, cukier, łyżeczka posiekanej zielonej kopereku.

Przygotowanie: z jarzyn, cebul i korzeni oraz 1 1/4 litra wody osolonej gotujemy smak. Po schłodzeniu (powinno być ok. 1 litra smaku) wkładamy pokrojonego w dzwonek oczyszczonego szczupaka. Gotujemy na wolnym ogniu do miękkości. Oddzielnie przygotowujemy sos chrzanowy: masło rozcieramy z ugotowanym na twardo żółtkiem, rozprowadzamy śmietaną, dodajemy starty chrzan. Dopraviamy do smaku sokiem z cytryny (ok. 2 łyżki), solą i cukrem. Sos zagotowujemy. Gorącego szczupaka w dzwonekach układamy delikatnie na półmisku – nadając kształt całej ryby, polewamy sosem chrzanowym, a wierzch posypujemy posiekanym białkiem ugotowanym na twardo i koperkiem. Zamiast szczupaka możemy przyrządzić pstrąga.

5. Pierogi lwowskie

Składniki: ciasto – 2,5 szklanki mąki, 1 żółtko, łyżeczka masła, ciepła woda, szczypta soli. Nadzienie – 60 dkg ziemniaków ugotowanych, łyżeczka koperku, 2 cebule, 2 łyżki oliwy, 2 łyżki śmietanki, 1 żółtko, sól, pieprz. Do polania – łyżka oliwy, 2 cebule, 2 łyżki masła, szklanka śmietany.

Przygotowanie: z mąki, masła, żółtka, ciepłej wody i szczypty soli zagniatamy wolne ciasto. Cienko rozwałkowujemy, wykrawamy krążki o średnicy 5 cm – nakładamy farsz, dokładnie zlepimy i wrzucamy na

osoloną wrzącą wodę z dodatkiem łyżeczki masła. Po wypłynięciu na wierzch gotujemy 3-4 minuty. Wyjmujemy łyżką cedzakową na półmisek, polewamy przyrumienioną cebulką na oliwie i z rozpuszczonym przy końcu masłem. Osobno podajemy kwaśną gęstą śmietaną.

Farsz: do ziemniaków przepuszczonych przez maszynkę dodajemy żółtko, cebulkę drobniutko pokrojoną i usmażoną na oliwie, łyżeczkę posiekanego koperku, śmietankę. Wszystko dokładnie mieszamy, dodajemy do smaku soli i pieprzu.

6. Gołąbki z kaszą gryczaną i surowymi ziemniakami

Składniki: duża główka białej kapusty, 1 łyżeczka masła, 1,5 szklanki kaszy gryczanej, 3/4 kg ziemniaków, 4 cebule, 2 czerstwe bułki, szklanka mleka, 1 łyżka oliwy, sól, pieprz. Sos: 1 cebula większa lub 2 mniejsze, szklanka śmietany, 1 łyżeczka oliwy, sól, cukier,

pieprz, 2 łyżeczki startego sera żółtego, 2 łyżeczki posiekanego koperku. Sos: pokrojoną drobno cebulę przysmażamy na oliwie, dodajemy 2 łyżeczki startego żółtego sera, koperek, zalewamy śmietaną, solimy, cukrujemy i pieprzymy do smaku.

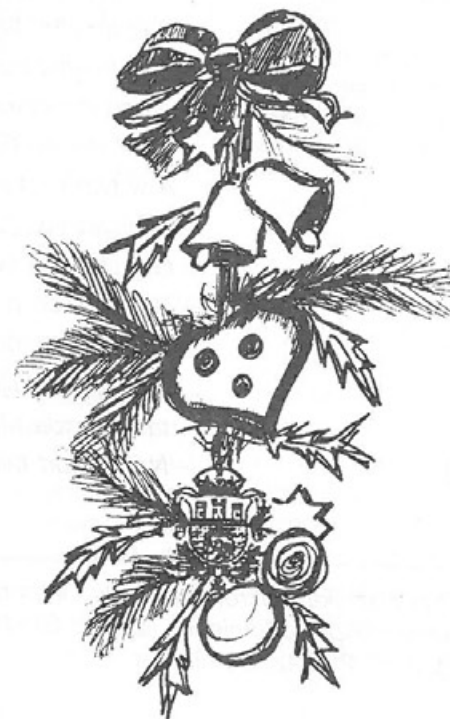
Przygotowanie: z kapusty wykrawamy głąb, główkę wkładamy do lekko osolonej wrzącej wody, gotujemy tylko kilka minut – ok. 3-4. Po schłodzeniu zdejmujemy kolejno liście i większe nerwy liściowe lekko miażdżymy tłuczkiem. Kaszę gryczaną zalewamy wodą osoloną, wkładamy łyżeczkę masła, gotujemy kilka minut. Ziemniaki obieramy i ścieramy na tarce o średnich otworkach, sok częściowo odlewamy. Na tarce ścieramy 2 cebule i przysmażamy na oliwie. Bułki moczymy w mleku, odciskamy i przepuszczamy przez maszynkę. Wszystkie

składniki razem mieszamy, do smaku dodajemy sól i pieprz. Farsz nakładamy na liście, zwijamy gołąbki i układamy w garnku dość ciasno na niewykorzystanych liściach. Układamy najwyżej trzy warstwy. Z góry przykrywamy pozostałymi liśćmi z kapusty. Zalewamy osoloną wrzątkiem, zagotowujemy i wkładamy do piekarnika, wypiekamy do miękkości. Wyłożone na półmisek polewamy sosem.

7. Strudel z bakaliami

Składniki: 3,5 szklanki mąki, 1 jajko, ok. 1,5 szklanki ciepłej wody. **Nadzienie:** szklanka śmietany, 2 żółtka, 2 łyżeczki masła, łyżka cukru, 5 dkg rodzynek, 5 dkg fig, 5 dkg usmażonej skórki pomarańczowej, 15 dkg orzechów włoskich, 10 dkg przesuszonego piernika (może być gotowy ze sklepu), łyżeczka startej skórki cytrynowej.

Przygotowanie: nad stolnicą przesiewamy mąkę, w środku robimy większy otwór. W garnku podgrzewamy



wodę, wbijamy jajko i rozkładamy z wodą. Do otworu na mące wlewamy po trochę wody i zagarniamy mąkę aż cały płyn zmieszają się z mąką, wówczas ciasto wyrabiamy w jednym miejscu na stolnicy. Powinno być wolne jak na pierogi. Ciasto dzielimy na 2 części. Kładziemy na oprószoną mąką deseczkę i przykrywamy ciepłym naczyniem, żeby się wyleżało. Stół przykrywamy płótnem oprószonym mąką, pod płótno wkładamy talerz dnem do góry. Z deseczki ciasto ostrożnie zsuwamy nad talerzem na płótno i z tego miejsca rozpoczynamy wyciąganie ciasta. Ręce często maczamy w mące i obiema wyciągamy ciasto ku sobie. Gdy ciasto nie lepi się do rąk – nakładamy nadzienie, zarzucamy ciasto z 2-ch boków do środka, następnie trzymając końcem płótna w dwóch rękach, zsuwamy ciasto, przez co zwija się w okrągły wałek, który przecinamy na 2-3 kawałki – w zależności od długości blachy. Układamy na natłuszczonej blasze i pieczemy w piekarniku na jasno-rumiany kolor.

Nadzienie: wszystkie bakalie kroimy bardzo drobno (rodzynki moczymy i obsuszamy), kładziemy na rozciągnięte ciasto, kropimy rozbitą z żółtkami utartymi z cukrem śmietaną i roztopionym masłem, posypujemy startym na tarce piernikiem zmieszonym ze skórką cytrynową. Zwinięty strudel możemy ułożyć również na ślimaka i tak zapiec.



Na zakończenie Witold Szolginia – wiersz napisany w bałaku lwowskim pod tytułem:

„Hej kulenda – lwowska kulenda...”

Taj znów idu Świenta, znów kulinduwani
Kulindników starych stamtund, het -zy Lwowa,
Zy wspomnieniem dawnym, co tak serca rani,
Ali tagży każy furt śpiwać ud nowa.
Ty kulendy, chtóry tam, u Byrmarydnów,
Abu w Antuniegu śpiwali kuścieli.
Nic dla nich ni znaczy, ży lata furt plynu –
Śpiwać bedu wciongli, chodźby unimieli...
Bedu śpiwać z duszy, sercym swoim całym,
Tak samu jak wtedy, gdy w swym Mieście żyli,
Gdy w świentyj Ylźbieci urgany zagrały,
Abu gdy z szupkami pu Lwowi chudzili...
Z szupkami, baniami, a potem z gwiazdami,
Wyndrunc pu domach i ulicach Lwowa,
Darzunc lwoskich ludzi swymi kulindami
Ud Pasik du Gródka i du Kliparowa.
A w tym wyndruwaniu pu lwoskich ulicach
Zy śpiwem, taj granim kolind najrzywniejszych –
Gwiazda im świciła blaskim, co zachwyca,
Blaskim, co ni zgasnął aż pu dzień dzisiejszych.
Naj ta gwiazda wciongli nad nimi jaśnieji,
Gwiazda Bytlijemaska, Gwiazda nasza Lwoska,
ta Gwiazda Miłości, Wiary i Nadzieji –
Naj im furt tak świci – spraw to Matku Boska...

Prezentujemy sylwetkę Andrzeja Przewoźnika, sekretarza Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa – kandydata nominowanego do Nagrody „Rzeczpospolitej” imienia Jerzego Giedroycia. Artykuł zamieszczony poniżej o Nim ukazał się na łamach „Rzeczpospolitej” 25 października br.

Beata Kopyt, T. SE.

Andrzej Przewoźnik – strażnik narodowej pamięci



Fot. Bartłomiej Zborowski

Właśnie wrócił z Wilna. Nie ma dużo czasu. Musi się przebrać, zaraz potem ma uroczystości rocznicy śmierci księdza Jerzego Popiełuszki. Je sałatkę. To jedno z zaleceń lekarzy, do którego się zastośował. Bo chociaż nie ma czterdziestki, zawał już miał. Regularnie, raz w miesiącu, chodzi do lekarza. Spaceruje, jazda na rowerze. Do pozostałych zastosować się nie mógł. Nie wyeliminował stresu, za dużo pracuje.

O sprawie, w której był na Litwie, prosi, żeby nie pisać.

– To bardzo delikatny i drażliwy temat. Rozgłos mógłby tylko zaszkodzić.

Pewnie wie, co mówi, bo od dziesięciu lat jako sekretarz Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa Andrzej Przewoźnik porusza się po „szalenie trudnym, emocjonalnym obszarze”. Teraz i tak jest łatwiej. – Jestem osobą znaną. Na początku mój wiek i wygląd były szokiem dla wszystkich. Nie miałem jeszcze trzydziestu lat, nie traktowano mnie poważnie.

Udowodnił, że niesłusznie.

Żyd i antysemita

Po studiach na Wydziale Historyczno-Filozoficznym Uniwersytetu Jagiellońskiego planował zrobić doktorat z historii i zaszyć się w archiwach. Był stypendystą

Fundacji Armii Krajowej w Londynie. Prowadził dyskusyjny klub historyczny. Zorganizował pierwszy zjazd kurierów AK, na który przyjechał Jan Nowak-Jeziorański. W Krakowie był inspektorem wojewódzkim ds. kombatanów i wojennych cmentarzy.

Od 1 września 1992 r. jako sekretarz Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa „porządkuje trudne sprawy z przeszłości, żeby nie ciążyły na przyszłości”. Odtąd nazwisko Przewoźnik pojawia się zawsze, gdy słyszymy: Katyń, Miednoje, Charków, Jedwabne, cmentarz Orląt Lwowskich. Uporządkował setki cmentarzy wojennych i grobów żołnierskich na Wschodzie. Znalazł je, walczył o ich odbudowanie, o postawienie na mogiłach krzyży.

Negocjuje w Rosji, na Białorusi, Ukrainie, Litwie, za całą wschodnią granicą, w Niemczech, Iranie. To kilkadziesiąt krajów, a wszystkie mają swoje prawa, obyczaje, wiele racji. Niektóre sprawy ciągną się latami. – Czasem nie trzeba kruszyć kopii o mniej ważną sprawę, czasem trzeba wziąć stronę tamtych – mówi.

Teraz to wie. Na początku, kiedy przeniósł się z Krakowa do Warszawy, był bezradny.

Uczył się szacunku, tolerancji, otwartości, pokory i wrażliwości. Na tym polega jego praca. Chciał, żeby w jego urzędzie nie było petentów. – To są ludzie, których spraw, czasem bardzo bolesnych, nie załatwiono przez pół wieku.

Czasami musi reagować błyskawicznie i zdecydowanie. Gdy wstrzymano odbudowę cmentarza Orląt, Przewoźnik był we Lwowie i Kijowie, wszędzie tam, gdzie trzeba było. Był u premiera Jerzego Buzka, kiedy zabrakło pieniędzy na budowę cmentarza w Katyniu.

Jednak najtrudniejsze są rozmowy z miejscową ludnością. Trzeba wysłuchać racji, badać środowisko, dyskutować. To, co robi i jak to robi, budzi zawsze dużo emocji i kontrowersji. – Przewoźnik nie potrafi rozmawiać z Ukraińcami, nie słucha tego, co mówią – uważa Orest Drul, dziennikarz z lwowskiego dziennika „Postup” („Postęp”). – Myślę, że konflikt wokół cmentarza Orląt we Lwowie jest mu na rękę. Podkreśla jego wartość, wpływ i to, że jest po prostu niezbędny – dodaje. Ostatnio na Przewoźnika skarżył się w liście do premiera Millera prezes Związku Ukraińców w Polsce Miron Kertyczak. Główny zarzut jest taki, że przestał brać pod uwagę stronę obywateli polskich pochodzenia ukraińskiego.

– Jego praca dla nas, dla Żydów, jest świętą codzienną pracą. Czuję, że on to robi całym sercem. Młody wiek, ale głębokie stare serce – docenia pracę Andrzeja Przewoźnika ambasador Izraela Szewach Weiss.

Był już Żydem, nacjonalistą, Ukraińcem, antysemitą. – Pozytywne jest tylko, że ciągle nie jestem na tyle gruboskórny, żeby nie być na to wrażliwy.

Dwa medale

O Katyniu wie wszystko. Był przy ekshumacjach, budowie cmentarzy, widział archiwa. Boleje, że nie ma porządnej publikacji na ten temat. Może sam napisze kiedyś taki czysto historyczny dokument.

To był bardzo intensywny i wyczerpujący okres w jego życiu. Kiedy nie był na miejscu, w Katyniu, ze współpracownikami kontaktował się o pierwszej w nocy.

Było też i tak, że kiedy Janusz Pałubicki, minister koordynator służb specjalnych, wyrzucił z Polski za szpiegostwo kilku rosyjskich dyplomatów, okazało się, że to właśnie z niektórymi z nich ma usiąść do stołu i negocjować. W rezultacie został przez prezydenta Rosji Władimira Putina odznaczony Orderem Przyjaźni Federacji Rosyjskiej. Ambasador Rosji w Polsce Siergiej Razowa, który wręczał order, powiedział: Jesteśmy bardzo zadowoleni, że po 60 latach po dokonaniu zbrodni przez reżim totalitarny udało nam się zamknąć tę mroczną kartę naszych stosunków. Przyznał też, zgodnie z prawdą, że: Rada z równą starannością dba o cmentarze żołnierzy radzieckich w Polsce.

Od prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego dostał Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski. Był bardzo krytykowany za to, że go przyjął. Dostało mu się też, kiedy nie zabrał głosu w dyskusji o tym, czy podczas uroczystości na cmentarzu w Charkowie prezydent nadużył alkoholu, czy bolała go noga.

Głosu nie zabrał również wtedy, gdy prawie wszyscy wypowiadali się o książce Tomasza Grossa „Sąsiedzi”. Chociaż to właśnie on zdecydował o budowie pomnika i cmentarza w Jedwabnem, uporządkował stary, udaremnił wykupienie ziemi, na której stanąć miał pomnik. Wreszcie sam rozmawiał z mieszkańcami Jedwabnego. Nie udało mu się tylko uniknąć konfliktu dotyczącego podpisu na pomniku.

Plusy i minusy

O swojej pracy mówi: To poznawanie historii z praktycznej strony. To, co robię, jest bardzo ciekawe, zwłaszcza dla historyka. Piszę, bada. – W archiwum odpoczywam, rozładowuję stresy. Skończył podyplomowe studia w Akademii Obrony Narodowej ze strategii obronności krajów państw ANP. Ma pięć zaczętych i rozgrzebanych książek. Chciałby napisać o Armii Krajowej na Węgrzech. To był temat jego pracy magisterskiej. – Byłem wychowany na tradycji AK, to akowcy uczyli mnie historii.

Uwielbia Wschód, zwłaszcza teraz, jesienią, gdy tyle jest kolorów. Zna go jednak głównie z za szyby samochodu.

Praca w Radzie odbywa się ze szkodą dla kariery naukowej. Jego druga kadencja potrwa do 2004 r. Stres, choroba, mnóstwo zaległego urlopu, mało czasu dla żony i córki. Nie zarabia dużych pieniędzy. Warto? – Ja tylko poważnie traktuję swoją misję, nic więcej.

Zaraz wymienia plusy, wdzięczność ludzi. Satysfakcję sprawia również to, że ludzi, młodzież interesuje Katyń, Miednoje, Jedwabne. Martwi się wtedy, gdy uda się coś wyjaśnić, pouklądać. – Uważamy to za sensację, cieszymy się, ale dla mediów jest to kompletnie nieatrakcyjny temat. Pamięć narodowa się zdeprecjonowała.

Nie żałuje, kiedy słyszy: Wy, Polacy, potraficie dbać o swoją przeszłość. – To jest dowód docenienia państwa – mówi.

– Nie chwałę się, nie chwałę Polski, ale nam się udało. Mieliśmy więcej niż inni pomysłów na rozwiązanie swoich trudnych spraw. □

Zbigniew Berling Spotkanie z Premierem

Dla Polaków mieszkających w Kołomyi doszło do niecodziennego wydarzenia. W dniu 4 lipca 2002 r. – będąc w drodze do Kamieńca Podolskiego – zatrzymał się w Kołomyi na krótkie spotkanie z szefem rządu Ukrainy, premier RP – Leszek Miller. Jak to zwykle w takiej sytuacji bywa, w mieście zrobił się szum, a milicja ukraińska została postawiona w stan pełnej gotowości. O sprawie przypadkowo dowiedziała się nasza prezes Towarzystwa Kultury Polskiej w Kołomyi – Stanisława Kołusienko. Natychmiast skontaktowała się z władzami miasta, żeby uzyskać bliższe informacje. Tam usłyszała, że nie ma żadnych szans na widzenie się z polskim gościem, bo ten nie ma na to czasu. A w ogóle to nie wypada jemu zawracać głowy. Niezrażona taką odpowiedzią, szybko zwołała najbliższych Polaków, bo może uda się z polskim premierem zamienić chociaż kilka słów. Jest przecież tyle problemów: kościół, cmentarz, szkoła itd. ...

Gdy po chwili polska delegacja rządowa wychodziła z budynku, którego pilnowała dobrze ochrona, stojąca w oddali grupka Polaków podniosła w górę biało-czerwoną chorągiewkę. Na ten widok Leszek Miller w swoim otoczeniu zapytał – co to takiego, kto tam stoi? Ktoś z miejscowych władz, zmieszany odpowiedział: – a to miejscowi Polacy. Premier zatrzymał się, popatrzył jeszcze raz w tamtą stronę i wolnym krokiem podszedł

do naszych. Rozpoczęła się rozmowa. Premier pytał – jak im się żyje, jakie mają problemy. Szybko wymieniali swoje bolączki, a najważniejsza sprawa – to niszczący cmentarz. Po minach Ukraińców, szczególnie tych z rady miasta widać było niezadowolenie. Nasze dzielne Kołomyjanki chciały zaprosić Millera na spotkanie przy herbatce, ale ten potwierdził brak czasu i pośpiech przed dalszą podróżą. Pozwolił jednak na zrobienie wspólnego zdjęcia.

Po tym krótkim spotkaniu, jeden z ludzi z otoczenia premiera podszedł do Stasi Kołusienko i powiedział półgłosem, że jeszcze tutaj przyjadą. A on sam będzie tym zainteresowany, ponieważ jego rodzice pochodzą z Kołomyi...

Tak oto w skrócie wyglądało to niecodzienne wydarzenie. Rozmowa Polaków z Kołomyi z Premierem Rządu RP w ich własnym mieście długo jeszcze była przedmiotem komentarzy mieszkańców. Władze miejskie z merem Kołomyi na czele nie mogły darować Polakom, że udało się im – mimo kordonu ochrony – doprowadzić do nieprzewidzianego spotkania i rozmowy. Potem wypytywali – „a coście waszemu premierowi naopowiadali?”. Ale co było – to było. Nasi w Kołomyi mają satysfakcję i są zadowoleni. Wszak nie każdy z Polaków ma zdjęcie z premierem.



Zbigniew Małyszczyci Nie bagatelizujemy zagrożeń

(Przedruk z: „Nowa Myśl Polska” z 29 września 2002 r.)

Wiktor Poliszczuk w końcowych fragmentach swej „Gorzkiej prawdy” (s. 371-381) porusza zagadnienie uchwały Krajowego Prowidu OUN z 22.06.1990, a także przytacza jej fragmenty odnoszące się do spraw polskich, zaczerpnięte z ukazującego się w Toronto „Głosu Polskiego”. Do autorstwa uchwały nie przyznała się żadna z trzech frakcji OUN, tym niemniej dr Poliszczuk nie ma wątpliwości, że jej powstanie należy przypisać OUN-b.

Co najmniej od siedmiu lat, tj. od chwili ukazania się „Gorzkiej prawdy” w języku polskim (1995 r.) treść tej uchwały dotarła do czytelnika polskiego, ale konia z rędem temu, kto potrafi powiedzieć, jakie zawiera wytyczne w odniesieniu do Polski i Polaków, mimo że od czasu do czasu mówimy o zagrożeniach z niej płynących. Integralni nacjonaliści ukraińscy twierdzą, że uchwała jest fałszywką. Zachodzi więc pytanie – dlaczego od chwili jej powstania w przedziwny sposób jej wytyczne w większości są dokładnie realizowane? Wystarczy się im przyjrzyć, chociażby w streszczeniu (nie jest to tekst in extenso, tylko omówienie).

„Taktyka wobec Polski na Ukrainie powinna polegać na utrzymaniu stosunków przyjaznych. Polakom należy przyznać niezbyt wielkie uprawnienia w zakresie wiary, kultury i szkolnictwa, przy czym należy wykluczyć ich organizowanie się pod względem politycznym. Należy narzucić Polakom ukraiński punkt widzenia na historię i stosunki ukraińsko-polskie, głosić, że Polacy na ziemiach obecnej Ukrainy nie odgrywali najmniejszej roli w kulturze, a zdania odmienne zaliczać do polskiej szowinistycznej propagandy. Dążyć do ukrainizacji polskiej młodzieży zarażonej kłamliwą polską propagandą odnośnie sławnej UPA. Głosić, że w Polsce mieszka jeden milion Ukraińców. Utrudniać odbudowę cmentarza Orląt (pamiętajac, że jest to cmentarz wojskowy, chroniony konwencją międzynarodową). Oddawać kościoły na zasadzie wzajemności. Nie dopuścić do reaktywowania polskiej hierarchii kościelnej, a obrządek łaciński podporządkować Ukraińskiej Cerkwi Katolickiej. Sporządzać spisy Polaków żyjących na Ukrainie, by móc kontrolować ich poczynania konspiracyjne. Polacy, w tym również duchowni, powinni złożyć przysięgę lojalności i wierności samostijnej Ukrainie. Ułatwiać Polakom wyjazd do Polski na pobyt stały. Młodym odwiedzającym krewnym w Polsce utrudniać wstęp na wyższe uczelnie. Nie dopuszczać do powstania silnej warstwy inteligencji. Podsycać wzajemną wrogość Polaków i Rosjan.

W diasporze podkreślać, że we wspólnej walce Ukraińców i Polaków przeciwko komunizmowi Ukraińcy spełniali rolę wiodącą. Eliminować wszelkie polskie próby zmierzające do potępienia UPA za rzekome znęcanie się nad Polakami, ale podkreślać, że UPA brała w obronę Polaków przed hitlerowcami i bolszewikami. Polacy byli też w UPA. Polaków mordowali sowieci i luźne bandy nie mające nic wspólnego z UPA. Dążyć do tego, by strona polska przyznawała, iż AK paliła wsie ukraiń-

skie i mordowała Ukraińców, że pacyfikacje przed wojną i akcja „Wisła” były działaniami haniebnymi. Wydawać na ten temat komunikaty w językach obcych, zwłaszcza w angielskim, niemieckim, francuskim, hiszpańskim i rosyjskim. Zmierzać do tego, aby emigracja polska rzekła się myśli i zamiarów rewindykacji ziem Ukrainy, a sprawę Ukrainy Zaczurzońskiej (Zasanie, Chełmszczyzna, Podlasie i Łemkowszczyzna) pozostawiła otwartą do późniejszego rozstrzygnięcia. Na tym stanowisku stoi już KPN, którą należy wspierać. W tym duchu urabiać polską opinię publiczną na obczyźnie, w razie potrzeby nie żałując środków finansowych z Funduszu Wyzwolenia Ukrainy. Kupować audycje w polskim radiu oraz miejsca w polskich gazetach. Wchodzić do polskich zespołów redakcyjnych. Dyskusje prowadzić w duchu heroizmu UPA i niekwestionowanej ukraińskości Ukrainy Zaczurzońskiej ze stolicą w księżącym grodzie Przemyślu.

Taktyka w Polsce. Do działania przeciwko komunizmowi zainspirowała nie „Solidarność”, lecz UPA. Duch UPA zapłodnił „Solidarność” do czynu. W tym względzie chwałę UPA gotowi są przypisać Polacy. **Należy popierać wszystko, co ma posmak antyrosyjski: Katyń, Sybir, zbrodnie NKWD i UB. Odwraca to uwagę Polaków od UPA, którą kłamliwie przedstawia się nie jako ruch narodowo-wyzwoleńczy, lecz jako bandy.** Podkreślanie, że pełne wyzwolenie Polski nie jest możliwe bez samostijnej Ukrainy pozwoli na zdobycie zaufania Polaków do antymoskiewskiej polityki Ukraińców, a to przy ich bezkrytycyzmie oznaczać będzie ich pełne zaufanie po stronie ukraińskiej. Osłabi to Polskę, co w przyszłości pozwoli podporządkować państwo polskie ukraińskim interesom narodowym. Najpilniejszym zadaniem jest doprowadzenie do jednostronnego uznania przez władze polskie, że nie mają i nie będą miały w przyszłości roszczeń terytorialnych wobec Ukrainy. Gdy do tego dojdzie, OUN stwierdzi, że ona je ma, gdyż Polska okupuje część historycznych i etnograficznych ziem ukraińskich, a co za tym idzie powinna zwrócić Ukraińcom Ukrainę Zaczurzońską. **Doprowadzić do tego, aby sami Polacy potępiли akcję „Wisła”, inicjatorem nie może być Mokry [działacz ukraiński, w roku 1990 parlamentarzysta OKP – red.].** Na zakupienie Polaka w parlamencie przeznaczyć 15-20 tys. USD. Szerzyć przekonanie, iż przed wojną Polska uciskała Ukraińców (zamojszczyzna, pacyfikacje, likwidacja szkolnictwa i kultury, ucisk narodowy) i propagować sławne działania UPA w walce z Niemcami i komuną w bolszewii i w Polsce wspólnie z siłami polskimi WiN.

Przez sprzedajnych Polaków rozprawiać się z antyukraińskimi poglądami na historię działalności UPA – E. Prusa, W. Hraniewskiego, J. Sobiesiaka, H. Cybulskiego, ks. Kuczyńskiego, J. Jastrzębowski, W. Romanowskiego, J. Popiela, M. Fijałki, ks. Szeleńckiego, J. Giertycha, Z. Alberta, A. Oliwy, W. Kalańskiego, J. Węgierskiego, S. Myślińskiego, M. Juchniewicza, W. Szoty, J. Turowskiego, Siemaszki i J. Sereta. Opanować niektóre polskie pisma, wejść

w skład władz Archiwum Wschodniego. Infiltrować Główną Komisję Badania Zbrodni Hitlerowskich [obecnie IPN - red.], przeszkadzać w zbieraniu obciążających Ukraińców materiałów z wydarzeń drugiej wojny światowej, nie dopuszczać do publikowania materiałów obciążających ukraiński nacjonalizm rewolucyjny OUN.

Zestawić ściśle poufne listy osób (nazwiska i adresy) nieprzychylnych ruchowi rewolucyjnemu. Zestawić także listę Polaków, którzy są przychylni rewolucyjnej OUN. Dążyć do odbudowania ukraińskiego charakteru Zacurzonii, o którą Ukraina w odpowiednim momencie się upomni, nawet używając siły zbrojnej. Odzyskać katedrę ukraińską w Przemyślu. Tu powinno znaleźć się biskupstwo Ukraińskiej Cerkwi katolickiej oraz powinny osiedlać się ukraińskie zakony. Doprowadzić stopniowo do przekształcenia Fundacji im. Św. Włodzimierza w Krakowie w Instytut Ukraiński, a z czasem do powo-

łania na jego bazie Uniwersytetu Ukraińskiego. OUN nigdy nie zależało na sile Polski, wręcz przeciwnie, na jej osłabieniu. Służba wewnętrzna winna być słaba i kierowana przez ludzi życzliwych OUN, armia nieliczna. Podesycać separatyzmy regionalne, a jednocześnie podesycać aktywność narodową Ukraińców, Białorusinów, Żydów, Czechów, Słowaków, a przede wszystkim Niemców".

Tak oto w obszernym skrócie przedstawia się uchwała prowodu OUN z 1990 roku. Teraz, gdy parlament ukraiński rozpatruje wniosek o uznanie OUN-UPA za organizację kombatancką, prowadzącą walkę narodo-wo-wyzwoleńczą, warto sobie uświadomić, czym była OUN-UPA w latach 40. i czym jest nadal. Obudźmy się! Poradziliśmy sobie z zagrożeniami na wszystkich rubieżach w latach 1918-1920, więc i teraz powinna udać się obrona niepodległości. Do tego potrzebna jest jednak odważna i patriotyczna postawa nas i naszych władz. □

Joanna i Anna Hotała

Gimnazjum nr 14 Wrocław

Hugon Steinhaus – twórca lwowskiej i wrocławskiej szkoły matematycznej



Hugo Wielki urodził się w Jasle 14 stycznia 1887 r. W roku 1905 ukończył gimnazjum klasyczne. Filozofię i matematykę studiował od 1905 r. we Lwowie, a następnie od 1906 w Getyndze, gdzie słuchał wykładów największych matematyków XX wieku. W 1911 r. uzyskał stopień doktora filozofii summa cum laude, promotorem jego rozprawy

doktorskiej był Dawid Hilbert. Po studiach wrócił do rodzinnego Jasła. W czasie I wojny światowej uczestniczył w szlaku bojowym I pułku artylerii Legionów Polskich i pracował w Dyrekcji Odbudowy kraju w Krakowie i Lwowie. Profesor Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie od 1920 do 1941 r. Od 1920 r. profesor nadzwyczajny, a od 1923 r. zwyczajny. Wspólnie ze Stefanem Banachem był twórcą lwowskiej szkoły matematycznej zwanej szkołą analizy funkcjonalnej oraz założycielem czasopisma „Studia Mathematica” (1929), ukazującego się od okresu powojennego we Wrocławiu. Zawdzięczamy mu odkrycie dla matematyki jednego z najbardziej znanych matematyków polskich Stefana Banacha. Sam Steinhaus tak wspomina tamte czasy: „Idąc letnim wieczorem roku 1916 wzdłuż plant usłyszałem rozmowę, a raczej tylko kilka słów: wyrazy *całka Lebesgue’a* były tak nieoczekiwane, że zbliżyłem się do ławki i zapoznałem z dyskutantami: to Stefan Banach i Otto Nikodym rozmawiali o matematyce. Jakież było moje zdziwienie, gdy Banach podał odpowiedź negatywną na zagadnienie, które sam od pewnego czasu bezskutecznie próbowałem rozwikłać.”.

W kamienicy u zbiegu ulic Fredry i Akademickiej we Lwowie znajdowała się dawniej kawiarnia Szkocka, ulubione miejsce spotkań i dyskusji lwowskich matematyków: Auerbacha, Banacha, Mazura, Nikliborca, Katza, Orlicza, Ruziewicz, Schreiera, Steinhaus, Ulama i innych, którzy prowadzili słynną Księgę Szkocką, swoisty notatnik, przechowywany w kawiarni, ze zbiorem nierozwiązanych problemów matematycznych. Za rozwiązanie zadania fundowano wymyślne nagrody, np. nagrodą za rozwiązanie problemu nr 153, sformułowanego w 1936 r. przez S. Mazura miała być żywa gęś (zadanie zostało rozwiązane dopiero 46 lat później przez szwedzkiego matematyka P. Enflo). ostatnim wpisem było zadanie postawione przez H. Steinhaus w 1941 r.

Po zajęciu Lwowa przez Niemców w 1941 r. opuścił miasto. Podczas II wojny światowej ukrywał się na Podkarpaciu w Berdychowie koło Stróż pod przybranym nazwiskiem Grzegorz Krochmalny (w swej autobiografii Steinhaus opisał ten okres swojego życia słowami: „Od 26 listopada 1941 do 26 sierpnia 1945 używałem nazwiska Grzegorza Krochmalnego, chłopca z okolic Przemyśla, którego metrykę znalazł dla mnie Tadeusz Hollender, poeta; jego samego rozstrzelali Niemcy na Pawiaku parę lat później. Pracę naukową ograniczyłem w tym okresie do notowania pomysłów i prób. 13 lipca przenieśliśmy się wraz z żoną Stefanią na Berdechów koło Stróż w gorlickim. Tam wraz z moim szwagrem, inżynierem, uprawialiśmy tajne nauczanie na dość dużą skalę – naszymi uczniami byli przeważnie synowie chłopów i kolejarzy...”.

Do Wrocławia przybył jesienią 1945 r., gdzie stał się jednym z twórców środowiska naukowego. Stworzył wrocławską szkołę matematyczną zwaną szkołą teorii prawdopodobieństwa i zastosowań matematyki. Był organizatorem i pierwszym dziekanem Wydziału Matematyki, Fizyki i Chemii Uniwersytetu i Politechniki, pierw-

szym sekretarzem generalnym Wrocławskiego Towarzystwa Naukowego, później kilkakrotnie jego prezesem. Kierował Katedrą Zastosowań Matematyki w Instytucie Matematyki Uniwersytetu Wrocławskiego oraz Działem Zastosowań Przyrody, Gospodarki i Techniki Instytutu Matematyki Polskiej Akademii Nauk.

Profesor Univeristy of Notre Dame w stanie Indiana USA (1961-1962) i University of Sussex (1966).

Ogłosił około 255 prac naukowych dotyczących analizy matematycznej, analizy funkcjonalnej, teorii prawdopodobieństwa, teorii gier oraz zastosowań matematyki. Znajdują one zastosowanie m. in. w medycynie (dispersja leukocytów we krwi, efektywność wykrywania nosicielstwa błonicy, lokalizacja obcych ciał za pomocą promieni Roentgena – oryginalny przyrząd introwizor, rozkład chromosomów), technice (zagadnienie taryfy elektrycznej, statystyki kontroli jakości, patent amerykański i polski na introwizor), geografii (wskaźniki zagęszczenia i rozproszenia osiedli, rzeźby terenu, efektywna metoda pomiaru brzegu morskiego), sądownictwie (metoda dochodzenia ojcostwa), antropologii (taksonomia wrocławska), ekonometrii (podział pragmatyczny).

Był oryginalnym popularyzatorem matematyki, jego książki „Kalejdoskop matematyczny” (pierwsze wydanie we Lwowie w 1938 r. nakładem Książnicy Atlas, jednocześnie na zamówienie amerykańskiego wydawnictwa G. E. Stecherta wydrukowano we Lwowie angielską wersję tej książki „Mathematical snapshots” – Migawki matematyczne) oraz „Sto zadań” doczekały się wielu wydań i przekładów na języki obce. Ukazały się niemieckie i rosyjskie wydanie „Następnych stu zadań” oraz książki: „Czym jest, a czym nie jest matematyka” (1923) i „Orzeł czy reszka” (1961).

Do roku 1941 Hugo Steinhaus był właścicielem kamienicy nr 14 przy ul. Kadeckiej, obecnie Gwardyjskiej, we Lwowie.

Wyszkolił kilka pokoleń matematyków, którzy zajmowali najwyższe pozycje naukowe w kraju i za granicą m. in. M. Kac, C. Ryll-Nardzewski, K. Urbanik. Od 1945 roku był członkiem korespondentem PAU, od 1952 roku jej członkiem rzeczywistym, laureatem licznych nagród naukowych, nagrody miasta Wrocławia (1959), Nagrody Państwowej I stopnia. Doktor honoris causa Akademii Medycznej we Wrocławiu (1961), uniwersytetów Warszawskiego (1961), Poznańskiego (1963) i Wrocławskie-

go (1965). Założył dwa czasopisma matematyczne we Wrocławiu „Colloquium Mathematicum” (1947) oraz „Zastosowania Matematyki” (1953) obecnie „Applicationes Mathematicae”. Miał córkę Lidię Kott. Zmarł we Wrocławiu 25 lutego 1972 r., na jego grobie został wykuty w kamieniu jeden z jego aforyzmów „Między duchem a materią pośredniczy matematyka”.

Hugonotki czyli aforyzmy Profesora

- Hugonotka** – Aforyzm udany
- Hugoknotka** – Aforyzm nieudany
- Majtek** – Marynarz, który ignie do kobiet
- Zagajenie** – Wstęp do flirtu w lesie
- Magistrat** – Urzędnicy robiący z każdego przedsiębiorstwa deficytowe
- Stropiony** – Człowiek, któremu sufit spadł na głowę
- Maggik** – Kucharz, co zaprawi każdą zupę
- Kolejka zębata** – Poczekalnia u dentysty
- Dekretyn** – Taki, co wszystko reguluje ogólnikami
- Przekomarzenie się** – Spacerowanie w lecie z żoną nad Odrą
- Autochton** – Polak, co wciąż siedzi w niemieckim samochodzie
- Wieczysta renta od Kapitału** – Pensja wykładowcy marksizmu
- Nudyzm** – Samotne leżenie na plaży
- Bigamoń** – Taki, co przez pomyłkę dwa razy się ożenił
- Ząb za ząb** – Hasło w wieku maszyn
- Gen i już** – Geniusz
- Menageria** – Społeczeństwo dyrektorów
- Obywatel** – Taki, co się obywateli bez wszystkiego
- Filozofia** – Miłość Filona do Zofii
- Św. Jan Kanty** – Patron od spodni
- Erotuman** – Oglupiany przez kobiety
- Kaloryferyalny** – Pierwszy dzień zimy
- Ziemia** – Kula u nogi
- Magnifika** – Wielce lubiąca hasać rektorowa

Hugo Steinhaus nie zamykał się w świecie liczb. Był matematykiem-filozofem, wielkim humanistą, lwowską i wrocławską legendą. Jedno ze znanych powiedzeń Prof. Hugo Steinhaus: „Polska ma na eksport węgiel i... matematykę”. Sam Julian Tuwim uklęknął przed nim, gdy usłyszał jeden z jego aforyzmów: „Kula u nogi – Ziemia”. □

Stefania Kowalińska

Wspomnienie o Księdzu Januszu

Był taki czas (rok szkolny 1956/57), że księża mogli uczyć religii w szkole. Do Liceum Wychowawczyń Przedszkoli w Pile przyszedł młody, przystojny, zawsze uśmiechnięty ks. Janusz Popławski. Pokój nauczycielski ożywił się podczas każdej przerwy. Ksiądz był otwarty, życzliwy, radosny i dowcipny. Zabawiał nas i rozśmieszał dowcipami. Młodzież była zachwycona lekcjami. Ksiądz był wielkim autorytetem i przyjacielem uczniów. Niestety, po roku władze PRL-u „wyprowadziły” księży ze szkół. Ksiądz Janusza spotykaliśmy już tylko w kościele Św. Rodziny w Pile.

Moje następne spotkanie z ks. Januszem nastąpiło po 34 latach. Lubelski Oddział TMLiKPW zaprosił nas

Kresowian na sesję poświęconą 75-leciu odzyskania niepodległości Polski. Przy tej okazji na Górze Zamkowej został wmurowany akt erekcyjny pod repliką Lwa lwowskiego. Kapłan, który celebrował tę uroczystość, wydał mi się znajomy. Wygłosił patriotyczno-lwowską mowę i zakończył ją słowami: „A czy znasz te szare lwy, a czy ty znasz te lwowskie lwy – te spod ratusza – nikt ich nie ruszał! Gdy powiesz Lwów – im płyną lzy.”. Znajomy głos i wzrost się zgadzał, tylko na głowie zamiast blond włosów – były włosy siwe. Kiedy wieczorem koncertował chór „Echo” ze Lwowa i zaśpiewał „Serce batiara”, a Ksiądz wskazał pod sutanną swoje serce, to już byłam pewna, że to ks. Janusz Popławski. Grzecz-

nie zapytałam, czy ks. pracował w Pile. Ksiądz jak zwykle dowcipnie odpowiedział: „Przepraszam, że ja pierwszy nie poznałem pani”.

Od tej pory zaczęła się przyjaźń z całą moją rodziną. Gościliśmy Księdza kilka razy w roku, bo przez Poznań wiodły Go szlaki do zachodniej części Polski (wygłaszał nauki rekolekcyjne). Oddział TMLiKPW w Poznaniu był uprzywilejowany. Ksiądz Janusz przyjeżdżał na nasze lwowskie uroczystości, sprawował Eucharystię i wygłaszał piękne patriotyczne homilie. Lubił wplatać strofy Słowackiego, Norwida, Hemara i innych kresowych poetów.

W 1999 roku odbył się zjazd absolwentek Liceum Piłskiego. Z tej okazji też ks. Janusz wygłosił wzruszającą, niezapomnianą homilię. Czuł się dobrze w Pile, w pięknym piłskim kościele, był u siebie. Ksiądz Janusza serdecznie witali księża współpracownicy w Chrystusie i parafianie.

Zapamiętałam także spotkanie w Brzegu na zjeździe TMLiKPW. Podczas mszy św. w zamkowej kaplicy ks. Janusz cytował wiersz Hemara: „Coraz nas mniej z naszego świata, co się oddala i odlata... i ścieśnia się czworobok i zamykają się szeregi, bez przyjaciela, bez kolegi. Do czyich rąk ostatni z nas odda chorągwi drzewce?”.

Najszczęśliwsze nasze rozmowy, zwierzenia i wspomnienia były podczas porannego spaceru (Ksiądz nie chodził szybko) do kościoła parafialnego pw. Św. Andrzeja Boboli, na mszę świętą. Ks. proboszcz Koperski witał serdecznie ks. Janusza i bardzo chętnie korzystał z pomocy. 27 kwietnia 2002 r. przybył do Poznania na zjazd Krzemieńczan. Ostatnią mszę św. Ksiądz Janusz odprawił u nas 28 kwietnia 2002 r. W tym też dniu późnym wieczorem pożegnałam ks. Janusza w domu przy ul. Dziewińskiej, nie wiedząc, że było to ostatnie pożegnanie. W połowie maja br. otrzymałam krótki list, świadczący o Jego działalności, energii i zaangażowaniu, który przytaczam w całości: „Droga Stefanie! Otrzymałam list od p. Krystyny Zbierzchowskiej, który Ci przesyłam, byś mogła odpisać – jak tego ona pragnie. Ja z Poznania pojechałam do Krakowa. Byłam tam przeszło tydzień. Potem byłam tam jeszcze na sympozjum „Ukraina w rok po wizycie Papieża”. Widziałem się z kard. Jaworskim i biskupem nominatem Marianem Buczkim. 20-go jadę do Lwowa na tydzień, a potem jeszcze raz na konsekrację (drugi x. Leon Mały). Dobrze, że otwarcie „Orląt” odłożono. Trzeba tam najpierw wykonać to, co było ustalone. Myślę, że za parę miesięcy dojdzie do tego. Bardzo serdecznie Cię pozdrawiam, uściski dla Marka. Bogu Was polecam – wdzięczny i oddany Janusz.”.

O chorobie, nagłym załamaniu Księdza dowiedziałam się od Staszka Łukasiewicza. Wiadomości o stanie zdrowia Ks. Janusza udzielał mi Jego wychowanek ks. Jarek. Niestety, nie były to dobre wiadomości. Chory nie



Ks. Janusz – prywatnie w gronie wrocławskich przyjaciół

odzyskał przytomności. Zmarł na udar mózgu. Pogrzeb odbył się w Laskach k/Warszawy, gdzie śp. Ksiądz Janusz był kapłanem w Zakładzie dla ociemniałych dzieci. Zakład prowadzą Siostry Franciszkańki Od Krzyża.

Wśród starych drzew jest piękna, nowa kaplica. Nie pomieściliśmy się wewnątrz. Siostry wystawiły przed kaplicą dużo ławek i krzeseł. Rześkie powietrze, zapach krzewów i kwiatów, potężne liściaste drzewa rozjaśnione przez promienie słoneczne, stwarzały niezwykły klimat. W skupieniu uczestniczyliśmy w Eucharystii sprawowanej przez biskupa Marcjana Trofimiuka, który przybył z Łucka. Czuliśmy się jedną wielką rodziną pograżoną w żalobie. Czuliśmy jedność duchową ze śp. Januszem. Trumna stała na podłodze. Ksiądz Janusz był bardzo skromny i nie życzył sobie pompacyjnego pogrzebu. Zmarłego żegnali: minister Andrzej Przewoźnik – Sekretarz Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, ordynariusz Łucka biskup Marcjan Trofimiuk, Andrzej Kaminski – prezes Zarządu Głównego TMLiKPW, wiceprezes warszawskiego Oddziału TMLiKPW i inni przyjaciele. Za trumną, wieszoną na ręcznym wózku, ruszyliśmy ścieżkami wśród różnorodnych drzew na miejsce spoczynku. Za krzyżem szły poczty sztandarowe i delegacje. Byli harcerze ze Lwowa z komendantem dh Adamskim, był z nimi p. Cydzik – opiekun Cmentarza Orląt Lwowskich, Zarząd Główny TMLiKPW, Zarządy Oddziałów z Warszawy, Krakowa, Lublina, Poznania i wielu innych. Grudki ziemi z Cmentarza Orląt przywieźli harcerze. Zadudniły głośno, jakby echem ze Lwowa. Zapewne ksiądz zasłużył sobie na tak piękne miejsce spoczynku, na słoneczną pogodę, na wiele, wiele kwiatów złożonych na Jego mogile.

Nie wrócił na Ziemię Krzemieniecką, ale Jego duch na pewno znalazł się na Górze Bony nad rzeką Ikwą, nad Horyniem, nad bezkresnym Podolem. Tam spoczywają prochy matki, która zmarła, gdy był kilkuletnim chłopcem.

Będzie nam Kresowiakom brakowało Księdza Janusza. Będziemy się modlić za Niego i do Niego, aby wypraszał nam łaski u Boga. □

Marian Hemar

Strofy lwowskie

Śmierć na obczyźnie nas wymiata
Jak pajęczyny w kącie.
Coraz nas mniej z naszego świata
Co się oddala i odlata
I tylko po nim dzwony dzwońcie.

Coraz tu ktoś upada obok
Coraz topnieją nasze rzędy
I dawnej słyhać krzyk komendy
„Szłusuj!”
I ścieśnia się czworobok
I zamykają się szeregi,
Bez przyjaciela
Bez kolegi.

Nasz front,
Na wszystkich świata mapach
Tą samą wykreślamy kreską.
Ale pośrodku czworoboku
Jeszcze chorągiew wieje w mroku
A na niej krzyż
Z czarno-niebieską
Wstążką i Lew
Na tylnych łapach.

Do czyich rąk ostatni z nas
Odda chorągwi drzewce? Komu
Przekaze, gdy nadejdzie czas,
Aby nią cało niósł do domu?
Gdzie są te ręce, w które my
Oddamy nasze gwiazdy, szarfy,
Pieśni, marzenia, struny, harfy,
Przysięgi, krzyże, wiersze,
Lwy?

Marek Białokur

Katedra Historii Krajów Europy Środkowo-Wschodniej
Instytutu Historii Uniwersytetu Opolskiego

Joachim Bartoszewicz we Lwowie (1894-1904) (II)



Joachim Bartoszewicz.

Zdjęcie zostało wykonane we Lwowie w 1898 r.

Lista naukowych znakomości lwowskiego uniwersytetu, w których wykładach i seminariach miał okazję uczestniczyć Bartoszewicz, jest bardzo długa. Nie mogąc w krótkim artykule, mającym charakter szkicu biograficznego wymienić ich wszystkich, ograniczymy się do kilku charakterystycznych postaci, obok już przywołanych. I tak kolejno byli to profesorowie: Stanisław Głabiński (austriackie prawo górnicze, nauka skarbowości i ekonomii społecznej), Michał Bobrzyński (historia parlamentaryzmu w Polsce), Leonard Piętaś (austriackie prawo handlowe), Kazimierz Twardowski (psychologia i etyka), Ernest Till (austriackie prawo prywatne), Tadeusz Piłat (prawo administracyjne i statystyka), Stanisław Starzyński (austriackie prawo karne). Grono wykładowców podobnie jak i większość ze studiujących na lwowskim uniwersytecie prawo, miała pełną świadomość

wpływu warunków polityczno-ustrojowych na kierunek ich studiów, czemu niejednokrotnie dawali wyraz w krytyce funkcjonowania austriackich instytucji prawnych i państwowych.

Pomyślnie zaliczony pierwszy rok studiów w połączeniu z coraz bardziej dającą o sobie znać potrzebą podjęcia pracy zarobkowej, skłoniły Bartoszewicza do wystąpienia z podaniem do dziekanatu o skrócenie studiów. Jego prośba dotyczyła dopuszczenia go do egzaminu prawno-historycznego i zaliczenia odbytych studiów medycznych oraz dyplomatycznych w Paryżu. W pierwszym półroczu 1896 roku z uwagi na szereg różnic programowych pomiędzy kierunkami i wymagane zaliczenia z szeregu przedmiotów, prośbę jego odrzucono. Po uzupełnieniu brakujących przedmiotów jesienią 1896 r., decyzją Ministra Wyznań i Oświaty został dopuszczony do złożenia sądowego i politycznego egzaminu rządowego. Oba wymienione egzaminy zdał



Dyplom ukończenia studiów prawnych na Uniwersytecie Lwowskim w 1899 r.

w 1897 roku, uzyskując odpowiednio z sądowego wynik dobry, a z politycznego dobry z wyróżnieniem. Decydując się jeszcze przed egzaminami na wybór specjalności, skłonił się ku prawu międzynarodowemu. Zaowocowało to napisaniem rozprawy doktorskiej w języku niemieckim pt. "Die Erbschaftsteuer im internationalen Rechte". Dyplom na którym widniało nazwisko Bartoszewicza i data 5 grudnia 1897 r., stanowił zwieńczenie trzyletnich studiów. Tak szybki nawet jak na ówczesne realia okres zaliczenia studiów był wynikiem wewnętrznej samodyscypliny Bartoszewicza połączonej z determinacją oraz wcześniejszymi doświadczeniami akademickimi. Dyplom dawał mu nie tylko wielką satysfakcję, ale stwarzał przede wszystkim nowe możliwości, tak w kontekście awansu zawodowego, jak i pozycji społecznej.

W odtworzeniu lwowskich lat Joachima Bartoszewicza, a ściślej studiów na Uniwersytecie Lwowskim, bezcenne okazały się wspomnienia Zdzisława Dębickiego, podobnie jak w przypadku Bartoszewicza przybyłego do Lwowa z Królestwa. Dzięki studiom na tym samym wydziale lwowskiej uczelni, Dębicki miał okazję poznać Bartoszewicza, czemu dał wyraz w swoich *Iskrach z popiołów*, pisząc o nim m. in.: „Przystojny, elegancki blondyn, zawsze w cylindrze i zawsze w rękawiczkach, zasiadał w pierwszej ławce i słuchał bardzo uważnie. Wskutek poważnego wyglądu młodzi, przybywający na zakończenie półrocznej prowincji studenci, zaczepiali go nieraz na korytarzu, prosząc o t. zw. testy, czyli zaświadczenie w swoich indeksach. Nie mogli wyjść z podziwu, dowiadując się, że to nie profesor, ale taki sam słuchacz jak inni”.

Studia odbyte na Uniwersytecie Lwowskim, jak i samą uczelnię Bartoszewicz po latach wspominał z sentymentem. Przypisywał lwowskiej wszechnicy ogromną rolę w rozwoju nauki na Kresach. Szczególnie mocno podkreślał jej znaczenie w procesie wzmacniania polskiego ducha. Obraz lwowskiej uczelni i jej wyjątkowy klimat, który opisał po latach, jest znamienym tego dowodem. Czytamy w nim m. in.: „W boju, w obronie, w ciągłych szamotaniach się swoistego nabrał ten uniwersytet charakteru. Nie jest to spokojny, zaciszny, od świata oderwany przybytek wiedzy, gdzie czysta nauka króluje w swym niewzruszonym nadziemskim majestacie. Tam życie wlewa się gorącą, namiętną, dziką nieraz falą w omszałe, stare mury akademickiego gmachu. Tam profesor i uczeń jednocześnie o nauce i o warunkach tej nauki, o bycie nieraz samej szkoły myśleć i decydować muszą. I dlatego ci, co w walącym się pojezuickim domku lwowskiego uniwersytetu studia swe czynili, tak skorzy są do czynnej pracy obywatelskiej, do służenia krajowi nie tylko jako kapłani, prawnicy, lekarze, nauczyciele, lecz przede wszystkim jako obywatele. Dobrych obywateli przygotował lwowski uniwersytet krajowi i Polsce”. W ustach Bartoszewicza – jako jej absolwenta – opinia ta brzmi nieskromnie. Sądzę, że dość trafnie jednak odzwierciedla rolę jaką przyszło na przestrzeni wieków odegrać powołanemu w 1661 r. uniwersytetowi.

Bezpośrednio po ukończeniu studiów Bartoszewicz zatrudnił się w Wydziale Krajowym, gdzie miał okazję zapoznać się ze specyfiką pracy administracyjnej. Powodem, o którym nie można zapomnieć, było również uzyskanie stałego źródła utrzymania. Bartoszewicz jak

możemy wnosić z licznych zachowanych w rodzinnych albumach zdjęć był kawalerem, który mógł robić na kobietach wrażenie. Przystojny młodzieniec o niebieskich oczach i jasnym podkreśnionym wąsie, miał jeden tylko mankament: brak majątku. Dla przyszłej teściowej Zofii Jełowickiej był początkowo tylko urzędnikiem Wydziału Krajowego i choć bardzo zdolnym i wykształconym, to jednak uzależnionym od pensji otrzymywanej za własną pracę. Jak anachronicznie brzmią te słowa dzisiaj. Pamiętajmy jednak, że odzwierciedlają one sposób myślenia dużej części polskiego społeczeństwa.

W rolę swata, jak należy przypuszczać nie do końca zamierzoną, wcielił się zaprzyjaźniony z Bartoszewiczem kustosz Biblioteki Ossolińskich, ceniony historyk Aleksander Hirsberg. Tej niezwykle charakterystycznej dla Lwowa przełomu wieków postaci Bartoszewicz zawdzięczał wprowadzenie w lwowskie środowisko. Wybranką Joachima Bartoszewicza była Maria, jedna z dwóch córek Zofii Jełowickiej, do domu której wprowadzony został przez Aleksandra Hirsberga. Zaledwie kilku miesięcy potrzebowali młodzi aby przekonać się do siebie i nakłonić rodziców, do udzielenia im błogosławieństwa. Ślub, na którym jednym ze świadków był Aleksander Hirsberg, odbył się 16 lipca 1898 r. w kościele św. Marii Magdaleny. Niemal dokładnie rok później, Joachimowi i Marii Bartoszewiczom mieszkającym od dnia ślubu przy ulicy Kraszewskiego urodził się pierworodny syn – Włodzimierz Bartoszewicz, autor często cytowanych w artykule wspomnień. Zawarte małżeństwo stanowiło kolejny dowód, że w biografii Joachima Bartoszewicza Lwów zapisał się jak dowodzą przytoczone fakty w szczególnie sposób, a Maria okazała się być opoką dla męża przez kolejne czterdzieści lat ich wspólnego pożycia.

Problemy dnia codziennego i trudne do zrealizowania ambitne plany zawodowe przysparzały Bartoszewiczowi nie mało problemów. Jednym z pierwszych była niezrealizowana i wciąż wymarzona kariera naukowa. Od czasu paryskich studiów planował taki właśnie kierunek przyszłej drogi życiowej. Pierwszy krok został poczyniony w momencie uzyskania doktoratu z prawa na lwowskiej uczelni. Jej zwieńczenie miało stanowić uzyskanie katedry na lwowskim uniwersytecie.

Preludium do przyszłej wymarzonej kariery naukowej Bartoszewicza, stanowiły publikacje będące pokłosiem jego pracy w Biurze Statystycznym Wydziału Krajowego. W ramach wydawanych przez Krajowe Biuro Statystyczne „Wiadomości Statystycznych”, redagowanych przez prof. Tadeusza Piłata, wydał dwie prace. W 1901 roku ukazała się rozprawa pt. *Opieka nad ubogimi w Galicji*. W tej blisko stustronicowej pracy zawarty został bogaty materiał statystyczny, obrazujący stan opieki nad ubogimi w Galicji na przełomie XIX i XX w. W „Wiadomościach Statystycznych” Joachim Bartoszewicz opublikował także pracę pt.: *Sila podatkowa gmin wiejskich w Galicji*. Wymienione rozprawy, w połączeniu z szeregiem sprawozdań i memoriałów opracowywanych na potrzeby Wydziału Krajowego, dowodzą sporej aktywności i naukowego zacięcia Bartoszewicza. Warto przywołać w tym miejscu choćby przygotowany przez niego, na polecenie Marszałka Badeniego, projekt prawa podatkowego dla towarzystw asekuracyjnych, przedłożony następnie Sejmowi Krajowemu. Podnosząc swoje

zawodowe kwalifikacje Bartoszewicz, o czym warto wspomnieć, uczestniczył w kursie nauk handlowych i buchalterii w Szkole Handlowej P.L. Veltre, dzięki czemu ugruntował swoją pozycję, wzbogacając tym samym własne umiejętności.

W okresie dziesięcioletniego pobytu Joachima Bartoszewicza w Galicji godny odnotowania jest również gospodarczy aspekt jego biografii, związany z pełnieniem funkcji administratora kopalni nafty. Okoliczności podjęcia się tak nietypowego dla niego zadania, od samego początku były co najmniej dziwne. I tak, kandydatura urzędnika Wydziału Krajowego na stanowisko dyrektora kopalni zrodziła się na spotkaniu przedstawicieli belgijsko-francuskiego towarzystwa "Societe anonyme de petrole de Wolanka-Boryslaw" z ambasadorem francuskim w Wiedniu. Hrabia de Reverceau, bo o nim mowa, osobiście dobrze znał Bartoszewicza i stąd zapewne wypłynęła propozycja obsadzenia Joachima Bartoszewicza na wakującym etacie. Po tej rozmowie sprawy potoczyły się błyskawicznie, a upór proponujących Bartoszewiczowi ofertę pracy przedstawicieli belgijsko-francuskiego towarzystwa był tak wielki, iż po krótkim namyśle wyraził zgodę i przyjął posadę. Decyzja ta dla historyka pracującego nad biografią Joachima Bartoszewicza wydaje się być z wielu powodów co najmniej niespodziewaną. Przemawia za taką oceną zupełny brak doświadczenia na podobnym stanowisku, a przede wszystkim nieznanie problematyki gospodarczej, a w szczególności zagadnień związanych z górnictwem. Zdaniem Włodzimierza Bartoszewicza, z tej zupełnie nowej roli miał wywiązać się w niezłym stopniu. I gdyby nie ogólne pogorszenie sytuacji gospodarczej, które ostatecznie doprowadziło do zamknięcia kopalni, kto wie czy przyszedłby senator II Rzeczypospolitej i jeden z najbardziej znaczących ideologów Narodowej Demokracji, nie zostałby prywatnym przedsiębiorcą.

Wspomniany już francuski ambasador w Wiedniu hrabia de Reverceau był także spiritus movens kolejnego pomysłu, w którego realizację postanowił zaangażować Joachima Bartoszewicza. Tym razem propozycja dotyczyła objęcia stanowiska konsula honorowego Francji we Lwowie. Miało to miejsce w 1903 r., kiedy to Bartoszewicz intensywnie poszukiwał okazji do urozmaicenia monotonnej pracy w Wydziale Krajowym. Całej sprawie kolorytu dodaje fakt, że zgodę na objęcie tej funkcji przez niego jako poddanego rosyjskiego, musiał wyrazić ambasador rosyjski w Wiedniu. Aprobata nastąpiła stosunkowo szybko. Niestety, do objęcia przez niego konsulat nie doszło, z powodu zdecydowanego sprzeciwu marszałka krajowego Stanisława Badeniego. Postawa marszałka w tej sprawie wyrażająca się m. in. w groźbie ustąpienia z zajmowanego stanowiska w przypadku objęcia przez Bartoszewicza konsulat, wydaje się mieć jakieś osobiste podłoże, gdyż trudno wskazać inne racjonalne przesłanki. Ostatecznie upór Badeniego doprowadził do sytuacji, w której Joachim Bartoszewicz zrezygnował z ubiegania się o stanowisko konsularne, o czym poinformował hr. de Reverceau w specjalnym liście, kończąc tym samym spór pomiędzy Lwowem, Wiedniem a Paryżem. Opisana sytuacja, podobnie jak wcześniej przywołana przygoda z przemysłem wydobywczym, przyczyniła się do tego, że pobyt Bartoszewicza we Lwowie powoli dobiegał końca. Czy chciał

stawić czoła nowym wyzwaniom, czy też o kolejnych przenosinach tym razem już z rodziną decydowały kwestie związane ze specyficzną atmosferą Lwowa, trudno jednoznacznie rozstrzygnąć.

Pobyt we Lwowie oznaczał także dla Joachima Bartoszewicza początek kariery publicystycznej. W rodzinnych wspomnieniach czytamy na ten temat m. in.: „... wkrótce po swym przyjeździe do Lwowa ojciec mój – pisze Włodzimierz Bartoszewicz – poznał szereg wybitnych ludzi, organizujących i kierujących życiem politycznym, społecznym i kulturalnym tego miasta. Trafił właśnie na moment, gdy zaczynało się realizować założenie wielkiego codziennego pisma polskiego. Wraz z Tadeuszem Skalkowskim, Albinem Rayskim, Aleksandrem Hirsbergiem i Tadeuszem Romanowiczem wziął udział w zorganizowaniu i założeniu dziennika „Słowo Polskie”, które miało w przyszłości odegrać poważną rolę w kształtowaniu politycznych i kulturalnych poglądów społeczeństwa lwowskiego”. Na łamach „Słowa Polskiego” Bartoszewicz zamieszczał głównie artykuły z dziedziny polityki zagranicznej. Analiza jego publicystyki także z lat późniejszych tj. okresu kiedy redagował „Dziennik Kijowski” (1906-1912), czy też współpracował z redakcjami „Gazety Warszawskiej” i „Kuriera Poznańskiego” (1918-1938), dowodzi, że zagadnienia polityki międzynarodowej należały do najczęściej podnoszonych w jego artykułach. Nie będąc stałym współpracownikiem lwowskiego dziennika, miał ograniczony wpływ na kształtowanie oblicza społeczno-politycznego „Słowa”, jak i na poglądy czytelników lwowskiego dziennika. Zdobyte wówczas doświadczenie i wypracowany warsztat zaowocowały w przyszłości. Mamy tu na myśli przede wszystkim kijowskie lata, kiedy to redagował „Dziennik”, jak i okres drugiej Rzeczypospolitej, gdy zyskał sobie miano jednego z bardziej cenionych publicystów obozu narodowo-demokratycznego. Współpracy z redakcją „Słowa Polskiego” Bartoszewicz nie zakończył w chwili opuszczenia Lwowa w 1904 r. Kontynuował ją aż do momentu kiedy w 1906 r., pochłonięty został w pełni pracą w redakcji pierwszego polskiego codziennego pisma na Rusi. Jego nazwisko kojarzono po latach z publikacjami w „Słowie”, dzięki czemu mógł okazjonalnie zamieszczać artykuły w wydawanych we Lwowie periodykach.

Wspomniane już niepowodzenia, którym przyszło stawić czoła Bartoszewiczowi, jak niemożność uzyskania habilitacji na lwowskim uniwersytecie, czy też trudności stwarzane mu przy nominacji na konsula honorowego Francji we Lwowie, w powiązaniu z nowymi okolicznościami rodzinnymi, stały się bezpośrednim powodem wyjazdu wraz z rodziną na Wołyń. Tymi nowymi okolicznościami była konieczność ratowania majątku teściów, gospodarujących w Brykuli znajdującej się w powiecie zasławskim, na obszarze tzw. „prowincji zabranych”. Obowiązujące wówczas w carskim imperium prawo mówiło, że w sytuacji zmiany poddaństwa z rosyjskiego na austriackie właściciel ziemi bądź jego spadkobiercy, tracą majątek na rzecz rosyjskiego rządu. Do takiej sytuacji Bartoszewicz, myślący już wówczas w kategorii interesu narodowego, nie mógł dopuścić. Decyzja o przeprowadzce na Wołyń wywołała w gronie jego lwowskich przyjaciół spore zdziwienie. Pytano go często dlaczego mając blisko czterdzieści lat, rodzinę i

przysłowiowy ciepły kąt, decyduje się na krok tak radykalnie odmieniający dotychczasowe życie. Odpowiedź na te pytania przyniosła działalność Joachima Bartoszewicza w kolejnych dekadach, kiedy to przede wszystkim potrafił zjednać sobie uznanie i sympatię ludzi. Kierując przez szereg lat redakcją największego polskiego dziennika na Ukrainie, stojąc na czele Polskiego Komitetu Wykonawczego na Rusi, biorąc aktywny udział w pracach konferencji paryskiej jako członek Komitetu Narodowego Polskiego, wreszcie zapisując kartę senatora w niepodległej Polsce (dwóch kadencji) udowodnił, że dzięki własnej pracy możliwe jest „...wybicie się ponad przeciętność zwykłego, szarego zjadacza chle-

ba”. Zmarł na rok przed wybuchem II wojny światowej – 23 IX 1938 r. w Warszawie, będąc do końca swych dni aktywnym uczestnikiem wydarzeń politycznych.

Do Lwowa Bartoszewicz po 1904 roku na dłużej już nigdy nie powrócił. Bywał w nim przy okazji podróży z Kijowa do Krakowa przed rokiem 1914, czy też na okoliczność obowiązków które pełnił w strukturach Związku Ludowo-Narodowego i Stronnictwa Narodowego. Miasto nad Pełnią, zawsze wierne Rzeczypospolitej, gościło jednak często z racji rangi i znaczenia na kartach jego licznych książek i artykułów, głównie w kontekście zagadnień kresowych, które często były tematem jego publikacji. □

Antoni Mieczysław Dancewicz

Chodorów

Opowieść o losach miasta i jego mieszkańców (c.d.)

11. Szkolnictwo

W encyklopedii z 1861 r. wspomina się, że w Chodorowie istnieje szkoła parafialna. Zapewne przy parafii rzymsko-katolickiej. W każdym razie w księgach metrykalnych (księga małżeństw) parafii chodorowskiej z pierwszej połowy XIX w. znajdują się podpisywane znakiem krzyża liczne deklaracje niepiśmiennych ojców zezwalające na zawarcie małżeństwa przez swoje niepełnoletnie dzieci (poniżej 24 roku życia).

W latach 70-tych XVIII w. przeprowadzono w cesarstwie austro-węgierskim reformę szkolnictwa dzieląc szkoły na trywialne, główne i normalne. A także tworząc gimnazja i szkoły realne. Każda gmina obowiązana była do utworzenia i utrzymywania szkoły trywialnej. Jednak realizowanie tego obowiązku postępowało bardzo powoli, tym bardziej, że kościół uważał nauczanie za swoją domenę.

W Chodorowie gminna szkoła trywialna powstaje dopiero w 1857 r. W szkole trywialnej uczono czytania, pisania, religii i historii biblijnej, rachunków i zasad gospodarowania. W 1867 r. wprowadzony został w Galicji język polski jako drugi język urzędowy. Był on też językiem nauczania w szkołach. Pod koniec wieku szkoła w Chodorowie prawdopodobnie stała się szkołą główną, to jest taką, w której obsada nauczycielska była 3-4 osobowa i nauka trwała 3 lub 4 lata. Program nauczania był rozszerzony i obejmował dodatkowo geografii, geometrię z rysunkami, początki łaciny. W obrębie parafii chodorowskiej funkcjonowały ponadto cztery szkoły trywialne i trzy parochialne [14]. Na początku wieku XX szkoła w Chodorowie była już szkołą pięcioklasową. Po ukończeniu szkoły czteroletniej można było zdawać do 8-letniego gimnazjum, którego w tym czasie w Chodorowie nie było. Językiem wykładowym w tych szkołach państwowych był j. polski, czemu przeciwni byli Rusini. Jeszcze w 1868 r. powstaje we Lwowie Ukraińskie Towarzystwo Oświatowe „Proświta”, które organizuje sieć terenową swoich oddziałów, a w ich ramach nauczanie w języku ruskim w tzw. „Ridnych Szkołach”. Na przełomie wieków „Ridna Szkoła” powstała też w Chodorowie.

Publiczna szkoła miejska, jaka powstała w Chodorowie po wojnie była już sześć- i siedmioletnią szkołą powszechną. Mieściła się ona początkowo w budynku

sądu i innych budynkach. W 1927/28 r. przeniesiona została do nowowyprowadzanego własnego budynku szkolnego. Właściwie były to dwie szkoły, męska i żeńska. Uczęszczali do nich na początku lat trzydziestych ub. wieku kilkaset uczniów, a program obejmował też nauczanie j. ruskiego. W tej sytuacji „Ridna Szkoła” traciła na znaczeniu. Obejmowała ona niewielkie grono uczniów, którzy przechodzili po kilku latach do szkoły publicznej lub musieli się dalej kształcić w nielicznych na terenie Kresów Wschodnich szkołach średnich z ruskim językiem nauczania.

Dyrektorem szkoły męskiej w Chodorowie był początkowo Władysław Hassny, a po jego przejściu na emeryturę, od 1937 r. Edward Huczek. Nauczycielami byli m.in. A. Stokalk, S. Strześniewicz, M. Cwenówna. Szkole żeńskiej przewodziła początkowo pani Peleńska, następnie Kwaśniewska-Waligórska. Nauczycielkami były m. in. Królowa, Ficowska, Hydzikówna. Wg informacji Tadeusza Krupińskiego, syna notariusza z Chodorowa, w połowie lat dwudziestych, a może i wcześniej, zawiązało się w Chodorowie Towarzystwo Zakładów Naukowych Ogólnokształcących i Zawodowych im. Artura Grottgera. Prowadziło ono kursy wieczorowe, na które uczęszczali rzemieślnicy i kupcy zobowiązani do posiadania świadectwa wykształcenia. Wkrótce Towarzystwo to utworzyło gimnazjum prywatne. Przypuszczalnie w 1927/8 r., kiedy ukończona została budowa gmachu szkolnego. Pierwszym dyrektorem gimnazjum był emerytowany nauczyciel ze Lwowa Adam Cechak, a jego zastępcą nauczyciel chodorowiak Władysław Bunikiewicz, młodszy brat znanego w Chodorowie adwokata Tadeusza Bunikiewicza. Zorganizowanie gimnazjum było dziełem tych dwóch ludzi. Gimnazjum też nazwano imieniem Artura Grottgera, który urodził się w 1837 r. i; a; ta dziecięcę spędził w pobliskich Ottyniowicach. W 100-lecie jego urodzin odbyła się w Ottyniowcach wielka uroczystość z mszą połową celebrowaną przez dziekana Klecana. Na ścianie pałacu ks. Woronieckich wmurowano odpowiednią tablicę pamiątkową. W uroczystości tej uczestniczyliśmy również my, uczniowie gimnazjum chodorowskiego. Zetknęliśmy się wówczas z ludźmi kultury i sztuki znanymi nam przed tym jedynie z gazet.

Gimnazjum mieściło się w budynku Publicznej Szkoły Powszechnej, a z czasem, po przeniesieniu się księcia E. Lubomirskiego z „Albinówki” do swego pałacu, uzyskało na swoje cele także ten budynek. W budynku Publicznej Szkoły Powszechnej mieściły się niższe klasy gimnazjum, a w „Albinówce” uczyły się klasy starsze oraz licealne. Liceum miało charakter humanistyczny. Dlatego część uczniów po ukończeniu IV klasy i uzyskaniu tzw. małej matury (zakończeniu nauki w gimnazjum), mając zamiar kształcić się w innym kierunku (przyrodniczym, klasycznym, mat.-fiz. czy w technikach specjalistycznych), przenosiła się do innych szkół, na ogół do Lwowa. W „Albinówce” były też pracownie do zajęć praktycznych i biologii oraz sala gimnastyczna. Tuż obok „Albinówki” rozpoczęto przed wojną budowę nowego budynku gimnazjum. Oddano go do użytku w 1940 r., już po inwazji sowieckiej.

Dyrektorem gimnazjum w okresie początkowym był, jak wspomina Tadeusz Krupiński, p. Adam Cechak. Po pięciu latach zastąpił go emerytowany nauczyciel ze szkoły kadetów we Lwowie Jan Jaszowski, człowiek dość nieprzystępny i niezbyt lubiany przez uczniów. Wicedyrektorem nadal był W. Bunikiewicz, lecz nie wiem jak długo. W połowie lat trzydziestych w skład grona profesorskiego gimnazjum wchodził: ks. Michał Lewandowski (katecheta), (od 1937 r. katechetą był ks. Bronisław Gałoński), mgr Paulina Teichmanowa (j. niemiecki), dr Kazimierz Barański (j. polski), mgr Eugeniusz Lewicki (fizyka/chemia), mgr Irena Morska (biologia, przyroda) mgr Kazimiera Czermakówna (historia i geografia), inż. Faustyn Krahl (matematyka), mgr Tadeusz Kowalski (łacina), mgr Czesław Borzęcki i p. Widy-pulowa (wych. fiz.), Eustachy Kuhajewicz i Maria Krzyżanowska (roboty ręczne). W okresie wcześniejszym wg T. Krupińskiego nauczali też Władysław Bunikiewicz, Artur Rutkowski (rysunek), Kuraś (geografia) i Burcho-wicz (wych. fiz.). Mgr Eugeniusz Lewicki zorganizował i prowadził orkiestrę szkolną, a pani Widy-pulowa zespół teatralny. W okresie letnim organizowano tradycyjne wycieczki piesze, najczęściej nad Dniestr.

Narodowość nauczycieli nie była istotna. W gronie nauczycielskim byli więc i Polacy i Rusini i Żydzi. I prawdę powiedziawszy my uczniowie nie zwracaliśmy na to uwagi, a nawet nie bardzo byliśmy świadomi tego, kto jest kim. Drastycznie zmieniło się to jesienią 1939 r., kiedy Sowietci wspólnie z miejscowymi komunistami zreformowali szkołę, wyrzucając z niej przede wszystkim nauczycieli Polaków. Utworzono jednolitą szkołę dziesięcioletnią, której dyrektorem został przysłany Rosjanin o polskim nazwisku Sokołowski (uczył fizyki). Jego zastępcą był Tadeusz Kowalski, łacinnik ukraińskiego pochodzenia. Językiem wykładowym od 1940 r. był ukraiński, ale nie było odpowiednich podręczników, a ponadto nie tylko niektórzy uczniowie nie znali języka ukraińskiego. Nauczyciele przysłani z Moskwy też go nie znali. Nauka w roku 1939/40, a także i później była wielką prowizorką. Uczniowie klasy maturalnej (II licealnej) znaleźli się w klasie dziesiątej, kończąc ją w 1940 r. egzaminem, który od biedy można nazwać maturą.

Wieczorowa, Doksztalająca Szkoła Zawodowa wspomnianego wyżej Towarzystwa Zakładów Naukowych istniała też w latach trzydziestych. Jej dyrektorem był wówczas inż. Faustyn Krahl. Szkoła czynna była pięć dni w tygodniu, a nauka odbywała się popołudniami w budynku Publicznej Szkoły Powszechnej. Do tej szkoły uczęszczała młodzież ucząca się różnych zawo-

dów rzemieślniczych. Były też w tej szkole oddziały handlowe. Szkoła miała charakter obecnych szkół zawodowych.

12. Druga wojna światowa

Wybuch II wojny światowej zapoczątkował nowy zwrot w historii i losach Polski. Także Chodorowa. Pierwsze dni wojny porażały komunikatami radiowymi. Niezrozumiałymi postęпами Niemców na wszystkich frontach. Gdzie się podziały deklaracje, że nie oddamy ani piędzi ziemi? Przez Chodorów zaczęły przejeżdżać pociągi z uciekinierami z krakowskiego. Ich powieści o atakach lotniczych na pociągi osobowe były niezrozumiałe. Bombardowanie ludności cywilnej? Bardzo szybko sami staliśmy się świadkami takich akcji. Węzeł kolejowy w Chodorowie został zbombardowany już trzeciego dnia wojny, wzniesając pożar i ogromną panikę, szczególnie wśród uciekinierów i mieszkańców z okolic stacji kolejowej. Magistrat zaczął organizować oddziały dla ochrony i obrony (!) miasta. Byłem akurat po miesięcznym przeszkoleniu POW więc się zgłosiłem i ze znanym mi ze szkolenia karabinem pamiętającym I wojnę światową poszedłem strzec budynku sądu. Po dwóch godzinach miano mnie zmienić. Ale kiedy po trzech godzinach nikt się nie zjawił opuściłem posterunek i wróciłem do magistratu, gdzie już prawie nikogo nie było, a biura wyglądały jak pobojowisko. Ewakuowano się. Moja rodzina też uległa tej psychozie ucieczki przed zbliżającym się frontem. Wynajętą furmanką pojechaliśmy w buczackie, skąd pochodzili moi rodzice. Tam dopadł nas front. Ale nie niemiecki. Bardziej ze zdziwieniem i niedowierzaniem aniżeli trwogą obserwowaliśmy jak drogami wiejskimi i ścieżkami polnymi suną jak szarańcza, odziani w postrzępione szynele z karabinami przewieszonymi na sznurkach przez ramię i workami na plecach, żołnierze z czerwoną gwiazdą na szmacianych pikielhaubach. Żadnych walk nie było. Zajmowali teren. Opór zbrojny nielicznych oddziałów KOP w pasie przygranicznym został złamany już pierwszego dnia, 17 września 1939 r.

Do Chodorowa wojska sowieckie wkroczyły 22 września. Kilko moich kolegów szkolnych obserwowało ten wjazd sowieckich pojazdów opancerzonych. Inni wspominają oddziały konne, które rozjechały się po bocznych ulicach sięjąc strach i przerażenie. Zgodnie z porozumieniem niemiecko-sowieckim tereny na wschód od Bugu i Sanu, z więc i Chodorów przyłączono do Związku Sowieckiego. Chodorów znalazł się w Ukrainie Sowieckiej, której partia komunistyczna przy współpracy miejscowych komunistów (głównie pochodzenia żydowskiego) zaczęła swoje rządy w miasteczku. Prawie natychmiast zorganizowały się nowe władze miasta. Zaczęli rządzić komuniści miejscowi pod egidą przybyłych funkcjonariuszy NKWD. I oczywiście pierwszą ich czynnością było usunięcie prominentnych działaczy polskich. Już 5 października wieczorem aresztowano kilkanaście osób. Między innymi Alfreda Stokalka, wiceburmistrza Hipolita Hydzika, adwokata dr. Giedymina Bunikiewicza. Nazwiska innych zatarły się w pamięci. Wszyscy oni, oprócz Stokalka, który już ciężko chory, na noszach wrócił do domu po trzech tygodniach więzienia w Bóbrce, zostali wywiezieni na wschód, do więzień i łagrów, z których nie wszyscy powrócili. Ich rodziny, rodziny oficerów, którzy nie powrócili z wojny, a także szereg innych rodzin wywieziono w kwietniu 1940 r., w drugiej połowie lutego turze masowych deportacji. Nocą 10.02.1940 r., bez jakichkolwiek pozorów prawnych,

wywieziono mieszkańców Kremerówki, osadników przybyłych do Chodorowa w latach dwudziestych, a także rodziny polskie z innych osiedli i okolic. W 1989 r. Jan Szynalski relacjonował, że z Nowosielec k. Żurawna wywieziono tej samej nocy kilkanaście rodzin polskich. Uratowali się wówczas niewielu uciekając w mroźną noc w samej białej i boso, jak np. mój kolega Staszek Stopa, który dotarł do kolegi w Horodyszczu (3 km poza Kremerówką), Ukraińca Bałaja, a stamtąd po jakimś czasie, przez zieloną granicę, do krewnych do Przeworska. Jego rodzina przeżyła w Archangielsku i po wojnie via Anglia powróciła do kraju.

Wówczas, w kwietniu 1940 r. wywiezieni zostali z Chodorowa między innymi Wróblewscy i Sierzęgowie. Na pewno także inni, o których nie mam informacji. Pamiętają o nich ich bliscy, lecz nie udało mi się z nimi skontaktować.

Po przyjeździe bolszewików ścigani też byli nacjonaliści ukraińscy. Spora liczba i Polaków, i Ukraińców znalazła się w więzieniach bolszewickich. Wielu z nich stracono lub zesłano do gułagów. Masowe mordy więźniów dokonywane przez NKWD miały miejsce tuż przed ucieczką bolszewików przed nadciągającymi wojskami hitlerowskimi w czerwcu 1941 r. O zabijaniu osób więzionych przez NKWD w Stryju opowiadał mi cudem ocalały Jurewicz, nacjonalista ukraiński. Przeżył, ponieważ siedział w kącie celi, gdzie przebywało kilkadziesiąt osób i nie zgłaszał się, gdy go wywoływano. W końcu oprawcy musieli już uciekać, nie dokończywszy dzieła. W ten sposób on wraz z szeregiem innych więźniów uratowali się.

Ani terror bolszewicki ani późniejsze działania hitlerowców nie zahamowały działalności na rzecz niepodległości. Zeszła ona jednak do podziemia.

W 1941 r. rozpoczęła się okupacja niemiecka. Wielkie nadzieje wiązały z tym organizacje niepodległościowe Ukraińców. Przystąpiły one natychmiast do jawnego tworzenia swoich oddziałów bojowych i ich szkolenia. Ukraińcy oczekiwali, że Niemcy zgodzą się na utworzenie państwa ukraińskiego. Marzenia te zostały jednak szybko rozwiane przez okupanta, który tereny Małopolski Wschodniej przyłączył do Generalnego Gubernatorstwa. Walka o niepodległość zarówno polskiej AK, jak i Ukraińskiej Armii Powstańczej zeszła do podziemia. Z tym, że część UPA, a mianowicie frakcja kierowana przez Melnyka poszła na współpracę z Niemcami i weszła do utworzonej dywizji SS Galizien, natomiast frakcja dowodzona przez Bandere, głosząc całkowitą niepodległość Ukrainy Zachodniej walczyła zarówno przeciw partyzantce radzieckiej, jak też przeciwko Polakom, dążąc do usunięcia ich krwawym terrorem z terenów Ukrainy Zachodniej. Wiosną 1944 r. wielu Polaków i Ukraińców z Chodorowa, pamiętających, czym były rządy bolszewików w latach 1939-1941 opuściło miasto udając się na zachód. Polacy zatrzymali się na terenach polskich, często u krewnych lub znajomych. Ukraińcy natomiast emigrowali dalej na zachód, do Austrii i Niemiec, skąd już po zakończeniu wojny wyjeżdżali dalej, do Anglii, Francji i na drugą półkulę. Polska nie była dla nich zbyt bezpiecznym krajem, gdyż wielu z nich aktywnie uczestniczyło w mordowaniu Polaków i niszczeniu ich siedzib na wschodzie, także w Chodorowie. W mieście pozostali przeważnie ludzie starsi i dzieci, także ludzie, którzy niezbyt chętnie chcieli opuścić swoją ojcowiznę.

I rację mieli ci, którzy opuścili Chodorów przed przyjeściem bolszewików. Ponowne „wyzwolenie terenów Ma-

łopolski Wschodniej przez wojska sowieckie w 1944 r. zapoczątkowało bowiem drugą fazę represji, skierowaną przede wszystkim przeciw członkom miejscowych organizacji armii wyzwoleniczych. Dotyczyło to zarówno AK jak i UPA. Wielu aresztowano i zesłano do łagrów.

13. Zakończenie

Powstanie PRL, w której rządy objęli komuniści poddani w pełni dyktatowi Moskwy, niewiele zmieniło w losach tych, którzy całą okupację walczyli o wolność. Akowcy, nawet ci, którzy się ujawnili, byli wrogami niszczonymi na wszelkie możliwe sposoby przez UB za pomocą „doradców” sowieckich. Jednostkowy przykład losów akowca opisał w swoich wspomnieniach z lat wojny i okupacji Kazimierz Bogacz, którego żoną była chodorowianka, Dziunka Żarow. Oboje wycierpieli wiele w PRL-owskich więzieniach [15].

ZSRR doświadczone w swojej polityce „przesiedlania” całych grup społecznych, jak choćby Polaków z Ukrainy Radzieckiej do Kazachstanu w latach trzydziestych, spowodowało „uregulowanie” problematyki narodowościowej terenów Ukrainy Zachodniej oraz wschodnich połaci PRL: zaczęły się przesiedlenia i wysiedlenia na olbrzymią skalę, obejmujące po kilkaset tysięcy ludzi z obu stron, Polaków przesiedlanych z dawnych terenów wschodnich II Rzeczypospolitej do PRL-u i Ukraińców i Łemków wysiedlanych z terenów Bieszczad i Rzeszowszczyzny na wschód, na Ukrainę Zachodnią, ale także rozpraszanych na terenach Pomorza i Mazur. Kilkadziesiąt rodzin takich Ukraińców osiedlono w Chodorowie i okolicach. Natomiast Polakom, nawet tym od wieków mieszkającym w Chodorowie, odbierano domy, gospodarstwa, sprzęt, wysyłając w krótkich terminach pociągami „repatriacyjnymi” do Polski. Wysiedlani z Chodorowa osiedlali się w różnych miejscach w zależności od powiązań rodzinnych, czy zawodowych. Duże grupy osiedliły się w Raciborzu i w okolicach Wadowic, co wiązało się z miejscem pracy. W Chybiu koło Wadowic jest cukrownia, która należała do tej w Chodorowie. Po wojnie kierował nią inż. Krajewski. Dyr. inż. Adam Piotrowski pełnił już wówczas funkcję dyrektora Zjednoczenia przemysłu cukrowniczego. Ale często odwiedzał cukrownię w Chybiu. Cukrownię w Raciborzu trzeba było odbudować, gdyż, podobnie jak duża część miasta, została ona zniszczona podczas jego zajmowania przez wojska radzieckie. Fachowcy z cukrowni chodorowskiej doskonale sobie poradzili z odbudową i już w 1946 r. odbyło się otwarcie cukrowni w Raciborzu, którą po uroczystej mszy w hali fabrycznej poświęcił ksiądz pochodzący z Chodorowa. Wraz z grupą parafian osiedlił się bowiem w Raciborzu ksiądz Gałoński, który wielce się zasłużył przy odbudowie tamtejszego kościoła. Z niewiadomych mi przyczyn został jednak z tego kościoła przeniesiony po kilku latach na funkcję kapelana i kierownika Zakładu dla nieuleczalnie chorych, bodajże w Głubczycach, gdzie zmarł. W Raciborzu spora grupa chodorowiaków zamieszkała przy ul. Staszica, gdzie słyszało się „bałak lwowsko-chodorowski”, szczególnie w niedzielne popołudnia, gdy mieszkańcy wylegali na ulicę, na spacer. Oczywiście, o Chodorowie jego byli mieszkańcy – Polacy nigdy nie zapomnieli. Niektórzy zostawili tam bliskich i krewnych, z którymi kontakt za czasów sowieckich był utrudniony. Po rozpadzie Związku Radzieckiego odwiedziny były łatwiejsze. Raciborscy chodorowianie kilkakrotnie w ostatnich latach odwiedzali grupowo Chodorów. Sporą zasługę w organizacji tych wycieczek miała pani Kazimiera Piasecka.

Część chodorowiaków zamieszkała w Bytomiu i Gliwicach. Tam np. znalazł się mój kolega, Bolek Głoński, który mimo wielu trudności i szykan założył w Gliwicach kilkudziesięcioosobowe prywatne przedsiębiorstwo produkujące urządzenia mechaniki precyzyjnej eksportowane w czasach PRL do wielu państw na całym świecie. Inni znaleźli się na Dolnym Śląsku, m. in. w Opolu i okolicach, ale głównie we Wrocławiu. Tam w 1965 r. (9-10 X) i w 1970 r. odbyły się dwa kolejne zjazdy absolwentów i grona profesorskiego chodorowskiego gimnazjum. Zorganizowali te zjazdy p. Maria Hassny-Wenzowa, córka byłego dyrektora szkoły oraz Czesław Gałuszko, jeden ze starszych absolwentów gimnazjum w Chodorowie. Oboje byli mieszkańcami Wrocławia. Uczestników pierwszego zjazdu witali mottem:

„Wreszcie po wielu latach tułaczki i cierpień – wrośliśmy głęboko w ziemię naszych przodków! Witamy w Polskim Wrocławiu Profesorów, Starych Przyjaciół i Kolegów! Nie zabraknie wśród nas tych, którzy odeszli na zawsze – odżyją dziś w naszych wspomnieniach!”

Niniejsza „Opowieść” też jest takim wspomnieniem, które przeniesione na papier przeżyje nieco dłużej aniżeli wspomnienia podczas okolicznościowych spotkań. Tym bardziej, że dziś z pokolenia międzywojennego Polaków z Chodorowa zostało niewielu i wkrótce nie będzie nikogo, kto wspomniałby tamte lata. Chodorowem interesują się jeszcze ludzie, którzy tam się urodzili, lecz wyjechali w wieku dziecięcym. Pięknie o Chodorowie pisze Jerzy Masior [10]. Może więc warto zebrać i zachować okrucy wspomnień tych, którzy pamiętają dla tych, którzy się interesują swoimi korzeniami.

Z informacji niepełnych i nader skromnych, gdyż osobiście nie miałem kontaktu z „chodorowiakami” wiadomo, że prof. K. Barański działał w AK, ukrywał się po ponownym przyjeździe bolszewików, a po wojnie znalazł się w Polsce, w Łodzi, gdzie przez krótki czas jako dr filozofii pracował na kursach doszkalających nauczycieli. Zmarł w 1950 r. Jego córka, której dziadkowie ze strony matki byli Żydami, trafiła do obozu koncentracyjnego na Zamojszczyźnie, skąd zabrał ją polski strażnik ratując tym samym życie. Obecnie mieszka w Warszawie, gdzie pracuje w instytucie naukowym oraz praktykuje jako lekarz. Nasz nauczyciel wychowania fizycznego mgr Borzęcki wraz z żoną, Zofią Sasiadkówną, znaleźli się po wojnie w Mielcu. Natomiast jej brat Szczepan i zapewne kilku innych wydostali się z okupowanej Polski przez zieloną granicę na zachód i dołączyli do Armii Polskiej walczącej na Zachodzie. Szczepan ożenił się z Romką Wróblewską. Ks. Michał Lewandowski, który opuścił Chodorów przeniesiony w 1937 r. do jednej z parafii na wschodzie Polski, znalazł się po wojnie, jako kapelan wojskowy, w Anglii i tam zmarł. Za granicą,



Ze zjazdu profesorów i wychowanków gimnazjum w Chodorowie we Wrocławiu 10 X 1965 r. Fotografia ze zbiorów ks. Fr. Rozwoda

głównie w Anglii, pozostali też inni, którzy wrócili z zesłania walcząc w szeregach II Korpusu generała Andersa, jak np. Antoni Czułowski, który był jakiś czas dyrektorem muzeum Józefa Piłsudskiego w Londynie i długie lata redaktorem „Dziennika Polskiego”. Na cmentarzu lotników polskich w Newark-on-Trent spoczywa Marian Sierzęga, który zmarł z ran odniesionych podczas lotu bojowego. Jego losy wojenne warto wspomnieć. Wywieziony zaraz po wkroczeniu Sowietów, zwolniony powrócił do Chodorowa, gdzie w sądzie, z ław dla publiczności ostro sprzeciwił się ferowanemu wyrokowi wyraźnie sfabrykowanego oskarżenia mającego na celu uwięzienie nauczyciela Alfreda Atokaluka. Marian został za to uwięziony i ponownie zesłany do łagru. Stamtąd wrócił z armią Andersa. Lotnictwo było pasją Mariana, więc latał, ale nie przeżył wojny. Przeżył natomiast Janusz Hydzik, który powrócił po wojnie do Polski, do rodziny, zajął się księgarstwem, zamieszkał w Bydgoszczy i tam zmarł w 1999 r. Jego młodszy brat, Ryszard, który nie poszedł do wojska tworzonego przez Andersa, został z matką i w końcu wrócił do kraju z I Dywizją LWP, zmarł kilka lat wcześniej. Nie są mi znane losy adwokata G. Bunikiewicza. Jego żona i obie córki powróciły do Polski. Żona pomagała aktywnie w sprowadzaniu zesłańców do Armii Andersa. Wysłała też tam swoją młodszą córkę, Jadwigę. Sama już nie mogła dołączyć. Straciła nogę w wypadku i pod opieką starszej córki, Grażyny, pozostała w Kazachstanie aż do czasu, kiedy możliwa była repatriacja. Obie powróciły do kraju, a wkrótce dołączyła do nich Jadwiga, która po wojnie znalazła się w Anglii. W Londynie mieszka nadal jeden z synów przedwojennego komendanta policji w Chodorowie, Tadeusz Cichy. Cała rodzina została wywieziona przez Sowietów. Powrócili wraz z armią Andersa, chociaż nie wiem, czy wszyscy. Pozostali w Anglii, podobnie jak szereg innych osób, które wróciły z zesłania i nie chciały znaleźć się ponownie w państwie komunistycznym, jakim była PRL.

Dyrektor cukrowni, inż. Adam Piotrowski, przez cały okres wojny kierował cukrownią w Chodorowie. Jego fachowość w tym względzie doceniali nawet Sowietci, którzy pozostawili go w jego willi i w funkcji naczelnego inżyniera (dyrektorem został niefachowy komunista

Szarko, przysłany z Kijowa). Pod koniec wojny, kiedy Niemcy demontowali i wywozili co cenniejsze urządzenia fabryczne, dyr. Piotrowski przy współudziale inż. Krajewskiego i innych spowodował, że najcenniejszą część chodorowskiej wytwórni butanolu, wieże rektyfikacyjne, przetransportowano nie do Niemiec, lecz do innej cukrowni w Polsce (prawdopodobnie do cukrowni „Łubna” w Kazimierzy Wielkiej) na przechowanie. Wieże te zainstalowano pod osobistym nadzorem dyr. Piotrowskiego w nowym miejscu, w częściowo zniszczonej fabryce Hückla w Raciborzu, gdzie bardzo szybko zaczęły one pracować. Odtworzeniem produkcji zajął się dr Kovacs, szef produkcji „Butanolu” z Chodorowa. On też uruchomił dalsze produkcje (kwas cytrynowy). Był także profesorem na Politechnice Gliwickiej.

Losy dyr. Piotrowskiego w PRL zakończyły się raczej tragicznie. Jako wybitny fachowiec został dyrektorem Zjednoczenia Przemysłu Cukrowniczego i rządził nim umiejętnie lecz zgodnie ze swoim wieloletnim doświadczeniem „kapitalistycznym”. To, a także oskarżenia o „gnębienie” robotników cukrowni w Chodorowie (były tam strajki, którym sprzeciwiała się twardo dykcja) przyczyniło się do skazania go na kilkuletnie więzienie. Nie jest wykluczone, że miały w tym swój udział naciski ze strony „starszego brata”, który po jakimś czasie zaczął poszukiwać „zaginionej” aparatury butanolu i domagać się jej zwrotu, do Chodorowa. Dyr. Piotrowski zmarł w Warszawie wkrótce po wyjściu z więzienia.

Z mojej klasy gimnazjum w Chodorowie (IV klasa w 1938 r.) liczącej ponad dwadzieścia osób utrzymuję kontakt zaledwie z kilkoma, które odnalazłem dopiero pod koniec lat 90, dzięki ks. Mednisowi z Chodorowa. Książkę ten zajął się odbudową tamtejszego kościoła i na ten cel kwestował, odwiedzając skupiska byłych parafian kościoła chodorowskiego w Polsce. Z jego książki adresowej dowiedziałem się, że w Krakowie mieszka Zbigniew Stokaluk (oba urodziliśmy się w tym samym 1922 r. w Wolczatyczach). W mojej dzielnicy w Warszawie mieszka Anka Krzyżanowska, a w Sopo-

cie Zofia Berka (z d. Potaszyńska). Jej siostra, Bronisława, emer. prof. Uniwersytetu mieszka we Wrocławiu. Nie żyją już Bogumiła Stettinger, Stanisław Stopa (był docentem chemii na Politechnice we Wrocławiu), Kazimierz Mendocha (był lekarzem, mieszkał w Przeworsku), Ryszard Śliwiński (zabrany w żołnierz w 1941 r. zginął w czasie wojny). Romuald Dahl (był zawodowym wojskowym w Krakowie), Jahl zmarł jeszcze w Chodorowie. Sądzę że nasi żydowscy koledzy i koleżanki nie przeżyli Holocaustu, chociaż Hala Diamantstein, która uciekając w 1941 r. przed Niemcami wyjechała wraz z Mężem, politykiem sowieckim, na wschód, podobno przeżyła wojnę. Niesprawdzonej informacją jest też, że przeżyła ją Cyla Rotbart, ukrywana przez kogoś w Chodorowie. Nie jest mi znany los pozostałych. O Jarosławie Żmurkiewiczzie czytałem [2], że od 1938 r. należał do UPA, a po wojnie znalazł się w USA, gdzie był (jest) wybitnym działaczem tamtejszych organizacji ukraińskich. Spośród Ukraińców chodorowskich, wraz z kończącą się wojną i wycofywaniem Niemców, sporo wyemigrowało na Zachód. Byli to przede wszystkim nacjonałści, którzy aktywnie walczyli z partyzantką sowiecką i Polakami współpracując równocześnie z Niemcami. Znaleźli się oni głównie w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie, Anglii, Francji, Argentynie, ale też i w innych państwach, kryjąc często swą przeszłość wojenną i uczestnicząc w działalności emigracyjnych związków narodowych w tych krajach. Niektórzy z nich odwiedzili Chodorów na początku lat 90-tych z okazji obchodów 600-lecia naszego miasteczka. W latach 90-tych Chodorów odwiedzali też coraz częściej Polacy w nim urodzeni, mieszkający obecnie w Polsce lub za granicą. Mało jest bowiem ludzi, którzy nie chcą wspominać przeszłości, nie chcą konfrontować obecnej rzeczywistości ze wspomnieniami lub choćby tylko obejrzeć te miejsca, o których opowiadali rodzice czy dziadkowie. Taką podróż do Chodorowa odbył też syn księcia Eugeniusza Lubomirskiego, urodzony i mieszkający w Anglii [16]. Taką podróż sentymentalną odbywa wielu z nas, byłych chodorowiaków.



Z Drugiego Zjazdu koleżeńckiego profesorów i wychowanków gimnazjum w Chodorowie we Wrocławiu w 1970 r. Od lewej: B. Potaszyńska, Z. Stokaluk, S. Stopa, prof. T. Kowalski, mgr Bogusława Stettinger, K. Mendocha, Z. Potaszyńska. Zdjęcie ze zbiorów Z. Stokaluka

Młodzieżowe spotkanie...

Warszawa, maj 2002 r.

W listopadzie 2000 roku w 83 rocznicę walk o Lwów na uroczystym apelu Gimnazjum nr 27 na warszawskim Gocławiu przejęło od kończącej swą działalność Szkoły Podstawowej nr 328 im. Orłąt Lwowskich imię patrona i związane z nim tradycje. Od początku istnienia szkoły podstawowej, a potem gimnazjum funkcję dyrektora szkoły pełnił pan Apoloniusz Stawicki. Wkrótce po tej uroczystości z inicjatywy młodzieży rozpoczął swoją działalność pierwszy w Polsce Młodzieżowy Klub Miłośników Lwowa.

Młodzież, dykcja i grono nauczycielskie szkoły przez ponad 10 lat czcąc pamięć bohaterów, którzy stanęli do walki o polskość Lwowa w 1918 roku corocznie odwiedza miasto, które z rąk marszałka Piłsudskiego jako jedyne otrzymało najwyższe odznaczenie Krzyż Virtuti Militari. Kontynuując tradycje naszej szkoły oddajemy hołd bohaterskim dzieciom, młodzieży i mieszkańcom Lwowa, którzy spoczywają na Cmentarzu Orłąt. 16 maja tego roku młodzież dwóch klas pierwszych naszego gimnazjum z wychowawczyniami złożyła kwiaty, zapaliła znicze i uczciła minutą ciszy pamięć poległych obrońców. To tylko jedna z form kontynuowanych w naszym gimnazjum licznych tradycji.

Bardzo cenione przez rodziców, młodzież i grono pedagogiczne stało się odwiedzanie przez młodzież pochodzenia polskiego mieszkającą na Ukrainie naszej szkoły. Środowisko gocławskie ceni sobie tę inicjatywę. Rodzice naszych wychowanków czują się uhonorowani goszcząc dzieci Kresowiaków i ich nauczycieli. Młodzież zacieśnia więzy braterstwa, nawiązuje ze sobą kontakty, uczy się wspólnej historii, obyczajów i poznaje Kraj przodków.

W tym roku podczas wspólnego spotkania członków Młodzieżowego Klubu Miłośników Lwowa, dykcji, nauczycieli, rodziców, a także przedstawicieli Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich powstał pomysł zaproszenia młodych Polaków z miasta Dowbysza na Ukrainie znajdującego się w Okręgu Żytomierskim. W imieniu Towarzystwa Miłośni-



Otwarcie „Sali Patrona” – nauczyciele i uczniowie obu szkół, przedstawiciele TML, p. naczelnik B. Prószyńska

ków Lwowa organizacją przejazdu gości zajmowali się pp. Witold Reiss i Ryszard Orzechowski, a nasze gimnazjum zorganizowało gościom pobyt przy dużym wsparciu rodziców, sponsorów i przyznaniu środków przez panią Barbarę Prószyńską naczelnik Wydziału Oświaty, Sportu i Rekreacji Dzielnicy Praga Południe Gminy Warszawa Centrum.

I właśnie w kwietniu gościliśmy grupę uczniów (w wieku 11-17 lat) z tamtejszej szkoły ogólnokształcącej wraz z dyrektorem szkoły panem Olegiem Chomikiem i dwoma nauczycielkami. Młodzież mieszkała w domach naszych uczniów, zaś nauczyciele byli gośćmi naszego grona pedagogicznego. Dzięki uprzejmości i zaangażowaniu rodziców zapewniliśmy naszym rodakom bardzo urozmaicony i bogaty pobyt.

Zobaczyli zabytki Warszawy i innych miejsc w kraju. Bawili się i odpoczywali w wojskowym ośrodku w Ryli.

Program zwiedzania pozwolił im obejrzeć ważne dla Polaków miejsca związane z historią narodu.

Zachwycali się Dowbyszanie Pałacem w Wilanowie i słuchali jego dziejów. Uczestniczyli w lekcji historii o Łazienkach Królewskich w Pałacu na Wodzie. Byli oczarowani Zamkiem Królewskim i Starówką Warszawską. Zjedli na Starym Rynku lody, pooglądali historyczne kamieniczki, kupili pamiątki.

Wielkie wrażenie wywarła na naszych gościach wizyta w Pałacu Prezydenta Rzeczypospolitej i spotkanie z szefem Kancelarii Pana Prezydenta panem Ministrem Markiem Ungerem. Młodzież oprowadzona przez pracownika Kancelarii zwiedziła cały Pałac i ogrody, przekazała na ręce ministra przywiezione pamiątki. Wszystkim uczestnikom zrobiono zdjęcie, wręczono pamiątki i ugoszczono poczęstunkiem.

Inną lekcją historii było dla młodych Polaków z Ukrainy zwiedzenie wystawy o Marszałku Piłsudskim w rezydencji prezydenckiej Belweder oraz uczestnictwo w uroczystej zmianie warty przed Grobem Nieznanego Żołnierza.

Uważamy, że nie sposób pominąć uczestnictwa Dowbyszanie w codziennym życiu szkoły. Brali udział w lekcjach informatyki w salach komputerowych, w zajęciach sportowych na basenie „Wodnik”. Uczestniczyli w otwarciu sali patrona – Orłąt Lwowskich. Zbliżały mło-



Przed Pałacem Prezydenckim

dzień wspólne posiłki w stołówce szkolnej i wieczorne wypadki do centrów handlowych.

Goście byli zachwyceni serdecznością gospodarzy. Pożegnanie, które im zgotowaliśmy przed szkołą nie obyło się bez łez, wymiany adresów i zapewnień o tym, że nigdy nie zapomną nas i wizyty w naszej szkole.

Najlepszym dowodem na szczerość podziękowań jest list otrzymany przez jedną z naszych nauczycielek, która gościła w swoim domu nauczycielkę języka polskiego i jej córkę. Przytoczę fragment: „Już tydzień na Ukrainie, ale jeszcze wszyscy żyją wrażeniami z Polski. Ta wycieczka była najwspanialszą. Nasze dzieci marzą o Warszawie. (...) Znam dużo Polaków, ale czym

więcej poznaję, tym są to lepsi ludzie. Dziękujemy z całego serca za to wszystko, co zrobiliście dla nas, dziękuję po prostu za to, że tacy jesteście. gdyby takich ludzi było więcej, to i życie byłoby piękniejsze...”.

Bardzo cieszymy się, że nasze działania przynoszą tak wiele radości, jednocześnie młodzież, uczą przyjaźni...

Anna Cieplewicz – opiekunka
Młodzieżowego Klubu Miłośników Lwowa
Gimnazjum nr 27 im. Orłąt Lwowskich
w Warszawie

Mieczysław Kowal

Pomoc Fundacji L. Radłowskiego

Rzeszów – 17 stołów, 100 sztuk kredy oraz 180 rolek papieru toaletowego przekazał hipermarket TESCO Fundacji Pomocy dla Polonii Zagranicznej im. ppor. Lubomira Radłowskiego (kresowianina), która zawiezie je do zaprzyjaźnionej szkoły w Mościskach i w Strzelczyskach. Łączna wartość przedmiotów podarowanych przez hipermarket sięga 8 tys. zł. Stanisław Wierzbicki, dyrektor rzeszowskiego hipermarketu TESCO, decyzję o przekazaniu darów dla wspomnianej Fundacji podjął po publikacjach w *Super Nowościach*, które zaapelowały o pomoc dla polskich dzieci na Ukrainie. Dzięki uprzejmości i dobroduszości hipermarketu Szkoła Polska w Mościskach, a także w Strzelczyskach otrzyma potrzebne rzeczy, o które prosiła dyrekcja tychże placówek – powiedziała mgr Halina Radłowska, prezes Fundacji Pomocy dla Polonii Zagranicznej im. ppor. Lubomira Radłowskiego. Są to przedmioty użytku codziennego, potrzebne między innymi do wyposażenia nowo otwartej szkoły w Mościskach. Pan Stanisław Wierzbicki dyrektor rzeszowskiego hipermarketu TESCO powiedział, że nie będzie to ostatnia pomoc dla polskich dzieci na Ukrainie. „W przyszłości planujemy przekazać zeszyty i książki. Ujęła nas bardzo opowieść mgr Haliny Radłowskiej o warunkach w jakich dzieci muszą się uczyć. Mam nadzieję, że przekazane rzeczy pomogą tym dzieciom, a także poprawią warunki nauczycielom, którzy tam pracują.” Wcześniej już pewną ilość książek zebranych wśród naszego społeczeństwa i swój księgozbiór p. mgr Halina Radłowska przekazała dzieciom do szkoły podstawowej w Mościskach, co wywołało dużą radość wśród dzieci i zadowolenie rodziców i nauczycieli. Obecnie za pieniądze ze zbiorów zakupiono 7 par butów i jeden czepek kujawski, które zostaną przekazane dla polskiego zespołu Pieśni i Tańca na Ukrainie; ten zespół wcześniej otrzymał polskie stroje ludowe na sumę 20 tys. zł. Będzie-



*Mgr Halina Radłowska wręcza album miasta Rzeszowa Stanisławowi Wierzbickiemu
dyr. rzeszowskiego hipermarketu TESCO*

my w przyszłości gościć jego członków w Rzeszowie podczas występów.

Ostatnie słowo: Fundacja Pomocy dla Polonii Zagranicznej im. ppor. Lubomira Radłowskiego chce zrobić coś więcej, ma już niemałe efekty, robi i to jej się udaje coraz lepiej. Działalność charytatywna wśród Polaków na wschodzie oczekuje wsparcia z Polski. □

Zbigniew Umański

DNI LWOWA I KRESÓW w Warszawie

Cześć bohaterom Obrońcom Lwowa!

Warszawskie DNI LWOWA I KRESÓW PŁD.-WSCH. Stołeczny Oddział TMLiKPW organizuje tradycyjnie jesienią. W tym roku rozpoczęły się 22 listopada – w 84. rocznicę zakończenia zwycięskich walk o polski Lwów – podniosła uroczystością na pl. Józefa Piłsudskiego.

Przed oświetlonym płomieniami zniczy Grobem Nieznanego Żołnierza, w którym śpi snem wiecznym anonimowy Obrońca Lwowa stanęły: Oddział Reprezentacyjny Wojska Polskiego, poczty sztandarowe Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Płd.-Wsch., kombatanów AK, warszawskich szkół noszących imię Orłąt Lwowskich, harcerzy. Obok nich warszawscy lwowianie i kresowianie, rodacy przybyli ze Lwowa, młodzież szkolna, a wśród nich młodzi miłośnicy Lwowa z Gimnazjum nr 27.

Trębacz zagrał sygnał WP. Padły komendy: Baczność! Prezentuj broń! Błysnęła oficerska szabla, warta honorowa przed Grobem Nieznanego Żołnierza i Oddział Reprezentacyjny WP sprezentowały broń. Głuchozagrały werble. W ich takt ruszyły w stronę Grobu delegacje z wieńcami: Zarządu Głównego TMLiKPW na czele z wiceprezesem Ryszardem Orzechowskim i Zbigniewem Umańskim, Oddziału Stołecznego Towarzystwa, Kombatanów Armii Krajowej, Ministerstwa Obrony Narodowej oraz szkół im. Orłąt Lwowskich. Wśród składających hołd Obrońcom Lwowa była także delegacja rodaków z miasta „Semper Fidelis” – Jan Franczuk i Stanisław Gębicz z Polskiego Towarzystwa Opieki nad Grobami Wojskowymi i doc. Zofia Małynicz, prezes filii Uniwersytetu III Wieku.

Trębacz zagrał „Śpij kolego...” W milczeniu pochylił się oddając cześć bohaterom Obrońcom Lwowa sprzed 84 lat...

Uroczystość na pl. Józefa Piłsudskiego zakończyła defilada Oddziału Reprezentacyjnego WP przed Grobem Nieznanego Żołnierza. Całość sfilmowała ekipa TV Polonia.

Wieczorem w bazylice Św. Krzyża na Krakowskim Przedmieściu została odprawiona tradycyjna Msza św. „Za Orłętą”. zawsze Celebrował ją, zmarły w sierpniu br., śp. ks. Janusz Popławski – kapelan Towarzystwa i Prezes Oddziału Stołecznego TMLiKPW. Zastąpił go godnie jego bratanek, wykładowca na KUL, ks. Jarosław Popławski. Żał jednak, że nie usłyszymy już pięknych homilii ks. Janusza...

W uroczystej Mszy św. „Za Orłętą” uczestniczyły delegacje warszawskich organizacji kresowych, kombatanckich, szkolnych, harcerskich z pocztami sztandarowymi. Członkowie Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Płd.-Wsch. czytali od ołtarza fragmenty Pisma Św. Pięknie zaśpiewał „Bogurodzicę” i „Łyczakowską Madonnę” chór „Warszawianka”. Po skończonej mszy zaśpiewaliśmy wszyscy razem „Boże coś Polskę...”.

U gocławskich „Orłąt”

Drugiego dnia warszawskich DNI LWOWA byliśmy gośćmi uczniów i grona pedagogicznego Gimnazjum

nr 27 im. Orłąt Lwowskich na Gocławiu. Przyjęli to imię od swojej poprzedniczki – SP nr 328 – godnie kontynuując jej lwowskie tradycje. Gimnazjum ma lwowsko-warszawskie logo (połączenie herbów Lwowa i Warszawy), „lwowski” hymn (słowa i muzykę napisali nauczyciele L. Ogrodnik i A. Stawicki). „Gocławskie Orłęta” co roku odwiedzają miasto „Semper Fidelis”, miejsca bohaterskiej walki o polskość Lwowa i wiecznego spoczynku ich rówieśników – Orłąt Lwowskich. Utrzymują kontakty z młodymi Polakami na Kresach Płd.-Wsch., zapraszają ich do siebie. W tym roku, w ich obecności, otwarto w Gimnazjum nr 27 Izbę Patrona, powstał Młodzieżowy Klub Miłośników Lwowa liczący 60 członków.

W dowód uznania zasług w popularyzowaniu i utrwalaniu polskiej historii Kresów i kontynuowania tradycji Orłąt Lwowskich – ich poświęcenia dla Ojczyzny i Narodu – sztandar gimnazjum został odznaczony, także jego dyrektor Apoloniusz Stawicki, Krzyżem Drugiej Obrony Lwowa 1939-1944.

Dzień 23 listopada był świętem szkoły obchodzonym uroczystością co roku od czterech lat. Z tej okazji uczniowie, wspólnie z wychowawcami, przygotowali bogaty program artystyczny – lwowskiej piosenki, poezji, prozy w wykonaniu chóru, solistów i grupowym. Przypomnieli sylwetki sławnych lwowian: matematyka prof. Banacha, pisarza Boya-Żeleńskiego, poetę Hemara, artysty operowego Hiołskiego, a także ich przyjaciela ks. Janusza Popławskiego, którego przywołano wierszem J. Masióra „Uleciałeś Orle Siwy...”. Słowa uznania dla klas 2, „c” i 2, „j” za pomysł i prezentację „Portretów Lwowskich”.

W tym uroczystym dla Gimnazjum nr 27 dniu pierwszoklasiści złożyli przysięgę uczniowską na sztandar szkoły, a nauczyciele otrzymali od młodzieży dyplomy wyróżnienia i róże.

Pamięci Lwowa i Kresów

Koncert Galowy jest co roku kulminacyjnym punktem obchodów DNI LWOWA I KRESÓW PŁD.-WSCH. w Warszawie. Odbył się tradycyjnie w niedzielę 22 listopada w Muzeum Kolekcji Jana Pawła II i zgromadził chyba wszystkich stołecznych lwowian i kresowian, bo z trudem zmieścili się w wielkiej sali rotundowej. Nie powitał ich, jak zawsze dotąd, z atencją ks. Janusz Popławski – prezes Zarządu Oddziału Warszawskiego TMLiKPW, lecz honorowy prezes Jerzy Janicki i p.o. prezesa Zarządu tego Oddziału Ryszard Orzechowski. Długa minutą ciszy zebrani uczcili pamięć zmarłego w sierpniu długoletniego kapelana Towarzystwa i prezesa.

Koncert poprowadzili doświadczeni konferansjerzy J. Antepowicz (tenor – solista FN) i W. Gąsowski (z PR). Program był niezwykle bogaty i urozmaicony. Chór „Warszawianka” im. K. Kurpińskiego (dyr. Witkowski) zainaugurował koncert pieśnią „Gaude Mater Polonia”, przepięknie zaśpiewał „Łyczakowską Madonnę” i pieśni patriotyczne, a solista tego chóru D. Niedzielski „O mamó otrzyj oczy”. Słuchający też ocierali oczy, nie wstydząc się...

Solistka warszawskiej Opery Kameralnej Aleksandra Bubicz pięknym sopranem zaśpiewała solo i w duecie

z J. Antepowiczem, m. in. wspaniale „Hej, dziewczyno, hej, niebogo”. Akompaniował M. Sznabel.

Andrzej Kurylewicz (skończył właśnie 70 lat – życzy my 100!) jak co roku improwizował solo wspaniały jazz, a potem z towarzyszeniem perkusji (Cezary Konrad) i kontrabas (Paweł Pański) „Trio Kuryla” podbiło słuchaczy inwencją muzyczną i grą, a duet aktorski, Zb. Ry-marz i St. Górka, z Towarzystwa Teatralnego „Pod Górke” – piosenkami lwowskich przedmieść, batiańskim bałakiem i humorem. Prawdziwi Szczepcio i Tońcio!

Na zakończenie koncertu wystąpił dziecięcy duet muzyczny: rodzeństwo Natałka (skrzypce) i Konrad (akordeon) Wysoccy. Grali i śpiewali znane i lubiane piosenki lwowskie, a wraz z nimi cała sala.

Pożegnaliśmy się wzajemnie – organizatorzy, wykonawcy, publiczność tradycyjnie „kresowym hymnem” – „Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród”.

Do spotkania za rok!

Teatralny akord

DNI LWOWA i KRESÓW PŁD.-WSCH. w Warszawie zakończyły się 25 listopada wspaniałym akordem teatralnym. Stowarzyszenie „Wspólnota Polska” zorganizowała w Teatrze Polskim „III Wieczór Dobroczynny”, pod honorowym patronatem m. in. Oddziału Stołecznego TMLiKPW.

W pierwszej części „Wieczoru” wystąpił Teatr Polski ze Lwowa ze spektaklem wg Hemara pt. „Wspomnij mnie”. Wspaniale zagrał aktor i dyrektor lwowskiego teatru Zbigniew Chrzanowski kreując kolejno role Jana z Czarnolasu („Ostatni tren”), biskupa Ignacego Krasickiego („Fraszki”) i Aleksandra hr. Fredry („Dawny

spór”). W drugiej części „Wieczoru” z programem literacko-muzycznym wg M. Hemara pt. „Moje odkrycie – czyli kto rządzi światem” wystąpił „Zespół szóstka” aktorów stołecznego Teatru Polskiego.

Była to prawdziwa uczta duchowa dla miłośników twórczości Mariana Hemara i teatru! Duże brawa dla aktorów obu teatrów.

W przerwie między przedstawieniami harcerze ZHR kwestowali na rzecz pomocy stypendialnej dla młodzieży z Kresów – uczącej się i studiującej w Polsce – ale także w miejscu zamieszkania na Wschodzie.

Tegoroczne DNI LWOWA i KRESÓW PŁD.-WSCH. w Warszawie, choć trwały krócej (poprzednie tygodnie), imprez było mniej (wiadomo finanse...), ale w sumie były bardzo udane, co jest zasługą organizatorów, lecz także finansowemu wsparciu ich przez dzielnicę Śródmieście Warszawa-Centrum, „Wspólnota Polska”, fundację „Pomoc Polakom na Wschodzie” i prywatne firmy: B.W. Dziedzic, Viridian Polska, PP.BL. „Match”. Dzięki nim kresowe tradycje w stolicy są kontynuowane.

Organizatorów cieszy szczególnie udział młodzieży w imprezach z okazji DNI oraz ich zaangażowanie w przez nich samych urządzanych (przykład Gimnazjum nr 27). Jerzy Janicki powiedział do lwowian i kresowian na Koncercie Galowym, gdy go otwierał: – Ten koncert jest nie tylko dla nas, aby wspominać, lecz dla młodzieży – cieszyć się, że jest tu z nami, ona będzie sztafetą pokoleń...

Przekazujemy kresową pałeczkę w młode ręce. Niech kontynuują sztafetę pamięci Lwowa i Kresów, gdy nas zabraknie... □

WCZORAJ – DZIŚ – JUTRO

Zbigniew Umański

Kronika Kresowa

To ostatnia w tym roku „Kronika Kresowa”, ale nie będę próbował podsumowywać wydarzeń 2002 r. Wkrótce Boże Narodzenie, Nowy Rok, opłatkowe spotkania kresowian. Będzie czas i okazja do przemyśleń, wymiany poglądów, refleksji. Podzielę się nimi z Czytelnikami w następnym numerze „SF”. Teraz jeszcze odnotujemy ważniejsze wydarzenia.

Znak pokoju na Łyczakowie

W przeddzień Święta Zmarłych kilkuset intelektualistów, polityków, w tym Jacek Kuroń – honorowy obywatel Lwowa oraz studentów z Polski i Ukrainy przybyło na Cmentarz Łyczakowski, by pomodlić się za polskich i ukraińskich żołnierzy, którzy w 1918 r. zginęli walcząc ze sobą o Lwów i Galicję. Modlitwie przy pomniku Ukraińskiej Armii Galicyjskiej przewodził zwierzchnik Ukraińskiej Cerkwi Katolickiej kardynał Lubomyr Huzar, ceremonii na Cmentarzu Obrońców Lwowa – Metropolita Lwowa, kardynał Marian Jaworski. – Modlimy się wspólnie. To pierwszy znak, że można przemienić przeszłość z pożytkiem dla przyszłości, budować na nowych zasadach wspólnotę jedności i pokój – mówił. Moglibyśmy gniewać się na naszych przodków, że zostawili trudne

dziedzictwo: pamięć bratobójczej walki. Ale oni postępowali tak, jak wierzyli, że trzeba. A my powinniśmy zrobić to, o czym jesteśmy przekonani, że jest konieczne: sprawić, żeby nigdy brat nie wystąpił przeciw bratu.

Kardynał Lubomyr Huzar powiedział: – Musimy nieść dla naszych narodów posłanie pokoju, prawdziwej miłości i zrozumienia. Mamy ku temu dobrą wolę, wspólnie się o to modlimy.

Przed modlitwą na cmentarzu polscy i ukraińscy intelektualiści, politycy, dziennikarze dyskutowali o pojednaniu polsko-ukraińskim na konferencji „Co robić z historią?” – Dlaczego Polacy i Ukraińcy, dwa narody tak sobie bliskie, przelali tyle krwi – zastanawiał się Jacek Kuroń. Prawdopodobnie dlatego – uznał – że łączą nas tyle samo bliskości ile nienawiści.

Bezpośrednim powodem spotkania – pierwszej tak licznej wspólnej manifestacji intelektualistów z Polski i Ukrainy – jest spór wokół cmentarza Obrońców Lwowa. Jego oficjalne otwarcie nadal blokuje radni Lwowa uważający, że ta nekropolia wojskowa jest panteonem chwały oręża polskiego i podkreśla polskość Lwowa.

– Kryzys wokół cmentarza uzmysłowił nam, że politycy nie są w stanie załatwić wszystkich problemów między naszymi narodami. Trzeba włączyć jak najszersze środowiska. Dlatego wpadliśmy na pomysł spotkania we Lwowie – powiedział na konferencji Taras Wozniak, redaktor naczelny pisma kulturoznawczego „Ji”.

Czy modlitwy w intencji pojednania polsko-ukraińskiego hierarchów kościołów rzymskokatolickiego i greckokatolickiego na Ukrainie, głosy intelektualistów z obu stron przełamiają oprór nacjonalistycznych radnych Lwowa?

Uczymy ofiary UPA

Jak już informowaliśmy, po konsultacjach ze środowiskami kresowymi, powstał ramowy projekt obchodów 60. rocznicy ludobójstwa dokonanego przez OUN-UPA na ludności polskiej Kresów Wschodnich w latach 1943-1947. Andrzej Przewoźnik, sekretarz Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa zapoznał z nim przedstawicieli organizacji kresowych i kombatanckich. Oto najważniejsze punkty tego programu:

Maj 2003 – uroczyste poświęcenie cmentarza w Przeobrażu (jeden z największych ośrodków polskiej samoobrony w 1943 r.).

Czerwiec 2003 – odsłonięcie tablicy ku czci Ukraińców, którzy ratowali Polaków z rąk OUN-UPA, połączone z nabożeństwem.

11 lipca 2003 – uroczyste posiedzenie Sejmu i Senatu RP, na którym zostanie przyjęta uchwała z okazji 60. rocznicy zbrodni dokonanych przez OUN-UPA. Przedstawiciele polskich placówek dyplomatycznych na Ukrainie złożą kwiaty w miejscu spoczynku ofiar OUN-UPA.

12 lipca 2003 – centralne uroczystości w Warszawie: Msza św. w katedrze św. Jana, odsłonięcie pomników upamiętniających ofiary OUN-UPA na Wołyniu i Kresach Płd.-Wsch., uroczysty koncert z wykonaniem specjalnie skomponowanego utworu przez Krzesimira Dębskiego.

Patronat honorowy nad obchodami obejmie Prezydent RP. W realizacji programu obchodów wezmą udział instytucje i urzędy państwowe, w tym ROPWiM, Urząd ds. Kombatanów, MSZ, kancelaria Sejmu i Senatu, wojewodowie, ambasady i konsulaty RP na Ukrainie oraz Kościół oraz organizacje kombatanckie i kresowe.

Jedna prawda, ale dwie pamięci

Instytut Pamięci Narodowej, jak poinformował jego prezes, prof. Leon Kieres, zwrócił się do władz Ukrainy o udostępnienie dokumentów archiwalnych dotyczących zamordowania przez UPA w latach czterdziestych kilkudziesięciu tysięcy Polaków na Wołyniu i Kresach Płd.-Wsch.

Chodzi m. in. o dokumenty wytworzone przez Organizację Ukraińskich Nacjonalistów oraz dowództwa różnych szczebli UPA (w tym Dmytra Kłaczkińskiego „Kłyma Sawura”, dowódcy UPA na Wołyniu w latach 1943-1944), przejęte po wojnie przez organa bezpieczeństwa ZSRR oraz odnośne dokumenty NKWD. Udostępnienie ich pozwoliłoby polskim historykom na pełne wyjaśnienie przyczyn, przebiegu i skutków antypolskiej akcji nacjonalistów ukraińskich, a także samoobrony i odwetu Polaków. Posłużyłoby ok. 50 śledztwom prowadzonym przez pion śledczy IPN w sprawie ludobójstwa dokonanego przez OUN i UPA na Polakach, Żydach, a także Ukraińcach.

Środowisko wołyńskie Światowego Związku Żołnierzy AK określiło wystąpienie prof. Kieresa pierwszym publicznym głosem przedstawiciela państwa polskiego na temat rzezi Polaków na Wołyniu.

Czy nieznane dotychczas archiwalia ukraińskie zostaną udostępnione polskim historykom?

Sejmik polsko-ukraiński?

Z okazji dziesięciolecia podpisania pierwszej umowy o współpracy między Polską i Ukrainą, przebywający w Polsce szef ukraińskiego parlamentu Wołodymyr Łytwyn wręczył medale tym, którzy przyczynili się do zbliżenia między naszymi krajami. Najwyższe odznaczenia Ukraińskiej Rady Najwyższej otrzymali: Jerzy Hoffman, Tadeusz Iwiński, Jan Nowak-Jeziorański, Adam Michnik i Józef Oleksy, a medale z okazji X-lecia niepodległości Ukrainy m. in.: Jacek Kuroń i Marek Król, a pamiątkowe zegarki: Janusz Onyszkiewicz, Mirosław Czech i Jarosław Kaczyński. Gratulujemy...

W czasie spotkania W. Łytwyna w Sejmie z marszałkiem Borowskim padła propozycja, by na wzór sejmiku polsko-litewskiego powstał sejmik polsko-ukraiński. Obrazowałby on na przemian w Polsce i na Ukrainie i omawiał najważniejsze sprawy między naszymi krajami.

Może sejmikowi udałoby się załatwić sprawę otwarcia Cmentarza Obrońców Lwowa, czego nie potrafią prezydenci obu krajów?

Nie udało się

Mimo usilnych starań i zabiegów pogrobowcom UPA nie udało się wnieść pod obrady Rady Najwyższej Ukrainy projektu ustawy „O uznaniu organizacji Ukraińskich Nacjonalistów i Ukraińskiej Powstańczej Armii za stronę walczącą w II wojnie światowej”, której celem była „rehabilitacja” OUN-UPA. Na 425 obecnych deputowanych „za” głosowało tylko 161.

Czy postępowcy dadzą za wygraną? Na razie organizują na Zachodniej Ukrainie na szeroką skalę obchody 60. rocznicy powstania UPA. I krytykują tych, którzy negatywnie ocenili próby uznania wojaków UPA za kombatanów. M. in. na łamach „Za Wilno Ukrainu” (z 4-5. 10. br.) skrytykowali ministra spraw zagranicznych RP Włodzimierza Cimoszewicza za jego wypowiedź, że „dla wszystkich Polaków UPA była organizacją przestępczą”, a „rehabilitację” żołnierzy Ukraińskiej Powstańczej Armii przyjęto by w Polsce jako głęboką niesprawiedliwość”. Związek Towarzystw Ukraińców Deportowanych z Zakerzonnia oświadczył, że traktuje tę wypowiedź jako ingerencję w wewnętrzne sprawy Ukrainy i wyraża z tego powodu protest.

Co sądzi o tym premier Leszek Miller? „Włodzimierz Cimoszewicz powiedział to, co myśli większość Polaków. Nie znajdziecie w Polsce obywateli, którzy z sympatią mogą powiedzieć o UPA. Przeciwnie, znajdziecie wielu obywateli, którzy łatwo wskażą ofiary i opiszą tragedię, które miały miejsce” – podkreślił premier polskiego rządu odpowiadając na pytania ukraińskiego dziennikarza.

Nareszcie oficjalnie padły takie słowa!

Stosunki polsko-ukraińskie...

...W XX wieku były tematem międzynarodowej konferencji naukowej, która odbyła się w dniach 17-18 października we Wrocławiu. Głównymi organizatorami byli: Instytut Historyczny Uniwersytetu Wrocławskiego i Kolegium Europy Wschodniej, które powstało w ub. roku we Wrocławiu.

Dwudniową, niezwykle interesującą debatę otworzył Jan Nowak-Jeziorański, a prowadził prof. Jan Kęsik z UW. Uczestniczyli w niej: rektor UW prof. Zdzisław Latajka, profesorowie: Andrzej Ajnenkiel (Warszawa), Andrzej Sowa (Kraków), Włodzimierz Suleja (Wrocław)

oraz historycy z Lublina, Warszawy i Wrocławia. Stronę ukraińską reprezentowali profesorowie: Bohdan Osadczuk z Berlina, Władysław Werstiuk z Kijowa oraz Orest Krasiński, Mychajło Szwahulak, Stepan Makarczuk i dr hab. Mykoła Litwin ze Lwowa. Nie przyjechali wszyscy historycy kijowscy. Szkoda, bo mają niekiedy odmienne zdanie, niż ich lwowscy lub łuccy koledzy.

Na wrocławskiej konferencji historycy, a zwłaszcza zabierający głos w dyskusji z sali mówili o najbardziej drażliwych sprawach: zbrodniczej działalności OUN-UPA przeciwko Polakom na Kresach, o akcji „Wisła”, Dywizji SS „Galizien”, unikaniu rozliczeń z przeszłością i próbach budowy tożsamości Ukraińców na tradycjach UPA.

Prawie na każdy konferencyjny temat były dwa referaty: historyka polskiego i ukraińskiego. Polskie opracowania były bardziej obiektywne i pogłębione, a ich autorzy lepiej przygotowani do otwartej dyskusji. Niektórzy historycy ukraińscy posługiwali się stereotypami, mówili ogólnikowo lub nie na temat, albo w ogóle unikali odpowiedzi na niektóre pytania.

Może odpowiedzą na przyszłej konferencji, bo Uniwersytet Wrocławski uroczystie podpisał umowę o współpracy z Ukraińską Akademią Nauk i takie dyskusyjne spotkania będą częściej organizowane. Ale by współpraca, nie tylko naukowa, dobrze się między nami układała, musimy mówić uczciwie o naszej wspólnej przeszłości.

Mimo tych zastrzeżeń była to interesująca i udana konferencja. Uświadomiła nam, jak duży mamy już potencjał naukowy – historyków, literaturoznawców z zakresu ukrainistyki. Przyznali nam to, gratulując, ukraińscy uczestnicy wrocławskiej konferencji. Czy potrafimy wykorzystać właściwie ten potencjał?

Konferencji towarzyszył II Festiwal Kultury Ukraińskiej we Wrocławiu. Odbyły się koncerty: galowy, folkowy, muzyki cerkiewnej i jazzowej, przegląd kina ukraińskiego, wieczór dumek i romansów ukraińskich. W „Ossolineum” – dyskusja panelowa: „Polska polityka kulturalna wobec krajów Europy Wschodniej” z udziałem J. Nowaka-Jeziorańskiego, prof. B. Osadczuka, dr. A. Juzwenki i in. (transmitowana była na żywo w programie II PR).

Przedstawiciele 25 wrocławskich organizacji pozarządowych biorących udział w programie: „Wrocław – Lwów: Partnerstwo dla pomocy” i jego koordynatorzy uczestniczyły w dyskusji zorganizowanej w „Europeum” na temat polsko-ukraińskiej współpracy w zakresie polityki społecznej.

Wrocław udowodnił, że stosunki z Ukrainą traktuje bardzo poważnie.

Skarga na Polskę

Europejski Trybunał Praw Człowieka w Strasburgu rozpatrzył skargę Polaka na państwo polskie. Wniósł ją Jerzy Broniowski z Wieliczki, spadkobierca po dziadkach-repatriantach z Buga. Domaga się on wypłacenia przez państwo 3 mln zł odszkodowania za dom i ogród pozostawione przez dziadków we Lwowie.

Skarżący się twierdzi, że jako spadkobiercy nie zaproponowano mu – tytułem rekompensaty – żadnej innej nieruchomości. Po wyczerpaniu toku postępowania krajowego zwrócił się do ETPCz. w Strasburgu. Broniowski jest jednym z 90 Polaków, którzy zdecydowali się skarżyć państwo polskie o odszkodowanie. W kolejce na pieniądze lub majątki czeka ok. 92 tys. wniosków, które szacowane są dziś na 10 do 20, a jak twierdzą niektórzy – od 100 do nawet 200 mld zł.

Sprawie towarzyszy wielkie zainteresowanie środowisk ubiegających się o rekompensaty za tzw. mienie zabużańskie i ... strony rządowej. Jeżeli bowiem Europejski Trybunał Praw Człowieka przyzna rację skarżącemu Polskę J. Broniowskiemu, to – zdaniem ekspertów MSZ – konsekwencje tego precedensu dla państwa mogą być poważne. Wyrok sędziowie ogłoszą za kilka tygodni.

Port lotniczy A. Fredry

Nie jest to rekompensata dla Aleksandra hr. Fredry, siedzącego na kamiennym cokole przed wrocławskim ratuszem, za mienie pozostawione na Kresach! Taką nazwę będzie miał wrocławski port lotniczy, bo czytelnicy lokalnej „Gazety Wyborczej” wybrali, zdecydowaną większością głosów, naszego kresowego hrabiego patronem lotniska.

Rada Nadzorcza Portu Lotniczego Wrocław SA wyraziła już zgodę na zmianę jego nazwy. Jako patron hrabia będzie miał przywilej bezpłatnego latania samolotami LOT. Tylko jak zejdziesz z wysokiego pomnika?

Tablice pamięci

W parafii Zmartwychwstania Pańskiego w Bydgoszczy odsłonięto i poświęcono tablicę upamiętniającą Polaków pomordowanych na Kresach w latach 1939-1947. Postawiono również krzyże z nazwami miejsc pamięci narodowej na Kresach.

W uroczystości uczestniczyli przedstawiciele środowisk kombatanckich i kresowych, w tym członkowie TMLiKPW, poczty sztandarowe. Tablicę pamiątkową i krzyże pamięci ufundowane zostały z inicjatywy działaczy stowarzyszenia Upamiętnienia Ofiar Zbrodni Ukraińskich Nacjonalistów.

Tablicę poświęconą Powstańcom Warszawskim wmurowano w ścianę Pamięci Narodowej w kościele garnizonowym pw. św. Elżbiety we Wrocławiu. Inicjatywą środowiska kombatanckiego AK. W uroczystym poświęceniu jej i odsłonięciu uczestniczyły delegacje kombatanckie AK, wojska, harcerzy i poczty sztandarowe.

Po upadku Powstania Warszawskiego, i później, dużo Ak-owców znalazło się we Wrocławiu. Wielu tu pozostało, niektórzy na zawsze.

Odnawiać pomniki

Ukraińska firma we Lwowie odnowi, pod patronatem Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, pomniki prezydenta miasta Lwowa Dąbrowskiego i „Ordona” na Cmentarzu Łyczakowskim. Renowację pomników i grobowców na tej nekropolii koordynuje z ramienia Zarządu Głównego TMLiKPW Oddział Krakowski Towarzystwa.

Wnuk jest przeciw

We Lwowie mówi się o mającym nastąpić przewiezieniu prochów „bohatera” Stepana Bandery z Monachium do miasta nad Półcią. Kiedy miałyby to nastąpić, na jakim cmentarzu będą pochowane? – nie wiadomo. Wnuk Bandery, mający takie samo nazwisko jak dziadek, nie uważa, aby ten pomysł był udany.

Towarzysze broni Bandery spod znaku OUN-UPA są innego zdania. Chcieliby przeniesienia na Ukrainę także szczątków Semena Petlury i Jewhena Konowalca.

Aby stworzyć „Panteon Chwały” OUN-UPA?

*RADOSNYCH ŚWIAT
ORAZ DO SIEGO ROKU*

*Życzy
Kronikarz Kresowy*

Jerzy Julian Szewczyński

W 63-cią rocznicę powstania Polskiego Państwa Podziemnego

Aż 45 lat trzeba było, czekać, żeby podziemna, ta co nigdy nie zginęła, ta co nadal walczyła i organizacyjnie sprawnie działała – Polska Podziemna – znalazła cześć i swoje należne miejsce w historii.

Dopiero sejm w 1999 r. dokonał należnego uznania i ustanowił 27 września dniem Polskiego Państwa Podziemnego. W uchwale czytamy: „Sejm Rzeczypospolitej Polskiej wyraża szczególną wdzięczność i szacunek twórcom i ofiarnym działaczom podziemnych struktur Państwa Polskiego, a także tym wszystkim, którzy w wyjątkowo trudnych warunkach, z narażeniem własnego życia, walczyli o niepodległość Ojczyzny.”

Kiedy we wrześniu 1939 r. kraj nasz zajął hitlerowski nazizm i stalinowski Związek Radziecki i choć Polska znalazła się pod butem okupantów, którzy zdeptali prawo Polaków do niepodległego bytu, to mimo to Państwo Polskie nie przestało ani na chwilę istnieć jako podmiot prawa międzynarodowego. Nocą z 26 na 27 września dowództwo armii walczącej podjął gen. Michał Karaszewicz-Tokarzewski. Z dniem 30 września Prezydentem został Władysław Raczkiewicz, zaś z dniem 1 października powierzono stanowisko premiera gen. Władysławowi Sikorskiemu, który w 1943 r. zginął w tajemniczej katastrofie lotniczej pod Gibraltarem. Naczelne organy Państwa podjęły działalność dyplomatyczną. W kraju tworzone struktury konspiracyjne podległe legalnym władzom RP na emigracji, nazwane Polskim Państwem Podziemnym (PPP).

Przez długie powojenne lata władza i cenzura komunistyczna gruntownie fałszowały prawdziwy obraz Polski w latach 1939-1945, kwestionowały legalność Rządu RP i Polskiego Państwa Podziemnego. Na użytek propagandy tonowano pojęcie „oboju londyńskiego” czy „rządu emigracyjnego”, rzekomo mało znaczącego, a wmawiano społeczeństwu legalność „komitetu PKWN” i „tymczasowego rządu lubelskiego”.

Przygotowania do konspiracyjnej działalności przeciw niemieckiej okupacji rozpoczęto już wiosną 1939 r., poprzez uruchamianie specjalnych zespołów dywersyjnych i wywiadowczych na Śląsku i na Pomorzu. Koordynatorem tej akcji na Śląsku był mjr Edmund Galinat. Na Pomorzu zaś kierował nią dowódca Okręgu Korpusu w Toruniu gen. Michał Karaszewicz-Tokarzewski. To właśnie gen. Tokarzewski już po wybuchu wojny odbywał spotkania z różnymi grupami środowiskowymi, na których przygotowywano konkretne założenia konspiracji. Działalność ta odegrała znaczącą rolę w tworzeniu organizacji podziemnych w kraju.

Gen. Tokarzewski był twórcą Służby Zwycięstwu Polski. Ludwik Muzyczka współtworzył Organizację Orła Białego w Krakowie, zaś Józef Dambek organizację Gryfa Kaszubskiego. Wszystkie te organizacje miały bardzo zbliżoną strukturę organizacyjną i taki sam jednolity wojskowo-cywilny model.

Trzon polityczny tworzonej przez Tokarzewskiego struktury działalności konspiracyjnej w kraju tworzyli tacy politycy jak: Mieczysław Niedziałkowski, Kazimierz Pużak, Zygmunt Zaremba, Maciej Rataj, Mieczysław Michałowicz, Stefan Korboński, Leon Nowodwor-

ski. To tylko kilka najważniejszych nazwisk spośród konspiracyjnych polityków, którzy od początku związali się z inicjatywą gen. Tokarzewskiego. Widzieli w niej swoje miejsce, chcieli budować od nowa, nadając mu nową treść polityczną, ustrojową i społeczną w Polsce. Wszyscy oni zdawali sobie sprawę, że taktyka okupantów zmierza do niszczenia w pierwszym rzędzie wszystkiego co wiązało się z polską państwowością, odzyskaną nie tak dawno, po 124 latach niewoli. Budowa polskiej państwowości w konspiracji była dla tych ludzi wartością zasadniczą i mimo różnic w drobnych kwestiach, to grono polityków potrafiło działać wspólnie.

Za punkt wyjścia działalności Polskiego Państwa Podziemnego jego twórcy przyjęli porządek prawny obowiązujący przed 1 września 1939 r., a zawarty w Konstytucji z 1935 r.

W ten sposób podkreślano ciągłość prawną instytucji publicznych II Rzeczypospolitej.

Ustanowione przez legalne władze państwa instytucje wykonywały na okupowanym obszarze kraju istotne funkcje państwa – jego obronę, ochronę obywateli przez oddziały wojskowe, czy wymiar sprawiedliwości. Zdolność do działania w trzech fundamentalnych dla każdego państwa sferach, choć z oczywistymi ograniczeniami, świadczy o realnym bycie państwowym.

Niemal w pierwszych dniach okupacji hitlerowsko-stalinowskiej w kraju podjęto walkę z okupantami, której rozmiary i charakter nie miały sobie równych w Europie. Rozproszone organizacje o charakterze militarnym jednoczyły się w Związek Walki Zbrojnej, a następnie w Armię Krajową liczącą w latach 1944-1945 około pół miliona żołnierzy. W tym również ZHP działające od września 1939 r. pod kryptonimem „Szare Szeregi”.

W żadnym z okupowanych przez hitlerowców państw europejskich nie utworzono podobnych, z punktu widzenia prawa, struktur działalności konspiracyjnej. Powstawały władze emigracyjne, ośrodki kolaborujące z Niemcami, jednak nie tworzyły one jak to było w Polsce, struktur państwowych. To właśnie stanowi o niepowtarzalności PPP na mapie europejskiego podziemia w okresie II wojny światowej.

Po zakończeniu II wojny światowej i utrwaleniu „władzy ludowej” działacze PPP zostali podstępnie aresztowani, a następnie za zdradę narodu polskiego i działania na szkodę Związku Radzieckiego skazani na kary więzienia w słynnym procesie „16” w czerwcu 1945 w Moskwie, w tym również gen. Leopold Okulicki ostatni dowódca AK został skrytobójczo zamordowany w więzieniu.

Przedstawiłem w wielkim skrócie historię zapomnianą, lecz nie przez wszystkich.

Po raz czwarty w Elblągu obchodzono tę rocznicę bardzo uroczystie. Organizatorami było Towarzystwo Miłośników Lwowa, Wilna, Grodna i Ziemi Wołyńskiej oraz Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej. Miejscem był plac przed pomnikiem Polskiego Państwa Podziemnego – Armii Krajowej.

Po raporcie komendanta garnizonu złożonym dowódcy dywizji, dokonany został przegląd kompanii honoro-

wej, odegranie hymnu państwowego i wciągnięcie flagi państwowej na maszt.

Po przywitaniu uczestników uroczystości głos zabrał prezes Jerzy Julian Szewczyński. Między innymi zwrócił się do młodzieży tymi słowami:

Droga Młodzieży!

Dla Was to wszystko to przeszłość czytana ze stronic historii, ale pamiętajcie, że to co mamy dziś, wywalczone zostało krwią i potem waszych praojców. W waszych rękach leży dobro Ojczyzny. Odsłaniamy przed Wami rzetelne karty historii, po to abyście wyciągnęli z nich wszystko, co najlepsze i wdrażali w Wasze życie po to, żeby Waszym poczynaniom i w Waszych sercach zawsze przyświtało hasło wypisane na sztandarach bojowych „Bóg, Honor, Ojczyzna”.



Następnie odbył się apel poległych z salwą honorową oraz składanie wieńców i wiązanek kwiatów.

W uroczystościach udział wzięli: prezydent miasta Henryk Stolina z zarządem, przewodniczący Rady Miejskiej, gen. dywizji Krzysztof Skarbowski, gen. brygady Bolesław Nieczuja-Ostrowski, przedstawiciele wszystkich organizacji kombatanckich i kresowych, obywatele Elbląga oraz liczna młodzież z harcerstwem na czele.

Po zakończonych uroczystościach w katedrze św. Mikołaja została odprawiona msza dziękczynna w intencji Ojczyzny koncelebrowana przez Jego Ekscelencję Księdza Biskupa Andrzeja Śliwińskiego.

W przeddzień uroczystości w szkole podstawowej im. Armii Krajowej odbyła się uroczysta akademia połączona ze ślubowaniem i pasowaniem pierwszoklasistów.

Delegacja Towarzystwa Miłośników Lwowa, Wilna, Grodna i Ziemi Wołyńskiej składa kwiaty pod Pomnikiem Polskiego Państwa Podziemnego i Armii Krajowej w Elblągu.

Prezes Towarzystwa TMLWGiZW Jerzy Julian Szewczyński przemawia do młodzieży szkolnej na uroczystości z okazji 63. rocznicy powstania Polskiego Państwa Podziemnego.

W Szkole Podstawowej im. Armii Krajowej w Elblągu odbyła się uroczysta akademia ze ślubowaniem i pasowaniem na ucznia.

Dzień Niepodległości w Gorzowie Wlkp.



Delegacja gorzowskiego TMLiKPW na czele z prezesem Jerzym Dorotą udają się pod obelisk Orląt Lwowskich, aby oddać hołd bohaterskim obrońcom Lwowa.



Wiceprezes Gorzowskiego Oddziału TMLiKPW Piotr Franków składa wiązkę kwiatów pod kamiennym obeliskiem Orląt Lwowskich.



Śpiewa Chór TMLiKPW w Gorzowie Wlkp. „TA JOJ”.

Już po raz trzynasty Oddział Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich zorganizował w auli Instytutu Kultury Fizycznej w Gorzowie Wlkp. akademię poświęconą 84. rocznicy odzyskania niepodległości przez Polskę i walk o zachowanie polskości Lwowa.

Po odśpiewaniu hymnu narodowego i powitaniu gości przez prowadzącego uroczystość Kazimierza Dąbrowskiego, wiceprezes Gorzowskiego Oddziału TMLiKPW Piotr Franków przedstawił decyzję Zarządu Głównego TMLiKPW i Zarządu Głównego Stowarzyszenia Upamiętnienia Ofiar Zbrodni Ukraińskich Nacjonalistów we Wrocławiu dotyczące wyróżnienia działaczy Gorzowskiego Oddziału TMLiKPW.

Zarząd Główny Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich uhonorował **Złotą Odznaką TMLiKPW** następujące osoby:

Antoniego Białkowskiego, Kazimierza Cymbrykiewicza, Mieczysława Pawła Dumanowskiego, Kazimierza Kołodzieja, Konstancję Markiewicz, Stanisława Nuckowskiego, ks. Jana Pikulę – kapelana Gorzowskiego Oddziału TMLiKPW, Weronikę Stonogę, Mieczysława Świątkę i Jadwigę Walochę.

W imieniu prezesa Zarządu Głównego TMLiKPW – Andrzeja Kamińskiego odznaki wręczyli: Władysław Olszowy – członek Zarządu Głównego TMLiKPW oraz Jerzy Dorota – prezes Gorzowskiego Oddziału TMLiKPW.

Dyplomy honorowe Zarządu Głównego Stowarzyszenia Upamiętnienia Ofiar Zbrodni Ukraińskich Nacjonalistów za wspieranie Stowarzyszenia w jego działalności w dokumentowaniu i upamiętnianiu zbrodni ludobójstwa popełnionych na terytorium państwa polskiego w latach 1939-1947 przez organizacje OUN-UPA – przyznano następującym osobom:

- Kazimierzowi Dąbrowskiemu,
- Mieczysławowi Pawłowi Dumanowskiemu,
- Władysławowi Olszowemu.

W imieniu prezesa Zarządu Głównego SUOZUN – Szczepana Siekierki dyplomy wręczyli: Jerzy Dorota – prezes i Piotr Franków – wiceprezes Gorzowskiego Oddziału TMLiKPW.

Dyplomy honorowe SUOZUN otrzymali również: ks. kanonik Jan Pikula i Piotr Franków – wiceprezes Gorzowskiego Oddziału TMLiKPW (13 X br. – podczas uroczystości odsłonięcia Tablicy Pamięci Pomordowanym Polakom na Wołyniu i Kresach Południowo-Wschodnich w latach 1939-1947 przez nacjonalistów z OUN-UPA w gorzowskim kościele pod wezwaniem św. Maksymiliana Kolbę).

Następnie okolicznościowy odczyt historyczny wygłosił Piotr Franków. W odczycie zwrócono uwagę na walkę Polaków na różnych frontach I wojny światowej. Walka ta przyniosła Polsce upragnioną niepodległość. Wiele uwagi poświęcono również walce o zachowanie polskości Lwowa w dniach 1-22 listopada 1918 r. Podkreślano bohaterstwo najmłodszych obrońców miasta „SEMPER FIDELIS” – Orląt Lwowskich. Trzecia część odczytu dotyczyła niezakończonych jeszcze **walki Polaków** o odbudowę tej jednej z najpiękniejszych nekropolii

wojennej świąt, bezkarnie dewastowanej i niszczonej po II wojnie światowej.

W drugiej części artystycznej akademii wystąpiły dwa zespoły: kapela „Lwowska Fala” ze Lwowa i chór „Ta joj” Gorzowskiego Oddziału TMLiKPW reprezentujący klub „Pogodna Jesień” z Gorzowa Wlkp.

Artyści ze Lwowa wystąpili w składzie: Edwar Sosulski – kierownik zespołu i solista, Irena Grech – solistka oraz Bogdan Lis, Jerzy Czub, Bogdan Wyrozumski i Roman Dowganyk – muzycy.

Zaprezentowali w pięknym wykonaniu wiele znanych i lubianych piosenek, głównie kabaretowych, śpiewanych we Lwowie przed II wojną światową, cechujących się specyficznym humorem lwowskim, pełne radości i zapewniające dobrą zabawę.

Drugi zespół – gorzowski chór „Ta joj” pod kierownictwem Zygmunta Jankowskiego (obchodzący w tym roku swoje 10-lecie) – zaprezentował pieśni wojskowe – legionowe i patriotyczne.

Oba zespoły spotkały się z bardzo dobrym przyjęciem i aplauzem publiczności, którą stanowili mieszkańcy Gorzowa o kresowym rodowodzie, wypełniający salę do ostatniego miejsca.

Zespół ze Lwowa przybył do Gorzowa Wlkp. na zaproszenie Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”. Podczas pobytu „Lwowskiej Fali” na Ziemi Gorzowskiej opiekę nad nimi sprawował **Władysław Olszowy** – wiceprezes Gorzowskiego Oddziału TMLiKPW, także wiceprezes Gorzowskiego Oddziału Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”.

Po zakończonym koncercie uczestnicy uroczystości udali się pod Pomnik Orląt Lwowskich, przy ulicy ich imienia, gdzie złożono wiązanki kwiatów, zapalono znicze, chór „Ta joj” i pozostali uczestnicy odśpiewali hymn lwowski „W dzień deszczowy i ponury”.

Ponadto „Lwowska Fala” wystąpiła z koncertami na akademiach: w Domu Kultury „Małyszyn” w Gorzowie Wlkp. (10 XI), w Domu Kultury w Sulęcinie i w Kostrzyńskim Centrum Kultury w Kostrzynie (11 XI).

Piotr Franków
(Fotografie – R. Sapkowski)



Prezes J. Dorota wręcza Złote Odznaki TMLiKPW ks. Janowi Pikule, P. Dumanowskiemu, St. Nuckowi.

Natalia Koczan (Kijów)

Oczyszczenie pamięci historycznej, zachęta do dialogu i spotkania. Wezwania, które zostawił nam Papież.

Przyczynek do problemu porozumienia i pogodzenia ukraińsko-polskiego. Płaszczyzna kościelna (II)

Stosunki między UKGK a KRK na Ukrainie

Na wspólnym spotkaniu w Nuncjaturze Apostolskiej z episkopatem UKGK i KRK na Ukrainie papież Jan Paweł II zaapelował do hierarchów katolickich na Ukrainie o wykazanie „bratniego ducha służby”, „pokonując każdą pokusę podziału i sprzeczności”. Dbajcie o wzajemną wspólność między wami i kapłanami, w atmosferze szacunku i uprzejmego braterskiego dialogu. Od charakteru tych stosunków w wielkiej mierze zależy skuteczność sprawy ewangelizacji.”.

Za słowami tymi stoją nie tylko przeszłe, lecz i teraźniejsze trudności w stosunkach pomiędzy Kościołami katolickimi obydwu tradycji obrzędowych na Ukrainie. Kościół greckokatolicki, który proklamuje siebie „narodowym” w znaczeniu zarówno etnicznym, jak i politycznym, posiada na Ukrainie czterokrotnie więcej wspólnot wierzących aniżeli Kościół rzymskokatolicki. Kontekst historyczny uległ zmianie: dzisiaj właśnie podejście UKGK do sprawy przezwyciężenia negatywnego dziedzictwa i uprzedzeń w stosunkach pomiędzy UKGK i KRK jest dominującym. Jednocześnie zaznaczmy, że proces przezwyciężenia w UKGK negatywnych stereotypów przeszłości toczy się nie bezboleśnie, niejednznacznie i z niejednokrotnymi recydywami zaszytych stereotypów w myśleniu i zachowaniu, a również wypełnia go olbrzymia ilość sprzeczności wewnętrznych. W środowisku greckokatolickim obrzędowość łacińska kojarzy się zazwyczaj z polskością i polonizacją; polonizacja i łatinizacja nadal odbierane są jako jednolity łańcuch synonimiczny. Dowodem tego, między innymi, jest apel Synodu Biskupów greckokatolickich (1-10 września 1990 r.), drugi z kolei, „do właściwych władz kościelnych Watykanu w sprawie rang mnichów obrządku łacińskiego, stosowanych na Ukrainie, z wymogiem przyjęcia przez nich obrządku wschodniego” (p. 23). Dla wszystkich, w mniejszym czy większym stopniu, obeznanych w istniejącej sytuacji, zrozumiałą jest wewnętrzna sprzeczność takich wymagań. Można byłoby pomyśleć, że poza granicami Ukrainy grekokatolicy też gotowi są przejść na obrządek łaciński lokalnego dominującego Kościoła Katolickiego, gdyby nie ich ostra reakcja na prośbę opuszczenia Polski i powrotu do swoich diecezji na Ukrainie żonatych duchownych grekokatolickich, jako że więzy małżeńskie duchowieństwa są przeciwnie zasadom kościelnym większości ludności.

Zaniepokojenie możliwością polonizacji nie obliwuje z zastrzeżeniami ze strony czołowych przedstawicieli grekokatolickich do coraz to szerszego wykorzystania w łacińskiej obrzędowości języka ukraińskiego podczas liturgii. W ciągu ostatniego dziesięciolecia KRK na Ukrainie, jak nigdy wcześniej, wyszedł naprzeciw językowym i kulturalnym potrzebom swoich wierzących, przede wszystkim ukraińsko- i rosyjskojęzycznych, niezależnie od ich przynależności narodowej. Pierwsi potrzebę

przejścia na język ukraiński odczuli przybywający na Ukrainę duchowni z Polski: nowe pokolenie etnicznych Polaków w przeważającej większości za ojczysty uważali już język ukraiński lub rosyjski. Wysiłkiem duchowieństwa polskiego, po raz pierwszy na Ukrainie, przygotowano i wydrukowano Agendę Liturgiczną w języku ukraińskim ze specjalnymi nabożeństwami poświęconymi świętym czczonym na Ukrainie oraz pamiętnym datom z historii Ukrainy, pełny kurs katechizacji dla dzieci z klas 1-11. I oto jeden z wice-rektorów Lwowskiej Akademii Teologicznej M. Marynowicz zwraca uwagę na fakt ukrajinizacji KRK: „dzisiaj coraz częściej można zobaczyć świątynię rzymskokatolicką, w której nabożeństwa celebrowane są według obrządku łacińskiego, lecz z wykorzystaniem języka ukraińskiego, a nawet ukraińskiej ornamentalistyki”, co wywołuje u autora niepokój.

Jest to kwestia szczególnie ważna dla duchowieństwa greckokatolickiego, które z trwogą spostrzega, że przemieszczanie się Kościoła Łacińskiego na Wschód Ukrainy toczy się czasem z pominięciem tradycji grekokatolickiej...”

Bezpodstawność takiego twierdzenia sprostowuje fakt prawie całkowitej rosyjskojęzyczności ludności Wschodu Ukrainy, która nie odczuwa szczególnego sentymentu do „ukraińskiej ornamentalistyki”. Język ukraiński nie nadaje się dla „przesuwania się” na wschód Ukrainy; a ci grekokatolicy duchowni, którzy spróbowali pracy na wschodnich i południowych ziemiach ukraińskich, zaczęli mówić o konieczności przejścia w liturgii na język rosyjski. Więcej nawet, Głowa UKGK w swoim czasie konstatawał „chroniczny brak tzw. ducha misjonarskiego” w Kościele Greckokatolickim: „Nie lubimy, a zatem nie chcemy pracować za granicami naszej parafii, kraju, Kościoła... Wschodnie obwody Ukrainy... czekają na obsługę duchową”. Niezadowolający stan w pracy duszpasterskiej na wschodzie Ukrainy uwzględniony jest w tych decyzjach Synodu biskupów UKGK (1998 r.), które nawołują mnichów wysokiej rangi i Zgromadzenia do „duszpasterskiej działalności na Ukrainie również wśród diaspyry wschodniej” (p. 22). Stereotypami zadawnionego uprzedzenia przeniknięty jest też moment koncepcji ekumenicznej UKGK, przyjętej na Synodzie biskupów latem 2000 r. (p. 20), dotyczące ich stosunku do KRK na Ukrainie. Rozpoczyna ten punkt konstatacja faktu, że „w przeciągu ostatnich dziesięcioleci członkostwo w Kościele katolickim obrządku łacińskiego... doznało istotnych zmian. Jeżeli wcześniej jego pastwą byli zazwyczaj nie Ukraińcy, to dzisiaj większość z nich jest obywatelami Ukrainy”. Natomiast rzuca się w oczy manipulacja pojęciami *przynależność narodowa i obywatelstwo*; co nie może pobudzić do wyjaśnienia przyczyn takich spekulacji.

Pozwolę sobie nieco szerzej zacytować następujące wersy, po to, aby pokazać charakter dzisiejszych pretensji UKGK wysuwanych pod adresem KRK. Hierarchowie grekokatolicki przyznają trudności wynikające we współżyciu Kościołów Katolickich dwóch obrzędów na Ukrainie i wymieniają je:

„UKGK wyraża trwogę i podziela zaniepokojenie ukraińskich prawosławnych co do pewnych aspektów działalności Kościoła rzymskokatolickiego na terytorium Ukrainy, wychodzących za ramy duchowej opieki nad wierzącymi obrządku łacińskiego. Nieuwzględnianie, w przeszłości, ścisłych powiązań dziedzictwa tradycji kijowskiej z tożsamością etnokulturową Ukraińców doprowadziło do nieporozumień i konfliktów.

Dziś problem ten wymaga niezwłocznego rozpatrzenia w duchu p. 10 „Instrukcji z zakresu zastosowania przepisów liturgicznych KKKW (Kodeksu Kanonów Kościoła Wschodniego), w której mówi się o „osądzeniu jakiegokolwiek prób odłączenia wierzących Wschodu od ich kościołów... poprzez narzucanie sposobu myślenia, duchowości i bogobojności, które nie korelują z ich własnym dziedzictwem duchowym” i rozwiązaniu tych problemów przy współpracy ze Stolicą Apostolską.

Ironia takiego twierdzenia polega na tym, że „Instrukcja”, na jaką powołują się hierarchowie grekokatolicki sporządzona była przez Kongregację Kościołów Wschodnich wyłącznie dla Wschodnich Kościołów Katolickich z „zamiarem okazania im pomocy w integralnej realizacji swoistej im tożsamości” (p.5). Ta sama „Instrukcja” mówi, iż duchowni obrządku łacińskiego powinni przestrzegać zasad Konstytucji Drugiego Soboru Watykańskiego „O świętej Liturgii” (p. 4).

Tymi bezpodstawnymi zarzutami zamyka się punkt projektu koncepcji ekumenicznej UKGK dotyczący zasad ich odniesienia do KRK na Ukrainie. Z dalszej treści Koncepcji stają się zrozumiałe przyczyny zarówno uprzedzeń, jak i wyobcowania. Za cel ekumenicznych starań UKGK stawiane jest zjednoczenie Kościołów tzw. tradycji kijowskiej (a zatem „narodowych” Kościołów prawosławnych nieuznanych przez Prawosławie Powszechne, Ukraińskiego Kościoła Prawosławnego będącego pod jurysdykcją Patriarchatu Moskiewskiego pod warunkiem zdobycia przez nią statusu autokefalii oraz UKGK) w jednym patriarchacie wspólnym z Moskwą, z Rzymem i Patriarchatem Powszechnym (II, 39).

Taki schemat „ekumenizmu ukraińskiego” zdobył oficjalny status w UKGK, jaki propagują zarówno przedstawiciele Kościoła, jak i wierzący.

Aczkolwiek w swoich wywiadach publicznych Głowa UKGK niezmiennie podkreśla, że „w Ukrainie powstać powinien jedyny Kościół Powszechny”. Pragniemy – mówi kardynał – żeby na Ukrainie był wyłącznie jedyny Kościół, zjednoczony ze światowym, czyli z katolicyzmem, który nie zaprzeczałby zachowaniu własnych tradycji”. W imieniu wierzących UKGK ambasador Ukrainy w Rzeczypospolitej Polskiej Dmytro Pawłyčko wyraził nadzieję, że wizyta Jana Pawła II na Ukrainę zdoła przybliżyć ukraińskie, powiedzmy – patriotyczne prawosławie – do patriotycznego Ukraińskiego Kościoła grekokatolickiego.

Jest rzeczą zrozumiałą, że hierarchowie, nawet niekanonicznych Kościołów Prawosławnych, zdecydowanie

występują przeciwko grekokatolickim schematom zjednoczenia, słusznie przypominając, iż zjednoczenie możliwe jest jedynie w oparciu o nauczanie wiary. Odnosnie zaś Kościoła rzymskokatolickiego na Ukrainie, to ten całkowicie wyłączony jest z perspektyw zjednoczeniowych UKGK, jako nieukraiński.

Wysunięte pryncypia ekumeniczne UKGK kolidują z Kodeksem Kanonów Kościołów Wschodnich, kan. 902-908, z „Instrukcją zastosowania pryncypów i norm ekumenizmu” (p. 164) i jako takie dyskredytują ekumeniczne wysiłki Stolicy Apostolskiej.

Rozbieżności, co do zasad wiary i inne

Nadmierne akcentowanie tożsamości narodowo-obrzędowej UKGK – a iwanofrankowski biskup-ordynator Sofron Mudryj akcentuje nie tylko narodową, lecz i jednocześnie etniczną tożsamość UKGK – nie może nie odbić się w sferze nauczania wiary. W decyzjach synodalnych episkopatu grekokatolickiego spotkać można takie abstrakcyjne uogólnienie jak „teologia wschodnio-ukraińska”. Głowa UKGK na najwyższym szczeblu stwierdza w Watykanie, iż UKGK poza podporządkowaniem Rzymowi, niczym nie różni się od Kościołów Prawosławnych: posiada „jednakową kościelną strukturę, taką samą teologię, identyczne prawo kanoniczne” jak u prawosławnych. Manewrując pojęciami – „Kościół Katolicki”, „katolicyzm” i „powszechność” kardynał w taki sposób udowadnia, że katolicyzm nie jest powiązany z teologią. Gmatwanina odnośnie doktrynalnych zasad nieuchronnie pociąga za sobą inne wolne tłumaczenia. W chwili, kiedy hierarchowie Kościoła twierdzą o przynależności UKGK do prawosławia i uważają, iż istnieje taki fenomen, jak „wschodnia ukraińska teologia”, wydania cerkiewne odrzucają prostych wierzących wstecz, w czasy przed Drugim Soborem Watykańskim, twierdzeniami o tym, iż jedynie Kościół katolicki, którym kieruje następca św. Apostoła Piotra, jest jedynym prawdziwym Kościołem i że dla uratowania duszy należy być w łonie Kościoła katolickiego. Z jednej strony istniejący brak tolerancji wśród duchowieństwa grekokatolickiego wobec prawosławnych jest na tyle znaczny, iż z decyzji synodalnych zezwala się podczas Liturgii pomijać zwrot „chrześcijan prawosławnych”, w innej zaś – znów mają miejsce luźne manipulacje pojęciami i przekonywanie, iż zwrot „prawosławni chrześcijanie” ma na uwadze nie tych chrześcijan, którzy odłączyli się od Kościoła Katolickiego, czyli niezbratanych czy protestantów, a właśnie wierzących Kościoła Katolickiego... Chrześcijanie prawosławni – to ci chrześcijanie katolicy, którzy wyznają prawdziwą wiarę Chrystusową pod przewodnictwem najwyższego Pasterza Kościoła Chrystusa Papieża”. Lecz nie jest to jeszcze szczytem tej gmatwaniny doktrynalnej. We wspomnianym powyżej projekcie Koncepcji Ekumenicznej UKGK Stolica Apostolska w Rzymie traktowana jest jako „Cerkiew lokalna – siostra UKGK” (rozdział III) oraz jako struktura międzykościelna szczebla międzynarodowego” (II, 11) kwalifikując ją odpowiednio w jednym rozdziale z Kościołami protestanckimi i wspólnotami (III).

Projekt koncepcji nawołuje do uściślenia formy urzędowania prymatu papieża (p. 21). Kardynał Huzar udowadnia, że „papieska nieomylność nie jest czymś takim, co funkcjonuje na co dzień. Codziennie trwa

nauka biskupów... Jesteśmy nauczycielami w Kościele i kiedy wszyscy razem uczymy tego samego – to to jest właściwą nieomylnością”. Podobnie też rektor Instytutu Prawa Kanonicznego Akademii Teologicznej we Lwowie M. Dymyd niejednokrotnie wyrażał publicznie niezgodność z dogmatem nieomylności papieża. Wychodzi on z założenia, że „Rzym nie dostarcza nam tego, czego wymagamy w naszym pojęciu kościelności”, a poza tym, że UKGK „jest najdoskonalszym Kościołem wśród Kościołów Wschodnich, nawet wśród tych, które mają Patriarchat”. Następnie M. Dymyd wyciąga wnioski: „W ciągu dziesięciu lat, od czasu kiedy Kościół wyszedł z podziemia, wychowała się nowa generacja, która może sama wejść do Magisterium Kościoła”. Jednak właśnie taka luźna interpretacja Magisterium Kościoła już przyczyniła się do tego, iż część grekokatolików utraciła poczucie przynależności konfesyjnej mianując siebie wyznawcami „światowej wiary” (jako że ani z prawosławnymi, ani z katolikami się nie utożsamiają).

W innych sferach duszpasterstwa UKGK i KRK na Ukrainie można spostrzec rozbieżności, zarówno w podejściach, jak też w ocenach. Można tu wymienić różne podejścia:

1) do katechezy (w UKGK okazywana jest przewaga nauczania etyki chrześcijańskiej w szkołach ogólnokształcących regionu, wówczas, kiedy wysiłki rzymskokatolików skoncentrowane są na utworzeniu parafialnej sieci katechizacji);

2) do udziału Kościoła w procesach politycznych zachodzących w państwie (UKGK pretenduje do większego udziału w życiu politycznym, świadectwem czego są niejednokrotne oświadczenia jego hierarchów, również sprzeczne. Z początku polityka prezydenta Kuczmy poddawana jest krytyce, już pół roku później prezydentowi okazywane jest wsparcie ze strony Kościoła podczas tzw. skandalu kasetowego i sprawy dziennikarza Gongadze.);

Nadmierna polityzacja UKGK negatywnie odbija się na dyscyplinie. Tak, na przykład, listem z dnia 21 stycznia 2002 r. Kardynał Huzar zabronił duchowieństwu wysuwać swe kandydatury w wyborach 1 kwietnia br., co nie powstrzymało 41 duchownych od wysunięcia swych kandydatów, z czego do organów władz lokalnych wybrano 15. KR bezkompromisowo odgranicza się od procesów politycznych;

3) rozbieżności w metodach pracy doprowadziły do zaistnienia na Ukrainie dwóch odrębnych „Caritasów” grecko i rzymskokatolickiego.

W ten to sposób, do brzemienia zaszytych uprzedzeń narodowo-religijnych istniejących między dwoma narodami i dwoma obrządkami jedynego Kościoła katolickiego dodano nowe – wyraźnie teologiczne; i zamiast zwalczania zadawnionych trudności, gromadzą się nowe. Dwa odłamy Kościoła katolickiego na Ukrainie byłyby w stanie wnieść ważki wnioski w sprawie pokonania uprzedzeń międzyetnicznych i międzyobrzędowych, mających naturę historyczną, ale ze względu na warunki i zasadniczą jedność – teologiczną, doktrynalną, skoordynowanych działań w sferze pracy duszpasterskiej i służeniu społeczeństwu.

Podane przykłady naświetlają od wewnątrz przyczyny trwających wciąż nieporozumień pomiędzy narodo-

wościami i pomiędzy kościołami. Sytuacja jest zbyt skomplikowana, aby sprowadzać ją jedynie do ukraińsko-polskich stosunków międzyetnicznych w kraju, chociaż nie należą one do prostych. W przygotowaniu tego referatu wykorzystano oficjalne dokumenty UKGK, cerkiewną prasę diecezjalną, oświadczenia dostojników kościelnych i osób świeckich. Pod tym kątem widzenia przeanalizowane zostały też wydania Kościoła rzymskokatolickiego na Ukrainie. Te ostatnie różnią się przede wszystkim tym, iż, na odmianę od grekokatolickich, regularnie podają informację dotyczącą ważnych wydarzeń w życiu UKGK; żadnego razu nie spotkaliśmy w nich uprzedzających twierdzeń w płaszczyźnie narodowej czy też obrzędowej, nawet w tych złożonych przypadkach – a jest ich niemało – kiedy chodzi o świątynie rzymskokatolickie, które po legalizacji UKGK na Ukrainie przeszły w ręce grekokatolików. Świadczy to o pryncypialnej pozycji KR na Ukrainie skierowanej na przewycięzenie konfliktów nie zważając na istniejące trudności. Kościół rzymskokatolicki do niedawna zachowywał milczenie w wielu złożonych sytuacjach wynikających pomiędzy Kościołami katolickimi dwóch obrzędów na Ukrainie, nie reagował w sposób otwarty na obraźliwe publikacje w wydaniach grekokatolickich. Pierwsza i jedyna publikacja ze strony rzymskokatolickiej na ten temat to artykuł biskupa Stanisława Padewskiego w odpowiedzi na obraźliwy anonimowy artykuł odnośnie Kościoła rzymskokatolickiego na Ukrainie wydrukowany nie tylko w powszechnie znanym ze swego radykalizmu czasopiśmie parafian grekokatolików „Patriarchat”, lecz i w gazecie biskupa stryjskiego UKGK „Arka”. Upoważniony przez Konferencję Biskupów KRK na Ukrainie do odpowiedzialności za prasę katolicką biskup Padewski zaznacza, że do zareagowania na takiego rodzaju publikację pobudziła go troska „o to, aby prasa katolicka działała obiektywnie *sine ira et studio* (bez gniewu i uprzedzeń), troska o czystość myśli i serca, a może i rąk...”

Jednocześnie z artykułem biskupa Padewskiego w prasie pojawił się wywiad Głowy UKGK kardynała Huzara z wezwaniem „omijać słowa i gesty, które kontynuowałyby przeszłość i czyniłyby ją siłą niszczącą. Kościół powinien tu działać aktywnie – gdyż jesteśmy przecież częścią narodu. Kościoły w Polsce i na Ukrainie powinny zadbać o wzajemne gesty, wspólne programy, po to by razem pokonać smutne doświadczenia z przeszłości.”

Fakty przytoczone powyżej świadczą jednak o tym, iż dziś większy problem stanowi nie stan stosunków ukraińsko-polskich na szczeblu międzypaństwowym lecz normalizacja wewnętrznych stosunków międzyetnicznych i międzykościelnych, zapewne tak na Ukrainie jak i w Polsce. Naszym zdaniem dla UKGK poważną komplikacją jest wciąż pogłębiający się kryzys utożsamiania, wyjście z którego dostojnicy grekokatolicki widzą przeważnie w granicach sfery obrzędowo-narodowej. Próbując odrzucić elementy teologii katolickiej, UKGK nie zwraca się przy tym ku Kościołowi Prawosławnemu, a toruje swoją „trzecią drogę”. Problemy narodowe z czasem jak wynikały, tak i znikną, międzykościelne – pomiędzy UKGK a KRK na Ukrainie – grożą przeistoczeniem się w źródło permanentnego kryzysu. □

Piotr Franków

Tych ofiar nie możemy zapomnieć!

Z okazji rozpoczynających się w Polsce obchodów 60. rocznicy krwawych mordów dokonanych na Polakach przez zbrodniarzy z OUN-UPA na Wołyniu i Kresach Południowo-Wschodnich Rzeczypospolitej w latach II wojny światowej, w gorzowskim kościele pw. św. Maksymiliana Kolbe odbyła się 13 października 2002 r. podniosła uroczystość religijno-patriotyczna, poświęcona odsłonięciu Tablicy Pamięci Pomordowanym Polakom.

Odsłonięcie i poświęcenie Tablicy Pamięci odbyło się podczas uroczystej Sumy.

Przed Mszą św. zaciągnięto przy Tablicy warty honorowe harcerzy Gorzowskiego Hufca ZHP i funkcjonariuszy Komendy Wojewódzkiej Policji w Gorzowie Wlkp. oraz wprowadzono pocztę sztandarową:

- Światowego Związku Żołnierzy AK Okręgu Lubuskiego,

- Związku Kombatantów i Byłych Więźniów Politycznych,
- Gorzowskiej Rodziny Katyńskiej,
- Związku Sybiraków Oddziału Wojewódzkiego,
- Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność”,
- Zespołu Szkół Ekonomicznych,
- Zespołu Szkół Technicznych i Ogólnokształcących,

Mszę świętą rozpoczął ks. kanonik Jan Pikula, proboszcz parafii pw. św. Maksymiliana Kolbe, jednocześnie kapelan Gorzowskiego Oddziału TMLiKPW, którego korzenie rodzinne sięgają pięknego i urokliwego Polesia.

Następnie wiceprezes Gorzowskiego Oddziału TMLiKPW – Piotr Franków powitał przybyłych na Mszę św. i uroczystość:

- Jana Kaczanowskiego – przewodniczącego Rady Miejskiej w Gorzowie Wlkp.,

- Lesława Flisa – wiceprezydenta Światowego Kongresu Kresowian z Wrocławia,

- Ignacego Dutkiewicza – przedstawiciela rodzin pomordowanych przez nacjonalistów ukraińskich, byłego mieszkańca miejscowości Kropiwnik Stary w powiecie drohobyckim (stracił ojca, matkę i siostrę),

- Elżbietę Płonkę – senatora RP poprzedniej kadencji, związanej rodzinnie z Ziemią Tarnopolską,

- Stanisława Bukowskiego – Komendanta Lubuskiej Komendy Policji w Gorzowie Wlkp.,

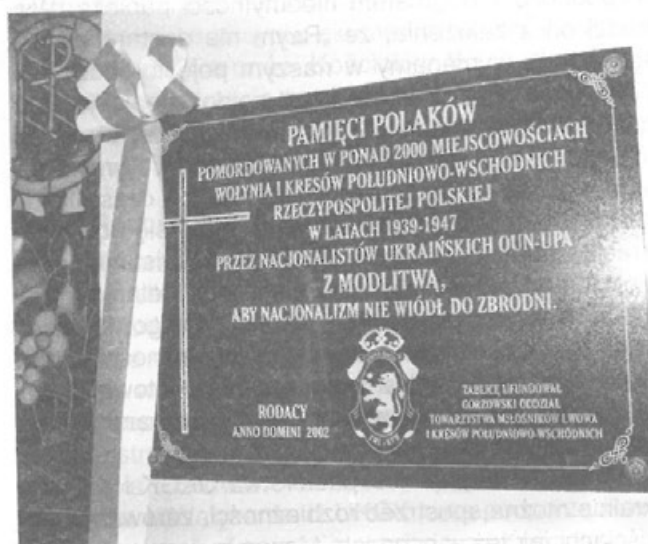
- Macieja Szykułę – Lubuskiego Kuratora Oświaty,

- prezesów i przedstawicieli: Zarządu Wojewódzkiego Związku Sybiraków, Koła Miejskiego Związku Sybiraków, Gorzowskiej Rodziny Katyńskiej, Gorzowskiego Oddziału Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”, Towarzystwa Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej, Światowego Związku Żołnierzy AK Okręgu Lubuskiego, Związku Kombatantów i Byłych Więźniów Politycznych, Związku Harcerstwa Polskiego Hufca Gorzowskiego, Komendy Wojewódzkiej Policji,

- reprezentantów gorzowskich szkół: Zespołu Szkół Ekonomicznych, Zespołu Szkół Technicznych i Ogólnokształcących,

- przedstawicieli lokalnej prasy i telewizji,

- sympatyków Kresów Wschodnich oraz wszystkich zgromadzonych w świątyni.



W krótkich słowach podkreślił cel tej uroczystości i poprosił ks. kanonika Jana Pikulę o odprawienie Mszy św. w intencji pomordowanych Polaków na Wołyniu i Kresach Południowo-Wschodnich.

Podczas Mszy św. dwukrotnie wystąpił chór „Ta jo!” pod kierownictwem prof. Zygmunta Jankowskiego, który zaśpiewał pieśni: „Wierne Madonny” i „Śliczna Gwiazdo Miasta Lwowa”.

Ponadto przedstawiciele Gorzowskiego Oddziału TMLiKPW wzięli udział w liturgii Mszy św.: Kazimierz Kołodziej (w czytaniu mszalnym), Weronika Stonoga, Jadwiga Walocha, Bronisław Mazur i Stanisław Nuckowski (w modlitwie wiernych).

W czasie Mszy św. wysłuchano patriotycznego kazania wygłoszonego przez ks. Jana Pikulę, w którym podkreślił on gehennę narodu polskiego w latach II wojny światowej na Kresach Wschodnich, a także wskazał na potrzebę przebaczenia i modlitwy w intencji sprawców popełnionych zbrodni.

Przed błogosławieństwem nastąpiło odsłonięcie i poświęcenie Tablicy Pamięci.

Odsłonięcia dokonali:

- Jan Kaczanowski – przewodniczący Rady Miejskiej w Gorzowie Wlkp.,

- Lesław Flis – wiceprezydent Światowego Kongresu Kresowian,

- Ignacy Dutkiewicz – przedstawiciel rodzin pomordowanych na Kresach Wschodnich.

Poświęcenia dokonał kapelan Gorzowskiego Oddziału TMLiKPW ks. Jan Pikula.

Po odsłonięciu i poświęceniu Tablicy Pamięci przedstawiciele organizacji i osoby prywatne złożyły wiązanki kwiatów.

Następnie głos zabrał Pan Lesław Flis, który podkreślił wagę tej uroczystości, potrzebę dbania o utrwalenie prawdy historycznej, o to, by pamięć o tragedii Polaków na Kresach nigdy nie została zapomniana, bo narody, które tracą pamięć – giną.

W drugiej części swojego wystąpienia odczytał, skierowany do Gorzowskiego Oddziału TMLiKPW, list Pana

Szczepana Siekierki, prezesa Stowarzyszenia Upamiętnienia Ofiar Zbrodni Ukraińskich Nacjonalistów, popierający inicjatywę i realizację uczczenia Tablicą Pamięci pomordowanych Polaków, która równocześnie będzie przypominać, że popełnionych zbrodni nie można wymazać z historii stosunków polsko-ukraińskich.

Po wystąpieniu Pana Lesława Flisa wiceprezes Gorzowskiego Oddziału TMLiKPW Piotr Franków podziękował ks. Janowi Pikule za udostępnienie pięknej świątyni do zamieszczenia tablicy i zorganizowanie uroczystości; podziękował również pocztom sztandarowym, warcie honorowej – harcerzom i policjantom, chórom: kościelnemu i „Ta jo!” oraz wszystkim osobom przybyłym na tę uroczystość.

Tablicę Pamięci wykonano w Zakładzie Budowlano-Kamieniarskim Pana Janusza Mazurka – mistrza sztuki kamieniarskiej, którego korzenie rodzinne sięgają Kamionki w pow. kołomyjskim. Została wykonana z czarnego marmuru, posiada wymiary 80 cm x 60 cm.

Po zakończonej Mszy św. ks. proboszcz Jan Pikula zaprosił do siebie gości i organizatorów uroczystości na spotkanie połączone z poczęstunkiem. W trakcie rozmów i dyskusji podkreślano potrzebę utrwalania prawdy historycznej w stosunkach polsko-ukraińskich, kształtowanie postaw patriotycznych i pielęgnowanie polskich tradycji narodowych ukształtowanych przez stulecia na ziemi naszych pradziadów i ojców.

W czasie tego spotkania Pan Lesław Flis w imieniu Pana Szczepana Siekierki wręczył ks. Janowi Pikule i wiceprezesowi Gorzowskiego Oddziału TMLiKPW Piotrowi Franków dyplomy honorowe Zarządu Głównego SUOZUN – za wspieranie Stowarzyszenia w jego działalności z zakresu dokumentowania i upamiętniania zbrodni ludobójstwa, popełnionych na terytorium państwa polskiego w latach 1939-1947 przez OUN-UPA.

Gorzowski Oddział TMLiKPW, korzystając z pobytu w Gorzowie Wlkp. Pana Lesława Flisa, zorganizował spotkanie przedstawicieli wszystkich organizacji kresowych i ich sympatyków. Spotkanie odbyło się w świetlicy Internatu Zespołu Szkół Technicznych i Ogólnokształcących. Wzięli w nim udział:

Tadeusz Łodziana

Państwowy Instytut Sztuk Plastycznych we Lwowie 1937-1943 – wspomnienia (I)

Mojemu miastu

*pod Wysokim Zamkiem,
artystom – pedagogom
koleżankom i kolegom
których okrutny los
wypędził z ukochanego
i niezwykłego miasta
– dedykuję –
gdziekolwiek jesteście.*

Motto: ocalić od zapomnienia

Wspominając, opowiem o moim pokoleniu młodzieży, która w pierwszym dziesięcioleciu naszej niepodległości rozpoczęła naukę, a studia wyższe kończyła po wojnie. O pokoleniu gorzkich doświadczeń, ciężkich

- Jan Kaczanowski – przewodniczący Rady Miejskiej w Gorzowie Wlkp.,

- Maciej Szykuła – Lubuski Kurator Oświaty,

- Zdzisław Czubakowski – prezes Gorzowskiego Oddziału Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”,

- Władysław Olszowy – członek Zarządu Głównego TMLiKPW, reprezentujący podczas uroczystości prezesa Andrzeja Kaminskiego (w Gorzowie Wlkp. pełniący funkcję wiceprezesa TMLiKPW i Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”).

Po powitaniu zebranych, prowadzący spotkanie Piotr Franków odczytał skierowany do Gorzowskiego Oddziału TMLiKPW list Pana Andrzeja Przewoźnika – Sekretarza Generalnego Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, popierający działania mające na celu uczczenie pamięci rodaków bestialsko zamordowanych na Wołyniu i Kresach Południowo-Wschodnich w latach 1939-1947 przez nacjonalistów ukraińskich.

W trakcie tego spotkania wywiązała się ciekawa dyskusja, w której głos zabrali m. in.: Jan Kaczanowski, Maciej Szykuła, Władysław Olszowy, Augustyn Jagiełło, Kazimierz Kołodziej. W wielowątkowej dyskusji podkreślano potrzebę szerzenia prawdy historycznej o Kresach Wschodnich, ratowania zabytków i nekropolii, udzielania pomocy w odbudowie kościołów, organizowania pomocy materialnej najuboższym Polakom i dbałość w wyposażaniu polskich sobotnich szkół w niezbędne pomoce dydaktyczne i podręczniki.

W podsumowaniu dyskusji prowadzący spotkanie Piotr Franków podał przykłady współpracy Gorzowskiego Oddziału TMLiKPW, Gorzowskiego Oddziału Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” oraz Wojewódzkiego Ośrodka Metodycznego w Gorzowie Wlkp. z Polską Sobotnią Szkołą w Drohobyczu (podręczniki i inne środki dydaktyczne, udział nauczycieli z Drohobycza w warsztatach szkoleniowych – poloniści i plastycy, organizowanych przez Robotnicze Stowarzyszenie Twórców Kultury). Podziękował wszystkim uczestnikom spotkania za ciekawe wypowiedzi, dowodzące troski o losy Polaków za wschodnią granicą. □

prób charakteru, wyborów jak i postaw w czasie wojny, okupacyjnego czerwonego i brunatnego terroru aż do wypędzenia nas z miasta naszego dzieciństwa, krainy naszych ojców. Wspominać będę o naszych pedagogach, którzy przekazywali nam arkana sztuk pięknych i historię naszego bohaterskiego miasta, którego nieporównywalnego uroku, atmosfery życzliwości, humoru i codziennego uśmiechu nie sposób zapomnieć.

Do wspomnień przyczynił się zjazd byłych wychowanków Instytutu po 55 latach – Wrocław 2000 r. Spotkały się dwa pokolenia tych studiujących przed wojną i tych, którzy rozpoczęli studia w czasie okupacji. Wszyscy już emeryci. Liczne fotografie i strzępy dokumentów z tamtych lat będą pomocne, by sprostać zadanu, do którego przystąpiłem nie bez tremy.

Zastrzegam się, że z bogatego materiału pamięci wspomnę o tych osobowościach pedagogicznych i indywidualnościach artystycznych, których twórczość chlubnie zapisana jest w almanachach kultury polskiej i o tych, z którymi się przyjaźniłem i kontakt osobisty podtrzymuję do dziś.

Lwów mon amour! Do Lwowa, mojego miasta, jeździć nie tylko dla higieny serca, ale też, by choćby przez chwilę być i czuć się jak u siebie w domu.

Za którymś tam pobytem w ostatnim dziesięcioleciu, oprowadzając córkę mojego zmarłego przyjaciela i kolegi z Instytutu, **Antka Bilasa**, śladami jej ojca, zawędrowaliśmy na Snopków, tak dobrze znaną mi przecież dzielnicę miasta. Tu w Szkole Technicznej mieścił się Instytut.

Pozornie nic się tu nie zmieniło, tylko że tak bardzo wybujałe kasztany, chyba po Czarnobylu, stojące na skwerze – zmąciły nieco pejzaż. I już inny numer „balonu” hula teraz przez miasto i ulicę Dwernickiego na pętlę tramwajową, przed gmach dawnej Państwowej Szkoły Technicznej na Snopkowie.

Nie będę opisywał topografii tej okolicy. Co bardziej ciekawym Czytelnikom polecam książkę Tadeusza Riedla pt. „We Lwowie – relacje” (Wyd. Sudety, 1996). Dokładnie opisuje on każdą kamienicę, posesję i dzieje ich mieszkańców, ulic: Dwernickiego, częściowo Snopkowskiej aż po kąpielisko Żelazna Woda.

Dawna Szkoła Techniczna bez zmian, ale gdy wszedłem na podwórze od strony ówczesnej ulicy Dybowskiego doznałem przykrego rozczerwienia, skąd tu drzewa?! Zamiast dawnego ogrodu kwiatowo-owocowego stały brudne garaże, rozmaite przybudówki; na miejscu boiska do siatkówki rosły świerki, a ławka naprzeciw klatki schodowej głównego wejścia zlikwidowana. Służyła ona do m. in. wspólnych grupowych fotografii.

W części budynku Szk. Techn., od strony ul. 22 Stycznia, gdzie na II i III piętrze mieścił się Instytut, ku memu zdumieniu nie zobaczyłem obu tarasów. Zostały one zabudowane w sposób tandetny, a krzywo osadzone, małe i brudne okienka przedstawiały żalostny widok.

A przecież za naszych czasów na tych tarasach kwitło studenckie życie mojego pokolenia. W czasie przerw między zajęciami tarasy były miejscem naszych spotkań, tu podrywało się „dziunie”, czyli koleżanki, do których zwracaliśmy się wówczas per pani.

Dla gry w siatkówkę na podwórzu urywałem się z wykładów, by rozegrać jakiś ważny mecz. W czasie „pierwszych ruskich” grałem w „sito” razem z zasłużonym sportowcem ZSRR, który po wojnie został zastępcą samego Cyrankiewicza na urzędzie premiera w 50-tych latach w PRL-u.

Dzieje Instytutu

Instytut wywodził się ze Szkoły Malarstwa i Modelowania, którą kroniki Lwowa zarejestrowały w 1897 r. jako oficjalną szkołę, niezależnie od szkół prywatnych tego typu (nie mylić z Wolną Akademią Sztuk Pięknych przy ul. Piaskowej na Kaiserwaldzie, której twórcą i fundatorem był Leonard Podhorodecki, b. ziemianin).

Szkoła Malarstwa i Modelowania egzystowała jako szkoła wieczorowa, gościnnie ją przygarnęło Bractwo Kurkowe przy ulicy Kurkowej. W 1911 r. została wciślona do Państwowej Szkoły Przemysłowej, którą zbudowano w 1910 r. przy ul. Snopkowskiej 47 i otrzymała wówczas nazwę: Wydział Sztuk Zdobniczych i Przemysłu Artystycznego.

Wydział przechodził transformacje organizacyjno-programowe. Kadra natomiast starała się o uzyskanie autonomii dla Wydziału, gdyż do inżynierskiego charakteru Szkoły Przemysłowej już nie pasowała.

Szkołę Przemysłową (zmieniono jej nazwę na Państwową Szkołę Techniczną) rozbudowano w latach dwudziestych, powiększając powierzchnię dydaktyczną o nowe lokale od strony ulic Żyrzyńskiej i Dybowskiego. Powstały tam warsztaty metalowe dla Szk. Techn. Wejście na Wydział Sztuk Zdobniczych i Przemysłu Artystycznego, a później do Instytutu było od strony ul. Żyrzyckiej, przeważnie zamknięte. Prosto z tramwaju przez główne wejście i podwórze Szk. Techn. wchodziło się drugą klatką schodową do Instytutu. W 1937 r. Wydział Szt. Zdob. otrzymał autonomię, stał się samodzielną jednostką dydaktyczną pod nazwą: **Państwowy Instytut Sztuk Plastycznych** z siedzibą w Państwowej Szkole Technicznej.

W uzyskaniu autonomii dla Wydziału pomogła dyrektor departamentu Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, p. **Wanda Telakowska**, która po wojnie też pracowała w szkolnictwie artystycznym PRL-u. Poznałem ją, gdy wizytowała Sopocką Wyż. Szk. Plast. Postawna, pełna osobistego uroku pani o dużym poczuciu humoru, także na swój temat.

Podczas biesiady w sopockim Grand Hotelu, gdzie profesura gościła p. **Wandę**, w pewnej chwili postawny marynarz poprosił ją do tańca. Po powrocie do stołu opowiedziała rozbawiona, że na jej pytanie: „jak się panu ze mną tańczy?” – marynarz odparł: „paniusiu, niejedną szafę już przesuwałem”. P. **Wanda** w Warszawie dyktowała instytucji o nazwie: „Biuro Nadzoru Estetycznego Produkcji”, którą żartobliwie nazywała: „Biuro Niewyżytych Erotycznie Pań”. W biurze pracowały panie znające się na wszystkim – taka synekura w PRL-u. P. **Wanda** uwodziła osobistym urokiem, dowcipem i humorem. Emablowana przez panów, była barwną postacią w kręgach artystycznych i rządowych.

Do Instytutu po uzyskaniu autonomii przeszła niemal cała kadra z dawnego Wydziału, natomiast odszedł na Politechnikę m. in. dawny kierownik Wydziału, rzeźbiarz **Jan Nalborczyk** – twórca m. in. pomnika Tytusa Chałubińskiego w Zakopanem w 1903 r., zamordowany przez NKWD w 1940 r., znany malarz K. Sichulski, znawca folkloru huculskiego i zasłużony dla naszej kultury historyk sztuki **Mieczysław Gębarowicz**, znakomity kustosz Ossolineum, wielki humanista, który pozostał po wojnie we Lwowie dla ratowania naszych dóbr kulturalnych miasta. Zmarł w latach osiemdziesiątych, pochowany został na cmentarzu Łyczakowskim.

W 1937 r. kończyłem czwartą klasę I Gimnazjum (559) Matematyczno-Przyrodniczego im. M. Kopernika. Moja buda razem z III Humanistyczną im. S. Batorego tworzyły narożnik ulic Kubali i Batorego. Dalej ciągnęły się dosyć ponure gmachy sądów. Natomiast po drugiej stronie ulicy były same księgarnie, a pod numerem 6 Polskie Radio ozdobione płaskorzeźbą skaczących do siebie dwóch lwów.

Dyrektorem gimnazjum był profesor języka francuskiego **Fiszer**, kapryśny belfer, któremu mało kto dogodzić mógł kolorem herbaty w szklance. Przyrody uczył prof. **Świerczyński**, stąd całodzienne wycieczki krajoznawcze do Czartowskiej Skali. Historię wykladał prof. **Tadeusz Urbański**, wywieźli go Sowietci, by poznać osobiście historię Polaków na Syberii. Rysunku uczył art. mal. **Zygmunt Rudnicki**, który przy korekcie, gdy

poniósł go temperament, łamał ołówek. Po wojnie był belfrem w krakowskiej ASP. Natomiast katecheta, ks. **Andrzej Moldoch** zmuszał nas do wkuwania ministrantury, by służyć do mszy św. Do mszy służyło zawsze dwóch ministrantów. Całej ministrantury nie umiałem, sytuację ratował kolega. O rugach księdza, jakie otrzymałem w zakrystii, lepiej nie wspominać. Polskiego uczył postawny prof. **Gajek**, który wymawiając słowa, kładł nacisk na samogłoski *ę* i *ą*. Gimnastyki, nudnej, bo szwedzkiej, uczył tęgawy p. **Byjos**. Przeciągaliśmy czas rozbierania się po to, by lekcja trwała niecałe 45 minut. O grach zespołowych nie było co marzyć, na przykład o piłce nożnej, która była grą zakazaną. Sala gimnastyczna służyła też trzeciej budzie również na akademie ku czci. Rozrywką w czasie przerw była skocznia w dal. Nie do pokonania w tej dziedzinie był kol. **Dudek**, syn cukiernika mającego sklep na wprost pomnika Adama Mickiewicza.

W ławce gimnazjalnej siedziałem z przyszłym rekordzistą i reprezentantem PRL-u w pływaniu, kol. **Kuntzelmanem**, który jako czempion ZSRR przyjechał do Polski ze Lwowa dopiero po 1957 roku, został zawodnikiem bytomskiej Polonii.

W Warszawie w latach sześćdziesiątych spotkałem rudego, piegowanego i sympatycznego kolegę z mojej klasy, **Tadeusza Daszkowskiego**, śpiewał w chórze Domu Wojska Polskiego, wzorowanym na słynnym radzieckim chórze Aleksandrowa. Jeździł z chórem do demoludów, m. in. do Chin. Śpiewał też i w Paryżu. W gimnazjum był wirtuozem piłki tenisowej, gdy w czasie przerw graliśmy nią w „nogę”.

A **Tadeusz Koziół** był pupilkiem p. prof. od języka polskiego i „etatowym” recytatorem wierszy na każdej uroczystości państwowej. Występował na scenie sali gimnastycznej. Wysoki, w okularach, starannie ubrany był wzorem ucznia. Ale o nim w dalszej części wspomnień. Natomiast **Szymon Szechter**, grubas, po wojnie w Warszawie był aktywnym członkiem partii, pisywał artykuły ideowe do Trybuny Ludu, a po 1968 roku jeden z pierwszych wyemigrował do kapitalistycznej Anglii. Nie spotkaliśmy się w Warszawie.

Zapamiętałem **Jurka Bittnera**, który nogę miał usztywnioną w szynie lekarskiej; nie znam jego losów, **Jurka Białkowskiego**, dr med., przyjeżdżał z Koszalina do Warszawy, spotkaliśmy się chyba jeden raz w mieszkaniu T. Koziół, a o najlepszym uczniu w klasie, kol. **Wiluszu**, nie wiem nic, o **Zbyszku Rzewuskim** z mojej klasy w dalszej części wspomnień.

W trzeciej budzie po sąsiedzku – gimnastyki uczył p. **Rzepka**, młody i wysportowany pedagog, który miał ambicje zdobycia przez reprezentację gimnazjum przechodniego sztandaru PW (przysposobienie wojskowe). Rokrocznie przeprowadzano międzygimnazjalne zawody strzeleckie. Każde gimnazjum miało nadzieję zdobycia trofeum. Poczet sztandarowy PW zwycięskiego gimnazjum brał udział w defiladzie uroczystych świąt państwowych. Trójka uczniów niosąca sztandar ubrana była w granatowe spodnie, zieloną bluzę spiętą pasem z koalicijką, czapkę z paskiem pod brodą, no i białe rękawiczki, które nadawały szyku. Za nimi w kolejności zajętych miejsc na zawodach defilowały czwórkami gimnazja. Tę drugą część defilady rozpoczynała Szkoła Kadetów im. J. Piłsudskiego, najlepiej reprezentująca się i najbardziej oklaskiwana przez tłumy zgromadzone na trasie pochodu, a za nimi gimnazja, szkoły zawodowe, harcerstwo itd.

Przygotowywano nas do defilady, uczyliśmy się w czwórkach kroku defiladowego. Dostałem tego zaszczytu i na święto 3 Maja w 1937 r. defilowałem przed pomnikiem Adama Mickiewicza. Ta męska sportowo-strzelecka przygoda nie stała się tradycją w szkołach PRL-u. Szkolnictwo przyjęło bowiem model radzieckiego wychowywania młodzieży. Z tradycjami „Polski sanacyjnej” skutecznie walczone.

W niedzielę do małego kościoła Klarysek przy ul. Łyczakowskiej chodziła pierwsza i dziesiąta buda. Nie pamiętam dlaczego młodzież w dziesiątej budzie nosiła szare mundurki. Mieli blisko do kościoła z ulicy Wałowej, do którego wchodziliśmy bocznymi drzwiami od ulicy Łyczakowskiej. Narożnik ulicy Łyczakowskiej był zabudowany budami i składami m. in. węgla. Podczas mszy na organach grał i donośnym głosem śpiewał **Barnabo**, a może **Barbaro** – jakoś tak z włoska brzmiało jego nazwisko.

Po wojnie ruscy uprzątnęli cały narożnik ulicy Łyczakowskiej, odsłoniли elewację kościoła, który służy jako salon wystaw fotograficznych. Narożnik ulicy to deptak, bar samoobsługowy, parę stolików, no i podziemne przejście na skróty przez klasztor O.O. Bernardynów na ulicę Serbską i Plac Bernardyński.

W czerwcu 1937 r. zdałem do Instytutu. Od roku mieszkalem w Bursie grunwaldzkiej (przy ul. Sobińskiego 13). Budynek stał samotnie na wzgórzu, nieopodal góry św. Jacka, a charakteryzował się tym, że pod oknami drugiego piętra widniały białe orły z literami TSL (Towarzystwo Szkół Ludowych) z ceramicznych płyt, które ostro kontrastowały z ceglanymi ścianami bursy. W 1939 r. Sowietci zasmarowali orły cementem, dość niestarannie, jak gdyby w pośpiechu. Odwiedziłem w tym czasie **Olka Howalewicza**, który tam mieszkał z matką. Przyjaźniłem się z nim i jego starszym bratem **Kajem**, który nie wrócił z wojny. **Olek**, świetny piłkarz, po wojnie grał w warszawskiej Legii. Był w latach czterdziestych reprezentantem kraju, razem z **Kazimierzem Górskim**. Chodziłem, jak wielu warszawiaków, na Legię – w tych czasach niczym nie ryzykowałem, nie było wtedy szalikowców i pseudokibiców, zwyczajnych chuliganów.

Dyrektorem bursy był profesor łaciny z III Gimnazjum, p. **I. Rozkosz**. Nazywaliśmy go „Ból” – od powiedzenia: „bez bólu nie ma rozkoszy”. Był surowy i sprawiedliwy, trzymał nas w isticie wojskowym rygorze. Mieszkańcami była młodzież ze Lwowa i okolic. Opłata miesięczna wynosiła 120 zł. Mój ojciec jako urzędnik państwowy płacił połowę tej sumy. Codziennie parami schodziliśmy serpentynową ścieżką w dół Sobińskiego przez ul. Zieloną do gimnazjów, które znajdowały się w śródmieściu. Na ul. Piłsudskiego rozchodziliśmy się, jedni w lewo, w ul. Zybkiewicza, drudzy w prawo, w ul. Batorego, Łyczakowską i Podwałę. Codzienny widok na ul. Zielonej – to my, parami w granatowych mundurkach z tarczami na lewym ramieniu, idący wartko, by nie spóźnić się do budy, prowadzeni przez opiekuna, tzw. prefekta, studenta uniwersu lub polibudy.

Dzień w bursie rozpoczynaliśmy odśpiewaniem w auli „Kiedy ranne wstają zorze”, śniadaniem i wymarszem do szkół.

Po obiedzie do 16³⁰ obowiązywało „silentium”, cisza, czas na naukę. Półgodzinna przerwa na podwieczorek wykorzystywana była na boisku. W soboty pisaliśmy krótkie podanie do dyrekcji o pozwolenie wyjścia w niedzielę na miasto; należało podać godzinę powrotu.

Spóźnienie groziło karą nieotrzymania przepustki na następną niedzielę. Od kieszonkowego, kto miał, zależało wyjście na miasto. Szło się w odwiedziny do krewnych i znajomych, a najczęściej na mecze Pogoni, ulubionego klubu sportowego lub do kina, oczywiście drugiej kategorii. Oglądało się westerny z Tomem Miksem, Pata i Pataszona, Flipa i Flapa, Dymśkę, Smosarską, jednym słowem plejadę wspaniałych aktorów.

Nie pamiętam, w którym było to roku, ale na pewno na początku lat trzydziestych – podziwiałem z parku stryjskiego międzynarodowy wyścig samochodowy ulicami Lwowa. Caraciola, von Stuck, Ripper, uczestnicy tego rajdu na samochodach Bugatti pędzili ulicami: Pełczyńską do góry, Stryjską, Kadecką i znowu do Pełczyńskiej, gdzie był start i meta. Było o czym rozmawiać i snuć marzenia.

W owych latach emocjonalnie przeżywałem sensacyjny widok miasta, pokrytego czerwonym pyłem – okazało się, że to Etna na Sycylii była przyczyną tego zjawiska. Następnym wydarzeniem była śmierć marszałka J. Piłsudskiego w 1935 r. W tym samym roku wyjechaliśmy z rodzicami do Krakowa, gdzie na Sowińcu sypaliśmy kopiec dla marszałka, tak jak cały naród. Po odwiedzinach matki ojca w Żywcu uciekaliśmy ostatnim pociągami przed powodzią. Nie mogliśmy do Lwowa wracać przez Rzeszów, Przemyśl, dopływy rzek Wisły wylały, mosty były zagrożone. Przez Kielce, Sandomierz wracaliśmy do Lwowa – długa i męcząca podróż.

A w 1936 r. tragiczna śmierć generała Orlicz-Dreszera, no i olimpiada w Berlinie.

Chodziliśmy na kroniki PATa do kina, by oglądać olimpiadę. Imponował jej rozmach, a podniesione ręce i okrzyki „Heil Hitler” nie budziły jeszcze grozy. Interesowały nas zmagania sportowe, były fascynujące. Nie bardzo interesował nas poszlakowy proces Gorgonowej, zbrodni w Brzuchowicach, ani też rozruchy robotnicze, pogrzeb Kozaka, w ogóle polityka. W czytelniku bursy raczej przeglądaliśmy prasę szukając sprawozdań sportowych. Pamiętam, że w niedzielę po powrocie z przepustki pilnowaliśmy audycji Wesołej Lwowskiej Fali, i Szczepcia, i Tońcia, Bandziuchowej, radcy Strącia i innych.

Zaledwie paru kolegów z bursy odnalazło się po wojnie, m. in. **Zdzisław Dziedziński**, architekt, **Antoni Moronczyk**, wykładowca w AWF w Warszawie, **Roman Junosza-Podolski** w Bielsku-Białej, były radny, wielki społecznik, który od szeregu lat organizuje transporty odzieży i żywności dla Polaków, jeżdżąc do Lwowa i Drohobycza, z którego pochodził. A inni – a było nas, wychowanków sporo, gdzieś są w świecie.

Studia

Jak wspominałem, w 1937 r. zdałem egzamin do Instytutu. Młodzież rekrutowała się z rodzin inteligentnych polskich, żydowskich i ruskich. Mało było osób z prowincji. Taka mozaika kresowa. Instytut koedukacyjny o statusie szkoły wyższej. Obowiązywała mała lub duża matura.

Struktura uczelni wzorowana była na strukturze Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie i Warszawie: I rok studiów – ogólny, II, III i IV – specjalizacja i V rok – dyplomowy. Przedmioty główne, tzw. kierunkowe: malarstwo, rzeźba, grafika i tkactwo. Przedmioty towarzyszące: rysunek, kompozycja brył i płaszczyzn, anatomia, chemia, religia, przysposobienie wojskowe i zajęcia warsztatowe w materiale. Wykładowcami byli znani artyści ze stażem pedagogicznym, kilku z nich z dyplo-

mami ASP w Warszawie lub po studiach na Wydz. Sz. Zdob. we Lwowie i po studiach w Wiedniu oraz instruktorzy i specjaliści zawodowi. Zasada – mistrz i uczeń, stosowana w szkolnictwie artystycznym, powoli ustępowała na rzecz metody bardziej otwartej, tzn. na partnerstwo: pedagog – adept, przyszły kolega – członek ZPAP.

Studia podjęliśmy w czasach niepokoju i awantur studenckich na uniwersytecie i politechnice. Ławkowe getta dla Żydów, hasła: „Precz z Żydami” – dowcipni podpowiadali: „a Żydówki z nami” – były nam obce. Nadmieniam, że koleżanki Żydówki, z bogatych domów, były bardzo zadbane i wyróżniały się urodą. Chyba żadna ze szkół artystycznych nie dała się wciągnąć w ówczesne hece studenckie. Były oczywiście wyjątki wśród nas, ale nie miały żadnego znaczenia. Byliśmy wówczas apolityczni. Te rozróby miały swoje reperkusje w czasach Sowietów.

Przyjęto na studia na rok szkolny 1937/38 sporo osób. Podzielono nas na dwie grupy: A1 i A2. Znalazłem się w grupie A2 z kol. **A. Biłasem**, **A. Smolaną**, **St. Sokalskim**, **Zb. Kalkusem**, **J. Epsteinem**, **W. Traczem**, **H. Grabską**, **S. Gottlib** i wieloma innymi. Spis studentów na końcu wspomnień.

Studia na pierwszym roku sprowadzały się do ogólnej wiedzy plastycznej, przyswajanej przez zajęcia praktyczne i teorię. Rysunek wieczorowy obowiązkowy dla wszystkich lat studiów kończył całodziennie zajęcia.

W semestrze zimowym 1938 r. prof. arch. **Józef Rożyński**, opiekun artystyczny Cmentarza Obrońców Lwowa wraz z rzeźb. **Józefem Starzyńskim**, ogłosił mini-konkurs na projekty nagrobków na tenże cmentarz. Wygrałem konkurs, wykonałem makietę nagrobków w skali 1:1 na konstrukcji listew oklejonych papierem. Nagroda – 50 zł. Za tę sumę kupiłem wyścigowy rower marki „Kamiński”. Na próbę kolarską pojechałem szosą stryjską, granitową kostką, jednym ciągiem znalazłem się w Drohobyczu u kolegi z bursy, **Romana Podolskiego**, który mieszkał na osiedlu „Polminu”. W 1938 r. nie mogłem przewidzieć, że w 1989 r. będę konsultantem odbudowy, w początkowej fazie, tychże nagrobków, jak i całego cmentarza. W tymże roku ówczesny prezes Tow. Mił. Lwowa, dobrze znany Czytelnikom *Semper Fidelis*, p. Jerzy Janicki, wysłał mnie i arch. Zdzisława Dziedzińskiego do Lwowa, by służyć radami dyrektorowi Energopolu, p. Bobrowskiemu, który odważnie i samowolnie przystąpił wraz z załogą do odbudowania Cmentarza. Obraz gigantycznego śmietniska, na wysokość półtora metra porośłego krzakami i drzewami, z rozbitymi nagrobkami, zrobił na nas przynębiające wrażenie. Znany był nam już widok zagłady Cmentarza z dokumentacji fotograficznej. Nagrobki i wysokie krzyże z betonu nie oparły się gąsienicom sowieckich czołgów, które jednak nie dały rady pylonom pomnika Chwały, które się ostały, zwały tylko kolumnady.

Zastanawiałem się, co spowodowało, że akurat w 1971 r. doszło do tego bestialstwa, a nie na przykład w latach 1980-81, co miałoby sensowniejsze wytłumaczenie.

Przecież przyjaźń polsko-radziecka była cementowana ustawicznie, widocznie radziecko-polska o wiele za dużo się poluźniła.

Trzy robocze dni na Cmentarzu to: omówienie kolejności porządkowania terenu i sposobu rekonstrukcji betonowych nagrobków, od nowa wykonanie krzyży zmiżdżonych w drobny mak itp. sprawy. Zapał całej załogi Energopolu, która w wolne soboty i niedziele –

swój czas i odpoczynek poświęcała dla ratowania Cmentarza, jest imponujący. Do pomocy w odgruzowaniu przyłączali się miejscowi Polacy, ojcowie z synami, kobiety zaś zajmowały się porządkowaniem i pielęgnacją ocalałych nielicznych grobów.

Nasza koleżanka, **Czesława Hnatów**, po mężu **Cydzik**, razem z mężem stale opiekują się cmentarzem. W każdą rocznicę 22 listopada i w narodowe święta polskie na gruzach, na zdewastowanych grobach zapalają świece, składają kwiaty, dekorują tu i ówdzie białoczerwonymi chorągiewkami. Nie tylko oni. Mimo sowieckich szykan czczono obrońców naszego Lwowa, dając świadectwo pamięci. W. Jaruzelski, będąc we Lwowie w 1989 r. widział zdewastowany cmentarz i dał 150 tys. zł na odbudowę. Złożył w ten sposób hołd jako żołnierz bohaterskim obrońcom. Wspaniały gest, który należy pamiętać.

Stary Cmentarz Łyczakowski to też ruina. Grobowce starych zasłużonych polskich rodzin przywłaszczyli sobie Rosjanie i Ukraińcy, bezczelnie bez zgody i porozumienia z potomkami tych rodzin. Natomiast nowe okazały groby, rzeźby z brązu, popiersia zasłużonych towarzyszy partyjnych powoli zmieniają charakter cmentarza katolickiego na świecki. Cmentarz Łyczakowski został wpisany w rejestr europejskiego dziedzictwa kultury jako nekropolia zerowej klasy, pozostaje pod opieką UNESCO. Rezultatów tej rzekomej opieki ze strony naszych dawnych sąsiadów nie widać wcale. Zagładzie ulega jeden z najstarszych i najpiękniejszych polskich cmentarzy, który, tak jak każdy cmentarz na Kresach, swoimi nagrobkami daje dowód, że byliśmy tu zawsze. Jeszcze parę lat takiej opieki „sąsiadów”, a pokolenia przyszłych polskich turystów nie będą miały powodu zwiedzać dawnej polskiej nekropolii. Może o to właśnie chodzi naszym „sąsiadom”.

Na odwiedziny miasta nie było czasu. Śpieszyliśmy się, aby wykonać robocze rysunki dla potrzeb cmentarza. Mimo ostrzeżeń: „nie zapuszczajcie się maluchem do miasta”, wjechaliśmy z bazy Energopolu przez rogatkę ulicy Zielonej i z nieodpartą ciekawością oglądaliśmy śródmieście. Niszczące fasady kamienic, pomalowane cokoły domów jednakową farbą nieokreślonego koloru (Lwów był tranzytem do Moskwy na olimpiadę w 1980 r.), przewalający się tłum szarych tubylców, kłębiący się przed sklepami przypominały nam znane rodzinne obrazy.

Natomiast na placu, gdzie stał pomnik Jana III Sobieskiego, kłębił się wiecujący gesty tłum, mnóstwo komentujących gapiów, a dekoracje flagami „syno-złotymi” i trójkątem świadczyły o odwadze, buntowaniu się przeciwko władzy sowieckiej – szły inne, nowe czasy.

Zabudowy nowego Lwowa z wielkiej płyty nie byliśmy ciekawi – mieliśmy takie samo budownictwo u siebie. Wyboistymi ulicami – szyny tramwajowe wystawały nad powierzchnię ulic – obraliśmy kierunek na Przemyśl.

Z przyjacielem, lwowiakiem z dziada pradziada, ubolewaliśmy nad rozsypującą się substancją miasta, a maksyma: „perły rzucone przed wieprze” była konkluzją adekwatną do smutnego zjawiska. W dwa lata później kamienica zabytkowa Rynek 2 rozsypała się do poziomu ulicy. Obok drewniane rusztowania podpierają dla bezpieczeństwa sąsiednią ścianę przyległej zabytkowej kamienicy. A w następne dwa lata, kamienica przy pl. Mariackim 9, w której przed wojną były sale wystawowe i siedziba ZPAP, została rozebrana do fundamentów. Natomiast projekt, aby w tym miejscu postawić

wieżowiec, jest pomysłem chorego maniaka i szaleńca bez wyobraźni.

Ulica Akademicka – bez topoli – była łysa i obca, nie przypominała dawnego corso.

W 10 lat później, w 1998 r. ponownie konsultowałem tym razem w Warszawie, dwa od nowa wykonywane pomniki: sapera francuskiego i lotnika amerykańskiego, które do 1971 r. zdobiły katakumby Cmentarza Orląt. Również miałem pieczę nad detalami rzeźbiarskimi do architektury katakumb na Cmentarzu. Przy odbiorze rzeźb powiedziałem z żalem panu **A. Przewoźnikowi**, sekretarzowi Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, że nam, wychowankom Instytutu los nie dał szansy na wykonanie tego zlecenia, które przyszło za późno o kilka lat. Powiedziałem, że jeszcze długo pomniki będą czekały na swoje lwowskie loco. Władze Lwowa są nierychliwe – co nie raz już się sprawdziło, bo pomniki dalej stoją w kamieniołomach na Kielecczyźnie. Końca odbudowy Campo Santo nie widać. We Lwowie na Cmentarzu usłyszałem przypadkową wypowiedź tubylca, że „najpierw my zbudujemy cmentarz siczowców, a później odbuduje się wasz – bo taka ma być sprawiedliwość”. Wiedziałem, kto do kogo mówi i w jakim celu. Ich nowo budujący się cmentarz przylega do naszego. Cmentarz siczowców budowany jest tuż w sąsiedztwie Cmentarza Orląt. We Lwowie nie należy wdawać się w dyskusje, zwłaszcza z rówieśnikami, pokoleniem, które wraz z nami odchodzi – grozi to awanturą.

Układyzydentów obu państw i ich serdeczne uściski, wyznaczone terminy zakończenia odbudowy nie mają żadnego znaczenia dla choćby najmniejszego urzędnika we Lwowie, o czym już niejednokrotnie strona polska się przekonała.

Natomiast Lwów w maju 2000 r. zobaczyłem czysty i posprzątnany na święta wielkanocne prawosławia. Mieszkańcy odświętnie ubrani, nawet uśmiechnięci. Polskie liczne wycieczki autokarowe w kolejce do WC przed wszechobylskim McDonaldem na ul. Akademickiej w gmachu Szprechera. Nasze dawne corso nie do poznania, a nowo zasadzone drzewa – kuliste klony – broń Boże topole! – aby nie było, jak za Lachów – nowe chodniki i jezdnie zmieniły charakter ulicy Akademickiej.

Pasaż Mikolascha, przejście na skróty, dawniej łączący ulice Kopernika z Sienkiewicza, pełen żydowskich sklepów, „szwarc, mydło, powidło”, dwa kina: „Ton” i „Uciecha” z rewią podkasanej muzy (spektakle zamknięte dla młodzieży) – niegdyś tętnił, jak przystało na to niezwykłe miasto, barwą bogactwa wesołego życia. Zbombardowany przez Niemców w 1941 r. zamienił się w miejski szalec – pod gołym niebem w sercu miasta.

Utarło się powiedzenie wśród turystów z „demoludów”, że tam, gdzie „wanajet” WC, musi być restauracja, sprawdza się; obok pasażu, w dawnej kawiarni *Café de la Paix*, jest restauracja!

Figurę Matki Boskiej na pl. Mariackim postawiono, nie tę samą, odnalezioną w kościele O.O. Bernardynów, lecz od nowa wykonaną, patrzącą w kierunku ul. Kopernika, „aby nie było, jak za Lachów”. Nawet zmieniono aureolę z żarówek – jest inna niż ta, którą pamiętamy.

Brak wody we Lwowie nie sprzyja turystyce. Odrastające elewacje dawnego hotelu George'a i Grand nie świadczą o luksusie, czy klasie, gdzie z kranów ledwo kapie woda dawkowana w określonych godzinach dziennych.

Mieszkałem prywatnie u Polaków na Łyczakowie, wodę w łazience miałem przez całą dobę. Zapaść cywi-

lizacyjna naszego miasta jest smutnym dokumentem naszych czasów.

Po majowej wizycie we Lwowie zwiedziłem po raz pierwszy Wilno. Pięknie położone rozległe miasto w zieleni na wzgórzach i wijąca się malownicza rzeka robią urzekające wrażenie. Zabudowa w stylu architektury klasycystycznej i rosyjskiej, brak gmachów monumentalnych, wąskie uliczki, liczne zróżnicowane stylami kościoły sprawiają, że Wilno jest miastem kameralnym i po trosze prowincjonalnym. Natomiast liczne kościoły, zróżnicowane stylami górują w panoramie miasta. Dużo się tu odbudowuje, remontuje. Natomiast polonica nie są tak niszczone i zacierane jak we Lwowie.

Cmentarze wileńskie starannie utrzymane, są przykładem do naśladowania dla obecnych lokato-

rów we Lwowie. Ten na Rossie, gdzie grób Matki i serce jej Syna, marszałka Polski, J. Piłsudskiego i żołnierskie groby, wzrusza każdego przybysza z kraju.

Ponary, cmentarz w lesie, gdzie hitlerowcy w 1943 r. rozstrzelali i spalili polskich zakładników, a także Żydów i Litwinów, ma kilka pomników. Okazałe kamienne poświęcone są Żydom i Litwinom, nasz polski jest skromny, banalny i ubogi, bez pomysłu i inwencji.

Wzorowy porządek, dbałość i szacunek dla historii, tradycji i pamięci jest imponujący. Nie czuć tu tyle wrogości u dawnych „sąsiadów”. Nacjonalizm ma różne odcienie. Mimo uroków Wilna – kudy mu do naszego miasta! (c.d.n.)

Bolesław Nagay

Była taka klasa...

Wspominając zacnych Polaków-lwowiaków nie sposób zapomnieć wspaniałej sylwetki znakomitego pedagoga, a zarazem mądrego patrioty, dyrektora ówczesnej Średniej Szkoły Nr 18 przy ulicy Kordeckiego, Adama Węgiera. Tylko bowiem tego pokroju człowiek mógł podjąć się niewykonanego zdawałoby się zadania – pozbić na początku kwietnia 1945 roku z całego miasta tych uczniów-niedobitków, którzy jakoś uniknęli łapanek, wywózek na wschód, aresztowań, wysyłki na front kończącej się wojny bez przeszkolenia czy wreszcie ciągłego ukrywania się przed aresztowaniem i zorganizować 44-osobową, niezwykle klasę maturalną. Jej wyjątkowość polegała między innymi na tym, że było w niej kilka roczników uczniowskich o bardzo zróżnicowanym poziomie wiedzy. Wielu z nas uczęszczało na tajne komplety nauczania organizowane z przerwami przez bardzo zaangażowanych pedagogów, jak w moim przypadku m. innymi prof. prof. Jan i Franciszek Harhalowie. Prof. Umański, prof. Zdąbłasz, inni uczyli się w szkołach zawodowych, w których umiejętnie przemycano niedozwolone teksty z języka polskiego (prof. Aleksandrowicz w Szkole Handlowej), podobnie także materiały z historii. Każdy bowiem z uczniów, niezależnie od miejsca i czasu przeznaczonego na doksztalcenie, musiał zarobić na życie, musiał też gdzieś pracować, aby uniknąć wywózki do Niemiec. Dla mnie żelazny Ausweis stanowiła legitymacja Instytutu Behringa przy ul. Zielonej 12, gdzie pracowałem początkowo jako karmiciel, a później jako strzykacz na oddziale zakaźnym. Po wejściu Rosjan do Lwowa w lipcu 1944 r. powstał tam San-Bak Instytut, gdzie również pracowałem u doktora Henryka Mosinga, współpracownika profesora Rudolfa Weigla.

Nie pamiętam dokładnie, jak dyr. Węgier dokonał naboru do tej klasy, ale gdy na początku kwietnia 1945 zebraliśmy się w szkole przy ul. Kordeckiego – usłyszeliśmy, co nas czeka! Dyrektor Węgier spokojnie wyjaśnił nam, że mając do dyspozycji zgodę Władz na utworzenie takiej klasy daje nam szansę przerobienia i przyswojenia sobie materiału 4 ostatnich klas ówczesnej dziesięciolatki w tempie 1 miesiąc = jeden rok nauki! Słuchaliśmy w milczeniu, mgliście zdając sobie sprawę z tego, jak to się uda zrobić! Ale w tym momencie wiele otuchy w nasze serca wlał nieodżałowanej pamięci

prof. Ludwik Bazylów, wybitny historyk, który urzędowo uczył nas astronomii (!), lecz nieurzędowo pełnił – jak się później okazało – rolę swoistego organizatora nauczania. Jemu – tak jak dyr. Węgierowi, możemy zawdzięczać sukces, którego znaczenie nie bardzo wówczas sobie uświadamialiśmy. Nie będę opisywać techniki uczenia się w ekspresowym tempie, pomagali nam niezwykle życzliwi nauczyciele, zarówno w szkole jak i poza nią, a obok wcześniej przeze mnie wymienionych zasługuje na wspomnienie prof. Grzegorz Martyniuk, przyjaciel Polaków, nauczyciel Ukrainiec.

Niektórym z naszych nauczycieli mogliśmy się choć trochę odwdziżyć dopiero po wojnie. Rola prof. Bazylowa polegała m. in. na tym, aby przekonać młodą nauczycielkę języka rosyjskiego, który to język tak jak ukraiński, niemiecki i polski był absolutnie obowiązkowy na egzaminie maturalnym. Uczniów, którzy znali wystarczająco język rosyjski było w tej klasie zaledwie kilku, w tej liczbie i ja dzięki wspaniałemu rusycyście prof. Ignacemu Zysowi. Okazało się to bardzo ważne podczas samego egzaminu. Nie pamiętam nazwiska tej bardzo młodej Rosjanki, która prowadziła egzamin z rosyjskiego w obecności miejskiej komisji. Otóż prof. Bazylow przekonał ją, aby zgodziła się nam pomóc i to niezupełnie w sposób zgodny z przepisami! Nie wiem, ilu moich kolegów z tej klasy zdawało sobie wówczas sprawę, jak wiele zawdzięczali tej miłej Rosjance, która w pełni świadoma ryzyka postanowiła pomóc większości abiturientów pokonać tę ważną przeszkodę!

Nie można oczywiście pominąć wspaniałej postawy i zaangażowania całego grona nauczycielskiego, kierowanego przez dyrektora Węgiera. Nauczyciele dali z siebie wiele, aby tylko ułatwić nam w tym ogromnym tempie przyswojenie poszczególnych przedmiotów. Ich ciężka praca, a zapewne też nasze zaangażowanie – wszystko to doprowadziło do wielkiego sukcesu – wszyscy zdaliśmy maturę na początku sierpnia 1945 roku.

Po otrzymaniu wymarzonych świadectw, w większości jako ekspatrianci, wyjechaliliśmy ze „Lwowa do Polski”, gdzie właśnie dzięki dyrektorowi Węgierowi i całemu gronu nauczycieli mogliśmy wystartować na studia.

To krótkie wspomnienie od żyjących jeszcze uczniów tej niezwyklej klasy ze szkoły przy ul. Kordeckiego należy się nieżyjącemu już Adamowi Węgierowi, jak i żyjącym we Lwowie Jego córkom, pani dr Alinie Węgier-Grzegockiej i p. doc. dr hab. med. Krystynie Węgier-Maksymowicz. □

Ewa i Janusz Błaszczuk

Historia zwykłej, damskiej parasolki

Spacerowała ze swoją starszą panią po swoim ukończonym Lwowie tylko wtedy, kiedy padało lub zanosilo się na deszcz. Zwykle taką samą trasą, ale jakże piękną: pełną zabytkowych budowli, urokliwych zaułków. Obie słuchały śpiewnej tutejszej mowy...

Powstała w pracowni parasolnika, gdzieś na obrzeżach tętniącego życiem miasta. Jej właścicielka, starsza pani, pełna wdzięku Lwowianka, mieszkała w centrum i nie opuszczała śródmieścia. Lubiła kolor jaskrawozielonych kopuł Cerkwi Przemienienia i patyną pokryte dachy siedziby lwowskich Dominikanów. Stąd już tylko krok do Katedry Lwowskiej. Tu oaza ciszy i spokoju, zapach świec i sączące się światło ze starych przeszkleń witraży. Katedra, ostoja katolicyzmu Lwowa z cudownym obrazem Matki Boskiej Łaskawej zwanej Domagaliczowską. Siadała nasza pani, względnie opierała się o kościelną ławkę, a ze złożonej obok parasolki spływały krople deszczu na kamienną posadzkę.

Mijały, znaczone kolejnymi deszczami, jesienie. Starszej pani przybyło lat, a parasolka nie otwierała się już tak sprawnie jak dawniej. Przyszedł czas, kiedy nie było w zwyczaju chodzić po Lwowie spacerowym krokiem. Zawierucha wojenna przygnała do miasta ludzi mówiących obcymi językami. W tym czasie pokazywanie się na mieście z parasolką było co najmniej nierozważne. Był dzień, kiedy starsza pani w swoim ubogim pokoju żegnała się ze swoją parasolką. Kilkakrotnie otwierała i zamykała ją. Nie zanosilo się na deszcz, a parasolka miała być wymieniona na... zwyczajne kartofle, które pozwoliłyby przeżyć kolejne głodne dni. Nie

udało się, odrzucono parasolkę jako staroświecką i nieprzydatną.

Starsza pani spacerowała coraz wolniej. Było już po wojnie. Na lwowskich ulicach nie słychać było śmiechu i charakterystycznej śpiewnej mowy. Przyszła teraz moda na inne parasolki. Nasza czarna parasolka wraz ze swoją właścicielką chodziła ciągle tą samą trasą, wstępując zawsze do Lwowskiej Katedry. Siadały zawsze w tej samej ławce i nasłuchiwały polskiej mowy, budzącej tyle ukrywanej tęsknoty i chęci powrotu do, rozdzielonej przez powojenne granice, Ojczyzny.

I przyszedł dzień, kiedy pomimo zachmurzonego i deszczowego poranka nadeszło rozstanie. Starsza pani widząc w katedralnej ławce grupę turystów z Polski, podeszła do siwowłosego pana i kładąc przed nim swoją starą parasolkę, powiedziała dobitnie: „Proszę pana, jestem stara i samotna, nie mam nikogo, ja już do Polski nie wrócę, niech przynajmniej ona, moja parasolka...”. Potem powiedziała jeszcze: „Dziękuję”. Nie wiadomo, czy podziękowanie skierowane było do starszego pana, czy do swej towarzyszki-parasolki. Łkając, skryła głowę i wyszła z Katedry, pozostawiając przed turystą-Polakami czarną, lwowską parasolkę.

P. S. Historia powyższa jest prawdziwa. Niedawno byliśmy w Tarnowie i wraz z Ojcem odwiedziliśmy p. L. C., który opowiedział nam powyższy epizod i pokazał równocześnie czarną parasolkę. Po wyrażeniu zgody przez „właściciela”, parasolka znajdzie miejsce w izbie pamięci Towarzystwa Miłośników Lwowa i KPW w Tarnowie. EJ. B.

Marta Świetlicka

Wspomnienia sercem pisane

Nie powinnam tego pisać. Nie powinnam wtopiać się w czyjeś wspomnienia, przesiąknięte żalem, bólem i strachem, a jednocześnie przyozdobione wieńcem radości lat dziecińczych.

Ktoś winien zrobić to za mnie, bo przecież jestem dzieckiem pokoju, nierozumiejącym tragedii drugiej wojny światowej.

Mimo tego piszę. Piszę, ponieważ jakiś niewyjaśniony impuls mnie do pisania nakłania, jakaś niewidzialna siła nakazuje przelać myśli na czyste karty papieru. A może to mówi szeptem moje serce?

Jest w moim życiu pewna osoba, której zawdzięczam bardzo dużo. Może w pewnym stopniu nawet to, jakim jestem człowiekiem.

Moja Babcia przyszła na świat pewnego letniego dnia 1930 roku we wsi Balice, położonej zaledwie kilka kilometrów od dzisiejszej granicy Państwa Polskiego. Miejscowość zawsze urzekała swym malowniczym położeniem. Wśród okrytych soczystą zielenią wzgórz kryła się duża wieś.

Balice były podzielone na trzy części: Górę, Dolinę i Soszczynę. Babcia mieszkała na Dolinie obok dużej

go gmachu szkoły powszechnej, którą Balice zawdzięczały hrabiemu Skibiniewskiemu, mieszkającemu w balickim pałacu.

Każdy dom w owej wsi posiadał piękny jabłonowy sad, a że są to podmokłe tereny, w niemalże każdym ogrodzie skrzyły się w słońcu wody małych oczek. Za ogrodami rozciągały się żyzne pola. Wieś okalał rozległy las zwany Grabowem, gdyż rosły w nim same graby.

To właśnie tam Babcia przeżyła beztroskie i te najbardziej tragiczne chwile swego życia.

Dzieciństwo jest nieustanną wędrówką ku dorosłości, obfitującą w zachody i wschody słońca, kwitnienie drzew czereśniowych i dobre słowa matki. Dzieciństwo to czas wzrastania siły woli i marzeń. To czas, w którym nie ma miejsca na łyż bolesne i dorosły świat.

Tak było z dzieciństwem babci. Kilkuletnia dziewczynka wychowana była w domu, w którym z każdego kąta tryskała miłość i polskość. Ojciec Babci był żołnierzem armii Józefa Piłsudskiego.

Życie z trzema braćmi było ciekawe, a za sprawą brata bliźniaka nawet urozmaicone. Obydwoje byli nierozłączni. Do szóstego roku życia uczęszczali do ochronki

przy kościele, prowadzonej przez siostry zakonne. Później rozpoczęli edukację w znanej już szkole balickiej. Biegali pośród łąk i pól, a beztrudnie płynące dni nie wskazywały na brutalne przerwanie sielskiego dzieciństwa.

Niestety – przyszedł rok 1939, a wraz z nim śmierć, łzy, rozpacz i strach.

Pierwszego września, około 2 w nocy, do okna domu ktoś zapukał. To był sołtys, który przyniósł wiadomość, iż ojciec Babci został powołany do wojska, gdyż wybuchła wojna.

Placz rozległ się w czterech ścianach domowego szczęścia, które z tą chwilą rozprysło się niczym wata mydlana bańka.

Pradziadek doszedł z wojskiem aż pod Warszawę, a kiedy stolica skapitulowała zdecydował się wracać jak najprędzej do domu, do Balic. Wędrował pieszo, w mundurze. Był zmuszony przepłynąć wpław Wisłę. W jakimś domu poprosił o suchą odzież. Odziany w stare łachmany rozpoczął pięćsetkilometrową wędrówkę do domu. Po drodze kilka razy zdołał uciec z niewoli niemieckiej.

Po blisko dwóch miesiącach tułaczki znalazł się w pobliżu Balic. W lesie, około 5 kilometrów od domu, natknął się na dwóch sowieckich żołnierzy. Jeden z nich chciał go zastrzelić, lecz drugi złapał swego towarzysza za rękę i nie pozwolił zabić Pradziadka.

W Szechyniach, miejscowości położonej niedaleko Balic, Pradziadek dostał się w niemieckie ręce. Miał iść z wojskiem III Rzeszy w kierunku Przemyśla. Jednak nie stracił hartu ducha i wymknął się, chowając się u znajomych. Do domu dotarł pod koniec października.

Tymczasem rozpoczęły się rządy Sowietów. Pradziadek był w wojsku Józefa Piłsudskiego. Ukraińcy zaraz donieśli o tym NKWD, które w Balicach miało siedzibę. Odtąd bacznie przyglądało się poczynaniom rodziny Babci.

Trwały wywózki na Sybir. Nazwisko rodziny znalazło się na liście.

Rozpoczęły się przygotowania, gdyż nie było się pewnym godziny i dnia odjazdu. Prababcia piekła chleby. Co noc w strachu czekali na moment, gdy ktoś załomocze w drzwi i wypędzi ich z domu.

22 czerwca 1941 roku III Rzesza napadła na swego niedawnego sojusznika Związek Radziecki. Jakaś dziwna moc uratowała Babcię od wiecznego wygnania. A może to była moc Przenajświętszej Pani, której wizerunek widniał na wiszącym na ścianie obrazie? Babcia często powtarza, że niemiecko-sowiecka wojna była dla nich „szczęściem w nieszczęściu”.

A wojna toczyła się dalej. Przez Balice przechodził wschodni front. Pradziadek zdecydował się na ucieczkę przed frontem. Załadowali najpotrzebniejsze rzeczy na wóz i wraz z rodziną brata Pradziadka ruszyli w drogę. Wcześniej jednak Prababcia powiesiła na gruszy obraz Maryjny i poprosiła ją o opiekę nad domostwem.

Niedaleko domu, w tak zwanym „Gaiku”, przed wozem ni stąd ni zowąd wybuchł granat. Pradziadek skręcił w wąską ścieżkę, która przechodziła w wąwóz, otoczony polami zbóż. Ze zboża wystawały lufy radzieckich katiuszy. Żołnierze zaczęli strzelać. Ten huk i szum dzwoni Babci w uszach do dziś. Zdecydowali wracać z powrotem w to samo miejsce, gdzie wybuchł nieszczęsny granat. Przed nimi pojawili się frontowi żołnierze niemieccy i machali do nich rękoma, aby szybko udać się w ich stronę. Dzięki nim rodzina Babci przedarła się przez front.

I tak rozpoczęła się ich tygodniowa tułaczka. Wędrowali od wsi do wsi. Gdy po siedmiu dniach wrócili do Balic, zastali okropny widok: zabici leżeli na drogach, w rowach i na polach w pszenicy. Wszędzie było pełno krwi i roznosił się fetor rozkładających się ciał. W szkole balickiej, gdzie babcia na początku z rodziną się ukrywała, wydarzyła się tragedia. Pocisk trafił w budynek, zabijając znajdujących się tam ludzi.

A co się stało z babci domem? W ogrodzie nic się nie zmieniło. Wszystko było na swoim miejscu. Tylko kurczaki trochę podrosły. Na korze gruszy, naokoło obrazu Maryi, widniały ślady pocisków.

Niemcy rozpoczęli swoje „panowanie”. Ludzi wywożono na przymusowe roboty do III Rzeszy. Szesnastoletniemu bratu babci to groziło, więc się ukrywał. Nastął czas band UPA. Babci rodzina była szczególnie narażona, bo przecież Pradziadek był „Piłsudczykiem”. Na drzwiach UPA wypisywała groźby: „Jeśli nie wyprowadzicie się w ciągu trzech dni, to przyjdziemy i was zabijemy”. W Balicach rozpoczęła działalność partyzantka polska, która chroniła Polaków przed banderowcami.

W 1944 roku, po ponownym wkroczeniu Armii Radzieckiej do Polski, rozpoczęła się mobilizacja do wojska, które szło na Berlin. Rocznik Pradziadka (1901) był ostatnim rocznikiem branym do armii. Pradziadek postanowił uciec do Przemyśla, bo w Polsce ten rocznik był zwolniony ze służby. Babcia została w domu z matką i braćmi. Prababcia cały czas starała się o wyjazd do Przemyśla.

Pewnego wieczoru przyszło do ich domu dwóch enkawudzystów. Zażądali bimbru, a że Prababcia tego trunku nie miała, wpadli w furję. Jeden z nich nastawił karabin w kierunku Prababci i wystrzelił serię. Babcia pamięta, że zaczęła wtedy krzyczeć i płakać, a drugi z Sowietów zatkał jej dłonią usta. Żaden z pocisków nie trafił do celu. Znow cud uratował kogoś od śmierci. Sowiet w sieni wystrzelili jeszcze kilka kul i opuścili dom.

Po strzelaninie Prababcia z dziećmi bała się spać. Nie kładli się do łóżek, tylko w kącie przestraszeni przesiedzieli dwie noce. Następnego dnia Prababcia po wizycie we wsi wróciła do domu i powiedziała: „Nie bójcie się, dzieci, bo ten, który chciał mnie zabić leży martwy w rowie”. Okazało się, iż partyzanci zastrzelili tego okrutnego człowieka.

1945 rok to rok pożegnania z przeszłością. Ale z tą dobrą przeszłością: słonecznymi dniami, pracą na rodzinnej ziemi i życiem wśród kresowych krajobrazów. Bo przecież Balice to też Kresy utracone, choć tak blisko położone dzisiejszej granicy.

Wyjazd do Przemyśla zakończył ten tragiczny dla Babci czas. Dziwnie Bóg kieruje naszymi losami...

Byłam w Balicach niedawno. I gdybym napisała, że nie wzruszyła mnie ta wizyta, okłamałabym świat i samą siebie. Nie tylko mojej Babci brylantowa łza kręciła się w oku na widok obsypanych kwieciami jabłoni. Wspomnienia odradzają się niczym zakwitające na wiosnę paki róż. Smutne jest, że nad zapadłymi dzisiaj chatami nie powiewa biało-czerwony sztandar. Ludzkość zatopiła się w swym przeznaczeniu i przez lata próbowała się pogodzić z rzeczywistością, którą stworzyła nam historia.

I tylko trzeba mi przyznać, iż jestem dumna z tego, iż moje korzenie tak mocno wrosły w czarnoziemny Kresów. I z pewnością nie pozwolę, aby ktokolwiek z przyszłych pokoleń mojej rodziny próbował się z nich wyplątać. □

Jerzy Masior

Łyczakowska 55

*W tym miejscu zwyczajnie
tynk wodospad czasu
brama jak wszystko po nim
po wyobraźnię innego świata
przez nią kołyski słów
wszystkich dla tylu
wiele dla niektórych
w sieni od zawsze mroczna muzyka
Brandenburski III na dwoje skrzypiec
largo ma non tanto
i przewiewy z podwórza
w bramie szczelin tyle.*

*Próg zmurszał jak dzieła wszystkie
to było wtedy czy później
tyle było później
gdy przenosił kołyski słów.
Przystanąłem z Kingą pod tablicą
pamiątkową marmurową
rusko – polską
wysoką
by nie potykali się przechodnie
nadgorliwi chodzą tą ulicą.
Podnoszę wzrok jak na obłoki
na lwowskim błękitie nad dzisiejszym dniem
Kinga nie wie
ja wiem odrobinę więcej
z balkonu z pięter
z okien wyciekają wiersze.*

*Czytanie z marmuru
na Łyczakowskiej 55
to dzwony dzwony dzwony
rój gwiazdny pana Cogito
może z parafii obok
ze skrzydlatej przestrzeni miłości
i szum placu św. Antoniego
szum od wczoraj do dziś
targujemy z Kingą uczucia.*

Nowy Sącz, 4 X 2002

Pamiętanie, ale jakie

Jerzy Masior

Najpiękniejsza dzielnica

Trąbka jазłowiecka

*wciąż echem w sercu, wciąż pragnieniem dziecka,
chce znów przyspieszać, i chce tak od nowa
w górę „jedynek” – środkiem Łyczakowa.*

J. M. „Z Łyczakowa z bliska i z daleka”

Zazwyczaj mam trudności rozpoczynając „Pamiętanie...” z napisaniem pierwszego zdania. Zdaję sobie bowiem sprawę, że powinno ono zapowiadać czytelnikowi, że za chwilę postawię go przed treścią (jakby przed billboardem – takie modne słowo), by opanować jego zainteresowaniem.

Tym razem nie mam trudności – oto ten początek: „Łyczaków był i jest po dziś dzień (2002) najpiękniejszą dzielnicą Lwowa.”. Duże miasta mają ten przywilej, że



Autor z Kingą Pancerną pod tablicą poświęconą Z. Herbertowi na ul. Łyczakowskiej 55. 16 VI 2002 r.

mogą sobie taką dzielnicę ustanowić i głosić to całemu światu. Powtarzam: Łyczaków był taką dzielnicą wybraną, miejscem pomazanym urodą niepowtarzalną, miejscem wybranym z pięknością nie tylko okolicy, ale i jej mieszkańców. Żeby nie być gołosłownym: Zofia Batycka, pierwsza w dziejach urody – miss Polonia – z Łyczakowskiej starówki, bo ze środka Piekarskiej się wywodziła. I to w dodatku z pałacu Turkuttów – Camello w stylu weneckiego gotyku w połowie XIX wieku zbudowanym. Było pałaców dużej urody więcej, ale ona właśnie – najpiękniejsza Polka, w Łyczakowskim pałacu się objawiła. Zresztą Lwów i bodajże Lublin słynął w przedwojennej Polsce z ładnych kobiet.

Powodem do dumy dzielnicy już nie personalnej, ale miejskiej jest znany z urody Cmentarz Łyczakowski, jedna z najpiękniejszych przestrzeni sepulkralnych w Europie. Już u jego założenia legła decyzja ówczesnych projektantów zieleni, że ma to być cmentarz o parkowym charakterze, co w pełni się udało: po jego pięknych alejach i drózkach i ja w swoim czasie odbywałem piękne spacerowanie. Najczęściej nie sam. Bożą Rolę na Łyczakowie zdobi nie tylko zieleń, ale naznacza hi-

storia i to nie tylko miejscowa czy kresowa, ale i polska. Doświadczony w prowadzeniu wycieczek młodzieży sądeckiej do Lwowa i na Kresy wiem jak łatwo i owocnie można na tamtym Cmentarzu nauczać historii. Tej prawdziwej, jeszcze chylkiem ukrywanej w podręcznikach szkolnych. Po Polsce tu i tam rozlegają się głosy, że Cmentarz ulega dewastacji, niszczy się, zmienia narodowy charakter. Sporo w tym prawdy, ale jego piękno jest niezniszczalne. A co do ukrainizacji mogił, to ci, co na tym Cmentarzu bywają – sami widzą. Mój komentarz jest tu niepotrzebny.

Osią dzielnicy była ulica Łyczakowska, najdłuższa ponoć ulica we Lwowie. Unosi się łagodnie ku nieco już większym stromiznom w okolicy świątyni ostrobramskiej i Parku Łyczakowskiego, rozdzielać tamtejsze wzgórze dość płytkim wąwozem. Szumi i dzwoni Łyczakowska rozpędzonymi tramwajami od placu Cłowego (Bandurskiego) po pętlę w parku. Ta ulica to główny nurt dzielnicy, ku której spływa dziesiątki jakby potoków – bocznych ulic opadających od Kajzerwaldu, a więc stromych i zazwyczaj krótkich, bądź z doliny ulicy Piekarskiej i Kochanowskiego. O każdej z nich można by sporo napisać, bo każda z tych ulic z biegiem lat obrastała w architekturę i historię, a już szczególnie o tych zbiegających się do placu św. Antoniego, mojej parafialnej przestrzeni. Największym „odpływem” Łyczakowskiej była ul. św. Piotra, która z racji położonego przy niej Cmentarza Łyczakowskiego, stała się obok Piekarskiej ulicą naznaczoną celami metafizycznymi, wręcz niebiańskimi. Nią to obok pogrzebów staczał się ku Pohulance, lub ku Zielonej, tramwaj. Na długim odcinku ulicznym towarzyszył mu mur cmentarny. Po odgałęzieniu ul. św. Piotra (zwaną niekiedy Piotra i Pawła) dzielnica jakby rozpyliwała się po okolicy. Zabudowa rozgęszczała się po ogrodach, a kasztanowy szpaler po lewej stronie ulicy, a właściwie już alei, docierał aż pod Park Łyczakowski. Na całym tym obszarze, aż po rogatkę i dalej, przedmiejski charakter dzielnicy poczyniał być widoczny przez obrastanie domów ogrodami i ich rozgęszczanie. Tak naprawdę ta przedmiejskość objawiała się na Górnym Łyczakowie, tam gdzie można było zapuścić się na Trakt Gliniański, a Łyczakowska wybiegała pośród parterowej już zabudowy ku Lesienicom i Winnikom. Tu po lewej stronie nad doliną Jałowca zagnieździł się ułani Jazłowieccy, bardzo ważne wojsko we Lwowie. Nie tylko ze względów militarnych – towarzyszyli też. To można było dostrzec w świąteczne popołudnia i wieczory w niedalekim parku.

Krzewiła się zieleni Łyczakowska na wschód niepostrzeżenie poprzez najdalej wysunięty w tej okolicy przyczulek Roztocza – lasami Żupan i Wielki i inne leśne polacie; docierał borami wokół Chodorowa i historycznego Żórawna do Dniestru. Dla mnie te lasy były w jakiejś mierze przedłużeniem Lwowa. Na Łyczakowie mieszkalem, a mój rodzinny Chodorów i Ług, zwłaszcza stawy i lasy w Dobrowlanach, to cel wakacyjnych, corocznych peregrinacji zimowych i letnich. Ze szczytu Czartowskiej Skąły, a zwłaszcza ze sterczącego tam wysoko triangulu spoglądając w tamtą siwo-niebieską dal wydawało mi się niejednokrotnie, że dostrzegam łęgi nad rzeką...

Tylko na Kajzerwaldzie, wbrew nazwie, nie było ani krzty zalesionej przestrzeni. Tamtejszy las wyrąbano w czasie I wojny światowej, bo coś mogło zapobiec wojennej zapalczowości, gdy strawy codziennej nie było na czym ugotować. Kolonia Profesorska i Krzywczycy osłaniały domostwa (było też i wille) bujnymi ogrodami,

bądź splachetkami grządek. Lwowianie lubili zieleń i pielęgnowali ją troskliwie, i to nie zawsze, gdy przynosiła doraźną, jarzynową korzyść. Rozpływał się więc zarogatkowy Łyczaków w morzu Podola nie tylko przedmiejską zielenią, ale pagórami Kajzerwaldu, Krzywczyc, Lesienic, Czartowskiej Skąły, jak i potokami wypływającymi w Wielkim Lesie o wdzięcznej nazwie: Maruszcak, Maruńka.

Architektura zagęszczająca się ku śródmieściu nie stanowiła o urodzie dzielnicy. Zaledwie kilka budynków wyróżniało się swą wielkością i przeznaczeniem. Kościół wotywny Lwowa pod wezwaniem MB Ostrobramskiej na Łyczakowskim wzgórzu srebrzył się zewsząd widoczny jak dzienna gwiazda nad dzielnicą, jak wieńcząca ją korona. Świątynia była jednym z najbardziej lwowskich kościołów i na pewno punktem odniesienia w najnowszej historii Miasta. Ale nie mnie o tym pisać.

Przyjrzyjmy się jeszcze kilku bardziej znanym budynkom dzielnicy. Takimi były położone między Piekarską a Pijarów obiekty szpitalne, od popijarskiego kolegium się wywodzące, a w międzywojniu kliniki uniwersyteckie. Innym zasługującym na uwagę był Szpital Powszechny na stoku Wilczej Góry z serpentynowym podjazdem od Kurkowej. Był to najnowszy i najnowocześniejszy szpital Lwowa. Jego budynek górował nad zielenią stoku góry, widoczny z wielu punktów miasta. Godna podziwu była jego bardzo współczesna architektura. Zdarzyło się w czasie okupacji, że zaopatrywałem w tamtejszym ambulatorium dość niebezpieczne zranienie uda. Pierwszy raz w życiu naszpikowano mnie wówczas zastrzykiem przeciwężcowym. Charyzmatyczną budowlą dzielnicy, jeżeli o budynek tak można powiedzieć – był wystrojony w mało ozdobnym baroku kościół św. Antoniego. Wypiętrzał się ponad łukowato tu biegnącą Łyczakowską i ponad jednym z najbardziej ożywionych placów targowych Lwowa – placem też, bo jakże w tym miejscu mogło być inaczej, św. Antoniego. Ten plac odgrywał niesłychanie ważną rolę w funkcjonowaniu dzielnicy. Na nim krzyżowały się ścieżki nie tylko kościelne, ale i szkolne, szpitalne i handlowe. Można było przeżyć spory szmat życia wydeptując te ścieżki – wystarczyło. Przed paroma laty pisując już do „SF” (nr 2, str. 3, 1995) dopatryłem się na placu okolicy wręcz metafizycznej. Z moich rojeń ówczesnych wynikało, że tu odbywały się, albo odbywają nadal, sabaty poetów. Większość z nich już w zaświatach, a więc zlatywali tu Zbierzchowski i Herbert. Nieco dalej mieli Hollanek i Tolu Szolginia, ale już Opalek tylko z Piaskowej. Zagajewski jeszcze na sabaty nie dociera, bo vivit (daj mu Boży długie jeszcze zdrowie), tylko niech więcej o Lwowie pisze, bo to bardzo potrzebne nam i Polsce, zwłaszcza gdy się w niej zdarzają Kuronie i... Hanuszkiewicz (też mu się marzy honorowe obywatelstwo Lwowa!). Wpisywali się więc i poeci wraz z przekupkami w to teatrum krupiarek, bab z Krzywczyc i Rzęsny, straganów, bałakowego zaśpiewu, kolorów Łyczakowa, bo były przecież takie godziny, iż wydawało się, że cały jest on tu, w tym przedziwnym handlowo-metafizycznym punkcie. Przystanąłem nieco na placu św. Antoniego, bo z dość odległej już perspektywy widzę, że to miejsce było słoneczną osią obrotu łyczakowskich konstelacji, jakby to pewnie Kornel Makuszyński napisał. Pozwólcie jednak Drodzy Czytelnicy, że i ja z dala spoglądając, też przyjmę taką perspektywę.

Pierwsza za placem, po lewej, kamienica (nr 55) to rodzinny dom Zbigniewa Herberta. Dzieje polskiej litera-

tury dom ten zapewne uwiecznią. Już dziś stosowny, dwujęzyczny napis przy bramie jest. Nawet się pod nim sfotografowałem. Daleko do placu nie miał – zaledwie kilka kroków. Poeta we Lwowie po wojnie nie był (?), Może to i dobrze, bo zachował pod powiekami tamten Plac. Dziś on oszepecony, pozamykany murowanymi budami: forteca wyłącznie handlowa. Supermarket na wolnym powietrzu, nie plac. Nic nie pozostało z tego pejzażu jak fajerwerk, malowanego rzodkiewką, trymbulką i wszelką zielenią. Obraz ten zniknął. Pozostał tylko żal...

Powracam na Wysoki Zamek. Z Kopca widać nie tylko Łyczaków, ale cały nieomal Lwów. Najbliższe kwartały okołółyczakowskie pochowane za wzgórzem karmelickim i Piaskową Górą. Kajzerwald z tej perspektywy unosi ostrobramską świątynię ku obłokom ponad masyw Czartowskiej Skąły i przepadające ostatecznie na wschodzie Roztocze. Widok na Miasto z Kopca tyle razy opisany i obfotografowany (bo przecież to obowiązowała tutaj obok lwów pod Ratuszem fotografia), ukazuje jak na dłoni, że Łyczaków to jednak tylko dzielnica, że pośród „fiesolskich pagórków”, pozamykane Cytadelą Kortumówką, Snopkowem utknęło całe Miasto kotwicząc w lwowskim niebie wieżycami świątyni, szumiące nieustającą muzyką ulic i placów, rozpylające się z tej tu wysokości w akwarelowej nieostrości. Widok z Kopca rozmiękcza moje, jakże stronnicze (czego nie ukrywam) dla Łyczakowa uczucie. Do torów kolejowych na Tarnopol i północnych zboczy Kajzerwaldu (wyśmienite tereny narciarskie) przylega ciche Zniesienie. Niezmiernie je lubię. Nagromadziło się stamtąd wspomnień z czasu września 39 roku i okupacji niemieckiej. Właściwie to nie dzielnica, a suburbium Żółkiewskiego, zagęszczone parterowo-ogródkową zabudową. Za mokradłami uwolnionej z kanału Pełtwi – Zboiska, Laszki, Dublany, a poza nimi siwo-szmaragdowa dal Podola. Zamarstynów z Kopca taki bliski, rozwinięty po Hołosko linią jednej ulicy, naznaczony fabrycznością, oczekujący na pagórkowaty przybój brzuchowickich lasów.

I dając jeszcze moim adwersarzom okazję do sporów o piękność dzielnic Lwowa trzeba by wspominać o Gródku z Kleparowem i Janowskim. O Lewandówce z Bogdanówką z Biłohorszczą w tle. O tych dzielnicach i suburbiach powyciąganych na zachód i południe, porzeczanym meandrami stalowych szyn kolejowych w różnych kierunkach świata. A gdzie tu jeszcze Bodnarówka, Kulparków i Stryjskie z niepowtarzalnym parkiem, poszatkowane przez boiska sportowe Pogoni i Czarnych. Troszkę tylko dalej od wschodu Persenkówka (skąd Pięciu Nieznanych na Cmentarzu Orłąt), Zofiówka, Nowy Lwów. No i Pohulanka i Pasieki, ale to już właściwie Łyczaków – jego spacerowe tereny. Peryferyjny Lwów. Po wymienionych tu dzielnicach, po ich oceanie ponownie wpływamy na łyczakowskie morze, a właściwie zatokę. Wiatry wieją tu z różnych kierunków: to jakieś spadowe spod Wysokiego Zamku i Piaskowej Góry, to wschodnie, przejmujące zwłaszcza zimą od parku i Pasiek, albo też niespodziewane, skołtunione i wirujące od śródmieścia, ale wyciszane za rogiem każdej ulicy, w tunelach Wałowej, Ruskiej, Ormiańskiej, Skarbkowskiej czy Sobieskiego. Te miejskie przeciągi nie zachęcały do spacerów. Przeganiały z Corsa, z Wałów, zapędzały się do bram, kawiarni, tramwajów. Samopoczucie nawet we Lwowie wtedy dołowało, trzeba było ślęczeć po hawirach, w przytulnych zakamarkach. Nie brakowało ich w mieście, ale ja na-



II Gimnazjum i Liceum im. Karola Szajnochy na Wałach Gubernatorskich we Lwowie. Fotografia z XIX wieku. Zwraca uwagę kościół OO. Karmelitów jeszcze tylko z jedną wieżą.



Dedykacja obecnego dyrektora ukraińskiej szkoły średniej Michajła Jersteniuka dla dr-a J. Masiora, który odwiedził tę szkołę wraz z sądecką młodzieżą w dniu 15 VI 2002.

szpikowany młodzieżą wołałem, jak te wiatry, hulać przez Lwów. W parkach ścieżki brązowały od spadających kasztanów i żołądzi, stopy grzęzły w złocie liści. Bywały takie pory roku, że chciało się pędzić przez Miasto w każdą pogodę, w każdym kierunku. I wtedy to chyba nabrałem przekonania, że Łyczaków był najpiękniejszą dzielnicą Lwowa. Musiało tak być, bo przecież to m. in. tą urodą nobilitował swoich mieszkańców. Taka opinia jest powtarzana po dziś dzień. A ta nobilitacja wiele ma znaczeń. Więc my, łyczakowianie, ją do teraz i pamiętamy, i „trzymamy fason”. Noblesse oblige. Nie słyszałem, aby to określenie znalazło się w „herbie” innej dzielnicy, nie tylko lwowskiej.

Zdaję sobie sprawę, iż nazywając Łyczaków najpiękniejszą dzielnicą Miasta nad Pełtwią (nb. strumień Pasieka, jedno ze źródeł tejże Pełtwi w tejże dzielnicy ciekł od Pohulanki) wziąłem odpowiedzialność za słowa i... wetknąłem kij w mrowisko! We Lwowie bowiem wiele czynników, niejednokrotnie irracjonalnych zniewalało do upodobania swojej dzielnicy – swojego miejsca na ziemi. Dzielnicowa zaściankowość umożliwiała życie w zaczarowanym kręgu. Gdy nasze bytowanie upływało w tamtych Mieście, gdyśmy tam byli, świadomość miejsca, a zwłaszcza jego urody, nie była wyraźna. Dopiero teraz, po latach, a zwłaszcza z oddalenia stała się oczywista. Nie odkrywam tu niczego nowego. Z upływem czasu strata staje się coraz bardziej bolesna. Dotykam sfery uczuć i pragnień, niejednokrotnie ze snów... Argumentów przeciw takim wymyślonemu uczuciom nie znajduję. Wierzę jednakże, że wszędzie tam, gdzie upływało młode życie mogło być najlepiej i najpiękniej. Utwierdzają mnie w tym dzisiejsze powroty do Lwowa i dzisiejsze widoki z Kopca na mój Łyczaków,

jakby bardziej zanurzony w zieleni i rozległy, ale z tym samym granatowym horyzontem Czarowskiej Skały. Dziś może bardziej niż wtedy, z biciem serca spoglądam także na Podzamcze, na Zamarstynów, na pogubione w dali, a tak pamiętne z tamtych lat Dublany, których może i nie widać, ale ja wiem, że one tam są. Dlatego, gdy zechcecie zaprzeczyć śliczności Łyczakowa, mojej dzielnicy, będę milczał...

Ale przyjdźcie jeszcze choć raz, jeżeli starczy Wam sił i tchu, do Lwowa. Jeżeli zechcecie, zobaczycie go takim, jakim go zostawiliście. Przy odrobinie siły woli nie jest to nierealne. „Pokatujacie” się „dwójką” nie zwracając uwagi na numerację tramwaju, a i tak wysiadacie na pętli w Łyczakowskim Parku. Sosny rosną jak dawniej i brzozy, i buczyna. Ławki na posady są też. Spróbujcie na takiej ławce zamknąć powieki

w czerwcowym cieple, w samo południe. Wtedy bez trudu można tu nazbierać najpiękniejszych łyżakowskich widoków. Im dłuższe tu przebywanie, tym większe utrwalenie. Po otwarciu powiek sami jesteście jacyś lepsi, ładniejsi – po prostu łyżakowscy, tutejsi.

Tempus fugit mawiali starożytni. Czas upływa, historia Łyczakowa toczy się niezmordowanie od tyłu już lat. Zarówno za naszej bytności jak i nieobecności. Tylko śmierć jest czymś stałym i na zawsze. Życie nieustannie przynosi zmiany, bo taka już jego istota. Ile życia tyle zmian. A sprawdza się to w dziejach jednostek i cywilizacji. Ufajmy więc życiu. Po nas przyjdą przecież pokolenia. To nieuchronne, dopóki ziemia kręci się...

Nowy Sącz, październik 2002

Danuta Nespiak

Lwowska optyka Jacka Kuronia

Urodził się we Lwowie w marcu 1934 r. z ojca proletariusza, komunizującego socjalisty i z matki o profesorsko-generalskim rodowodzie, która była podobno najpiękniejszą panną we Lwowie. O ile to prawda z tą pięknością, to urody po niej nie odziedziczył, ale lewicowe geny po ojcu i dziadku szczerze darowała mu natura. W swojej biografii (zob. J. Kuroń, *Wiara i wino. Do i od komunizmu*. Londyn 1989) podaje trochę sprzeczne informacje o ojcu /raz, że był robotnikiem w Dąbrowie Górniczej (s. 12). drugi raz, że był inżynierem, który skończył politechnikę (s. 17). Profesorsko-generalska genealogia matki wiąże się z bratem jego babki płk. Izydorem Modelskim, zasłużonym organizatorem warszawskiej odsieczy dla Lwowa w 1918 r., ale którego po zamachu majowym Piłsudski wyrzucił z wojska (zob. Wł. Pobóg Malinowski. *Najnowsza historia polityczna Polski*. Wyd. 3, t. 2 Londyn 1985, s. 662).

W biografii Kuroń podał, że wyrósł w kulcie Orląt, ale fascynowała go inność i obcość. Objawiało się to tym, że kiedy przychodził we Lwowie koło ukraińskiej szkoły, coś go do niej ciągnęło (s. 14). Te ciągoty Jacka Kuronia zajęły uprzywilejowane miejsce w jego politycznym życiorysie po 1989 r. Stały się w końcu jakąś idée fixe, mającą wg niego na celu pojednanie polsko-ukraińskie. Nikt kto dobrze życzy Polsce i Ukrainie nie neguje potrzeby takiego pojednania, ale wymaga ono spełnienia podstawowych warunków, które muszą eliminować fałszowanie prawdy zakłamywanej przez historyków ukraińskich, a relatywizowanej, czy pokrywanej polityczną poprawnością partenrów ze strony polskiej.

Nie chodzi o to, że Jacek Kuroń swoim chorobliwym filoukryjinizmem ośmiesza sam siebie, ale chodzi o to, że jego działalność nie zbliżyła zupełnie stanowiska obu stron w sprawie cmentarza Obrońców Lwowa, nie mówiąc już o tak poważnym problemie jak pojednanie. Dowodem nieskuteczności polityki ukraińskiej Kuronia jest choćby „duch” wypowiedzi grekokatolickiego kardynała Lubomyra Huzara, z którym wywiad opublikował „Tygodnik Powszechny” (nr 46 z 17. 11 br. s. 18). Nie krył on zawodu, że nawet pielgrzymka Jana Pawła II przyniosła tylko w niewielkim stopniu zbliżenie wiernych obu kościołów, tj. Ukraińców i Polaków. Kardynał powiedział, że są napięcia, trzeba uporać się z przeszłością,

lecz ani Polacy ani Ukraińcy, czyli grekokatolicy i łacinnicy, nie są jeszcze całkiem do tego gotowi, o czym świadczy sprawa cmentarza Orląt.

Jacek Kuroń zyskał złą sławę przede wszystkim wśród ekspatriowanych Polaków w 1992 r., kiedy oświadczył, że jest szczęśliwy, bo Lwów jest ukraiński. Oczywiście, jest on autentycznym Lwowianinem, ale w sensie formalnym, bo się w tym mieście urodził, ale duchowo, mentalnie jest obcy polskiej kulturze i tradycji Lwowa. Sam zresztą stwierdził, że z wyboru jest absolutnym internacjonalistą, ale woli, by uważać go za uniwersalistę (zob. biografia s. 14). Jest to jego sprawa i ma do tego prawo, być tym kim chce, tylko niech przestanie być wreszcie błogosławionym przez mass-media orędownikiem pojednania polsko-ukraińskiego, bo jak na razie nic z tego nie wyszło.

Wśród wielu odznaczeń i nagród nadanych Jackowi Kuroniowi jest również honorowe obywatelstwo miasta Lwowa. Sam Kuroń w swoim obszernym wywiadzie opublikowanym w ukraińskim tygodniku „Postup” (nr 131 z 5-11 września br. s. 6) oświadczył, że duża część opinii społecznej w Polsce uważa, iż otrzymał je w nagrodę za swoje wystąpienie w *Gazecie Wyborczej* (23. 05. br.). Tam w artykule pt. „Rozumiem protest Ukraińców” przedstawił po „swojemu” istotę konfliktu o cmentarz Obrońców Lwowa. W pewnym sensie jego wywiad w „Postupie” jest dalszym ideowym rozwinięciem artykułu z *Wyborczej*. Oto kilka jego opinii mogących wpłynąć w zdumienie obywateli nie związanych ani urodzeniem ani sentymentem ze Lwowem. Ukraińcy byli zmuszeni rozpocząć walki o Lwów w 1918 r., a Polacy nie chcieli wojny, bo czekali na łaskę konferencji wersalskiej przyznającej im miasto. Jak wybuchły walki to walczyła polska młodzież i „jakieś tam elementy”, a dojrzałe pokolenie czekało spokojnie na rezultat, bo po co mieli się wygłupiać (po ukr. wydiumwatysia). Zaczęła się straszna wojna dla obu stron i do dzisiaj nie wiadomo, dlaczego Ukraińcy wyszli ze Lwowa, wcale nie musieli. Straszna rolę odegrała w stosunkach polsko-ukraińskich książka H. Sienkiewicza „Ogniem i mieczem”. Nieprawda, że była to wojna polsko-ukraińska. Wg Kuronia była to wojna kozaków i chłopów przeciwko kresowym królewietom, bo klasowe elementy zdomino-

wały naszą historię. Dalej Kuroń uważa, że monument triumfu oręża polskiego powinien być zbudowany nie we Lwowie, tylko pod Warszawą za zwycięstwo w 1920 r. Zapytuje on patetycznie w tym wywiadzie „Na wieczną pamięć Ukraińcom – co myślimy wam tu dali?” Łagodzi jednak swoje „natarcie” na cmentarz Obrońców Lwowa uwagą, że leżą tam ci, co polegali bohaterską śmiercią i trzeba to uszanować. Nawiązał też do Wołynia, nie wspominając słowem o Małopolsce Wschodniej, gdzie były takie same mordy. Czystki etniczne UPA na Wołyniu Kuroń dialektycznie wytłumaczył. Mianowicie, w nacjonalizmach historia zaczyna się w tym miejscu, gdzie jest krzywda. Potem to są już tylko następstwa, a jak było przed tym, o tym się milczy (należy się chyba domyśleć, że przed tym był krzywdy polskie wyrządzone Ukraińcom).

Tydzień później, 19 września, ukazał się we Lwowie drugi obszerny wywiad z Kuroniem w dzienniku „Wysokij Zamok” na s. 5. Rozwija dalej myśli z „Postupu”. Tutaj wątpliwości co do narodowości wzbudziła u Kuronia osoba tego formatu i znaczenia jak prof. Eugeniusz Romer. Co prawda nie wspominał, że Romer czekał na łaskę konferencji wersalskiej, ale przytaczając słowa tego znakomitego polskiego uczonego, że granica etniczna w Galicji Wschodniej przechodziła przez łożka, dodał „tak się mówi, że polski kartograf, ale jego pochodzenie jest jakieś takie...” (w oryginale ukr. „tak mowytisia szczo polskij bo pochodzennia je jakeś take...”). Zostawiam to bez komentarza.

Interesujące są inne wyznania Kuronia w tym wywiadzie. Czerpał „soki” z dwóch ojczyzn, Ukrainy i Polski, i taką świadomość miał od dzieciństwa. Nieuchronna była wojna w 1918 r. Ten „konflikt przeszedł” przez jego serce, ale poczuł się bratem Ukraińców. Stwierdził, że UPA wyróżniła na Wołyniu (ukr. wyrizala) więcej niż Polacy, ale z przesuwaniem się na Zachód proporcje się

zmieniły i Polacy wyróżnili więcej. Pomijam fałszywe statystyki Kuronia, ale określenie rozpaczliwej obrony Polaków przed UPA na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej jako rzezi Ukraińców jest przykładem nieuleczalnej skłonności Kuronia do propagowania ukraińskiej wersji historii i rozmywania ich odpowiedzialności za zbrodnie ludobójstwa na Polakach. Samoobrona polska w latach 1943-1945 nie była polowaniem na ukraińskie dzieci, kobiety, mężczyzn i mordowanie ich siekierą czy widłami. Za nazwanie dramatycznej obrony polskiej „wyrżnięciem” (w wywiadzie „poliaki wyrizali”) Jacek Kuroń winien wytłumaczyć się i przeprosić żołnierzy 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK i Akowców z III Obszaru Lwowskiego.

W tym samym czasopiśmie „Wysokij Zamok”, gdzie opublikowany był cytowany wywiad Kuronia, ukazał się później artykuł o Stanisławie Lemie. Do Krakowa, gdzie Lem mieszka, przyjechali ze Lwowa wydawcy ukraińskiego tłumaczenia znanej książki Lema „Wysoki Zamok”. Oto, co w związku z tym faktem napisał Lem, też rodowity Lwowianin: „... spotkanie to silnie na mnie podziało, było jak otwieranie rany – mogę powiedzieć, że przeżyłem sympatyczny koszmar. Nie można być człowiekiem, który się we Lwowie urodził, spędził tutaj młodość, ukończył szkoły i nie czuć za nim żalu. Dla mnie Lwów został sierotą po Polsce. W artykule przeczytałem, że osoby mieszkające dziś na Brajerowskiej... z wielką przyjemnością będą mnie gościć, jeśli tylko przyjadą do Lwowa. Ja jednak do końca życia będę się zarzekał, że Lwowa nie odwiedzę. Nie ze względów zdrowotnych, tylko po prostu dlatego, że byłoby to dla mnie zbyt okrutne. Kamienie milczą.” (zob. *Tygodnik Powszechny*, nr 44 z 3. 11 br. s.16).

Kamienie milczą, ale oskarżają. Tak samo milczą i oskarżają groby na cmentarzu Łyczakowskim i Obrońców Lwowa. Ale Kuroń tego nigdy nie zrozumie. On jest tam obcy, on się tam tylko urodził i nic więcej. □

Mieczysław Kowal

Msza św. za Kresowian w Rzeszowie

W kaplicy Opatrzności Bożej u Ojców Salezjanów w Rzeszowie – przed obrazem Matki Bożej Ostrobramskiej została odprawiona w dniu 6 listopada 2002 r. msza święta w intencji członków i sympatyków Towarzystwa Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej. Do wspólnej modlitwy zostali również zaproszeni kresowianie z Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich. Mszę świętą odprawił kresowianin – ks. Bronisław Piróg z Parafii Opatrzności Bożej, który w wygłoszonej homilii nawiązał do historii i tradycji kultu Matki Bożej z Ostrej Bramy. Kopię obrazu Ostrobramskiego ufundowała była mieszkanka Wilna, obraz ten został uprzednio poświęcony przez Prymasa Józefa Glempa podczas konsekracji kościoła pw. Opatrzności Bożej w Rzeszowie.

Na zakończenie mszy świętej została odmówiona Litania Ostrobramska, której autorem jest Bohdan Rudnicki, napisał ją w 60. rocznicę koronacji Obrazu w 1987 roku. Litanię prowadziła p. Urszula Rychlak.

W uroczystości wzięła także udział młodzież z klasy szóstej Szkoły Podstawowej nr 23 pod kierunkiem polonistki – p. Wandy Kamińskiej. Młodzież przedstawiła wiersze i słowa modlitwy Prymasa S. Wyszyńskiego,



Mszę św. odprawił ks. Bronisław Piróg.

Władysława Syrokomli, Tadeusza Łopalewskiego, Bohdana Rudnickiego i innych znakomitych naszych poetów.

Po mszy świętej odbyło się spotkanie, na którym p. prof. Jan Kida nauczyciel akademicki Uniwersytetu Rzeszowskiego przybliżył w zarysie historię powstania Obrazu z Ostrej Bramy.

Kultu Matki Bożej istnieje od XVII wieku, kiedy to Karmelici Bosi przybyli do Wilna i zaopiekowali się

Obrazem w Ostrej Bramie. Przez wieki naród polski i litewski modlił się u Jej stóp prosząc o opiekę i liczne łaski w trudnych chwilach dziejowych, stąd pokrzepieni na duchu wyruszyli na daleką Syberię powstańcy zrywów narodowych, przymusowi emigranci wyjeżdżający na Zachód i zwykli ludzie proszący o opiekę przed niebezpieczeństwami. Poeci szukali natchnienia, muzycy komponowali pieśni na Jej cześć. □

Alfred Janicki

W Żarach mamy przyjaciół...

Z całą pewnością mogę tak stwierdzić po uczestnictwie w SEJMIKU KRAJOZNAWCZYM PTTK w ŻARACH pn. „Polacy z Tarnopolszczyzny – pomostem pojednania narodów”. Sejmik odbył się w dniach 12-13 października 2002. Do najważniejszych celów postawionych sobie przez organizatorów należało m. in.:

- Odkrywanie źródeł tożsamości narodowej rodaków osiedlonych na Ziemi Żarskiej i całych Kresach Zachodnich Polski,

- Pielęgnowanie tradycji i szacunku do kultury wielu pokoleń Polaków Kresowych,

- Dążenie do pojednania w prawdzie Polaków i Ukraińców,

- Pomoc nauczycielom i uczniom szkół żarskich w nauce krajoznawstwa, regionalizmu, kultury regionów,

- Prezentacja folkloru Kresów Południowo-Wschodnich.

Głównym organizatorem był Oddział PTTK w Żarach, a inicjatorem i „duchem” tego wydarzenia jego prezes Pan Józef TARMIOŹY. Zjednał On do tego wydarzenia władze powiatu, miasta, organizacji i wpływowych osób Ziemi Żarskiej, uczelni Zielonej Góry i szkół woj. lubuskiego.

Za sprawą tych ludzi to było święto całej kresowej „hebry”.

W Miejskiej Bibliotece Publicznej był początek tego wspaniałego spotkania. Dyrektor biblioteki wprowadził gości na wystawę KRESOŹĄ (liczne dokumenty, czasopisma, fotografie z czasów narodzin II Rzeczypospolitej, czasów Jej trwania były wprowadzeniem do tematyki całego Sejmiku).

W Domu Kultury „LUNA” główna sala wypełniona była po brzegi. Na ścianach herby miast PODOLA. Po dźwiękach „Marsza Sybiraków” Starosta Żarski otworzył obrady Sejmiku; życzył zebrany głębokich, patriotycznych przeżyć, podziękował też p. Józefowi Tarniowemu za przeogromny wkład w przygotowanie Sejmiku.

Obrady prowadził prof. dr hab. Czesław Osękowski Dziekan Wydziału Humanistycznego Uniwersytetu Zielonogórskiego. On też na początku wygłosił referat pn. „Proces osadnictwa Polaków Kresowych w powiecie żarskim i województwie lubuskim.

Kolejni referenci:

- Anna Zapalec – „Środki i metody propagandy prowadzonej przez Tarnopolski Obwodowy Komitet Komunistycznej Partii Bolszewików Ukrainy w latach 1939-1940”

- ks. Andrzej Malig (proboszcz Parafii Rzymskokatolickiej w Tarnopolu) – „Dzieje i życie codzienne rzymskokatolickiej parafii w Tarnopolu”

- Antoni Worobiec – „Turystyczne trasy po Tarnopolszczyźnie”

- dr Tadeusz Dzwonkowski – „Tarnopolanie w Archiwach Państwowych Żar i Zielonej Góry”

- dr Mieczysław Wojecki – „Tarnopolscy nobliści”

- mgr Alfred Janicki – „Jeszcze Kresowiaczy nie zginęli” (Powstanie i działalność Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Muzeum i Węglińskie Festiwale)

- Szczepan Siekierka – „Działalność Stowarzyszenia Upamiętnienia Ofiar Zbrodni Ukraińskich Nacjonalistów”

- Joanna Mirecka – „Działalność Kół Tarnopolan w Polsce”

- dr Siergiej Tkaczow z Tarnopola – „Polsko-Ukraiński transfer przesiedleńczy w latach 1944-1945”. Przedstawił on ruch ludności polskiej i ukraińskiej w świetle dokumentów NKWD, a również i treść tych dokumentów (myślę, że warto utrzymać z nim kontakt z racji możliwości wykorzystania dokumentów, które on posiada). Zaprezentował też książkę o tym tytule. Nie zawiera ona odniesienia autora do problemu, lecz jedynie treści dokumentów.

W trakcie trwania Sejmiku wystąpiły z godzinnym programem „Węglińskie Bajbusy”. One swym wdziękiem i prawdziwym „bałakiem” przywołały u starszych kresowiaków wspomnienia, a u miejscowej młodzieży wzbudziły zainteresowanie kulturą ich przodków. Najbardziej wzruszył się syn przedostatniego starosty tarnopolskiego p. inż. Władysław Miłulowicz, a ks. A. Malig zaprosił „Bajbusy” do Tarnopola.

Na zakończenie pierwszego dnia obrad odśpiewano ROTĘ.

W następnym dniu (niedziela) była odprawiona Msza św. w intencji wszystkich rodzin kresowych i uczestników Sejmiku (kościół pw. św. Józefa).

W samo południe, w Ratuszu, podsumowując obrady Sejmiku przyjęto UCHWAŁĘ:

„Podobnie jak każde drzewo rośnie i zachwyca pięknem dzięki licznym i zdrowym korzeniom, tak każdy naród ma obowiązek pamiętać o PRAWDZIE HISTORII, pielęgnować WIARĘ OJCÓW, szanować ojczystą TRADYJCJĘ I KULTURĘ.

NA KRESACH POŁUDNIOWO-WSCHODNICH ziemia przesiąknięta jest krwią wielu pokoleń rycerskich obrońców Polski, męczeństwem bezbronnych ofiar zbrodni nacjonalizmu ukraińskiego, cierpieniem prześladowań komunizmu radzieckiego i faszystwu niemieckiego.

My Polacy Kresowi, przesiedleni na Kresy Zachodnie i inne zakątki Polski i świata, pragniemy pojednania w prawdzie z naszymi sąsiadami, pragniemy zapewnienia pokoju i dobrego bytu dla naszych dzieci. Normy cywilizowanego świata wymagają jednak upamiętnienia i uszanowania miejsc polskiego męczeństwa i ukarania zbrodniarzy.

Europie i światu potrzebne jest bogactwo kultury polskiej i nauka z polskiej historii. Po latach zakłamań i przymusowego milczenia cieszymy się z prowadzonych badań naukowych i coraz liczniejszych publikacji. Ale i mamy świadomość, jak wiele jest jeszcze pracy przed nami. Spieszmy się, bo świadków i dokumentów nie przybywa.

Uczestnicy Sejmiku z radością zapoznali się z powszechną ofiarnością uczniów, nauczycieli, władz oświatowych księgarzy pow. żarskiego – którzy w ciągu kilku dni zebrali tysiące książek dla dzieci ze Szkoły Polskiej w Tarnopolu, a zapewne także dla innych polskich placówek na Kresach.

Mamy nadzieję, że liczna obecność nauczycieli i wychowawców na Sejmiku oznaczać będzie pomoc w poznawaniu Ojcowizny, Tradycji, losów rodzin kreso-

wych, a przez rodzinę, pełnej historii i kultury Narodu Polskiego.

Zajęci naszymi codziennymi troskami, nie możemy zapominać o Polakach mieszkających poza granicami Kraju – Rodakom na Wschodzie żyje się o wiele trudniej. W miarę naszych możliwości deklarujemy wsparcie materialne, utrzymywanie stałych więzi, współpracy Organizacji, Instytucji, Szkół i Osób.

Młodym Polakom, nie tylko z rodzin kresowych, umożliwiać należy poznawanie piękna PODOLA, WOŁYNIA, POKUCIA i całych Kresów Wschodnich poprzez organizowanie wycieczek krajoznawczych i publikację przewodników turystyczno-krajoznawczych. Natomiast młodym Polakom zza wschodniej granicy umożliwić należy poznawanie OJCZYŹNY (przeciwdziałając uniwnym utrudnieniom w kontaktach międzyludzkich).

Wyrażając wdzięczność muzealnikom i bibliotekarzom za przygotowane wystawy bibliofilskie i etnograficzne – apelujemy do KRESOWIAKÓW: przekazujcie pamiątki i dokumenty do muzeów, piszcie pamiątki, uczestniczcie w spotkaniach z młodzieżą szkolną! Integrujcie się!

Uczestnicy Sejmiku Tarnopolskiego w Żarach.” □

Danuta Koziółowa

Rudolf Stefan Weigl – 55 rocznica śmierci

Szanowna Redakcjo,

Jesteśmy pokoleniem odchodzącym, pokoleniem wypędzonych z rodzinnej ziemi (nie waham się użyć słowa tak chętnie wymienianego przez naszych zachodnich sąsiadów).

Póki jeszcze żyjemy trzeba przypomnieć tych, których działalność i zasługi giną w niepamięci. 11 sierpnia 2002 roku minęła niepostrzeżenie 55 rocznica śmierci jednego z **najwybitniejszych biologów i mikrobiologów polskich – Rudolfa Stefana Weigla.**

Rudolf Stefan Weigl (1883-1957), profesor zwyczajny, kierownik zakładu biologii Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, twórca szczepionki przeciwko durowi plamistemu (tyfusowi), już przed II wojną zaliczany był do światowej czołówki badaczy tyfusu plamistego. Badania nad metodami leczenia tyfusu prowadził od 1914 roku, wiadomo, że już w roku 1920 zaszczepiał współpracowników odkrytą przez siebie szczepionką. Cieszył się wielkim uznaniem Instytutu Pasteura we Francji, był członkiem czynnym Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie, Belgijskiej Królewskiej Akademii Medycyny i Belgijskiego Towarzystwa Chorób Tropikalnych, a także honorowym dożywotnim członkiem Nowojorskiej Akademii Nauk.

Za zwalczanie tyfusu plamistego między innymi w Afryce i w Chinach profesor Weigl był odznaczony przez papieża Piusa XI najwyższym odznaczeniem papieskim – Orderem Rycerskim św. Grzegorza Wielkiego.

Tyfus plamisty był jedną z najgroźniejszych chorób, pochłaniających, zwłaszcza w czasie wojen, tysiące ofiar cywilnych i wojskowych. W roku 1937 Rudolf Weigl został zaproszony przez Ligę Narodów do Genewy, na międzynarodową konferencję ekspertów tyfusu plamistego. Jako twórca szczepionki wygłosił tam szereg referatów o sposobie i metodach zwalczania tej choroby.



Wynaleziona przez profesora Weigla szczepionka, wyprodukowana z jelit zakażonych tyfuszem plamistym wszy odzieżowych, była najskuteczniejszą bronią przeciw tej chorobie.

Jej znaczenie zostało szybko docenione podczas II Wojny Światowej przez obydwo okupantów. Sowiet przy pomocy pracowników Instytutu zlikwidowali kilka groźnych ognisk choroby w Karpatach. Niemcy dla swoich celów wojskowych wydatnie rozszerzyli działalność Instytutu i produkcję szczepionki. Wykorzystując tę sytuację, nieocenione zasługi dla ocalenia lwowskiej elity naukowej i przedstawicieli świata kultury oddał profesor Weigl, zatrudniając w swoim Instytucie wszystkich zagrożonych represjami ze strony władzy niemieckiej.

kiej. Praca w Instytucie nazwanym *Für Fleckfieber und Virus Forschung* – dawała pewną ochronę przed wywiezieniem na roboty do Niemiec lub aresztowaniem.

Niemcy bali się tej choroby jak ognia i unikali nawet pośredniego zetknięcia z osobami zatrudnionymi w Instytucie.

Profesorowie zamkniętych przez okupanta lwowskich uczelni szybko zorganizowali tajne nauczanie. Tę niebezpieczną działalność popierał profesor Weigl, zatrudniając nauczycieli i studiującą młodzież, która też przeważnie należała do Armii Krajowej. Chronił wszystkich, którzy byli w jakikolwiek sposób zagrożeni przez okupanta. Na przykład na terenie Instytutu zamieszkało małżeństwo dr.dr. Meisłów, znanych bakteriologów pochodzenia żydowskiego, którzy Weiglowi zawdzięczali swoje ocalenie.

Dziś nie sposób wyliczyć wszystkich pracowników Instytutu. Taką próbę uczyniono w publikacji „Rudolf Weigl” (Wrocław 1994), przygotowanej z okazji ogólnopolskiej sesji poświęconej pracy Profesora. Jest to niepełna lista składająca się z kilkuset nazwisk – ówczesnych profesorów, docentów, studentów i uczniów – a wśród nich między innymi – genialny lwowski matematyk, profesor Stefan Banach, znakomity geograf Eugeniusz Romer, znany językoznawca Jerzy Kuryłowicz. Ze świata kultury – poeta Zbigniew Herbert, kompozytor i dyrygent Stanisław Skrowaczewski, aktor Andrzej Szczepkowski. Wszyscy ci ludzie, zatrudnieni jako karmiele wszy, strzykacze, hodowcy, laboranci, pracownicy preparatorni, zawdzięczają Profesorowi naprawdę wiele.

Choć szczepionka przeciwtyfusowa była podczas wojny produkowana dla wojska, to znaczna jej część trafiała drogą konspiracyjną do więzień, obozów koncentracyjnych i gett. W 1942 roku Profesor wysłał do przebywającego w getcie warszawskim profesora Ludwika Hirszfelda – doktora Henryka Mosinga, swojego najbliższego współpracownika, który narażając życie zawiózł szczepionkę dla warszawskich Żydów. Potwierdza to m. in. Władysław Szpilman w „Pianiście” (wyd. Znak 2000, str. 66): „(...) *Ten wybitny bakteriolog, stał się teraz* (w getcie – D. K.) *najpopularniejszą obok Hitlera*

postać: dwa skrajne symbole – dobra i zła – obok siebie (...)”.

Tylko w czasie okupacji ponad osiem milionów osób zostało zaszczepionych szczepionką profesora Weigla.

Przypomnienie zasług profesora Weigla wydaje się tym bardziej konieczne, że pamięć o tym zasłużonym Człowieku zanika lub jest niedoceniona, a fakty z jego życia przekłamane. Oto np. pisze o Profesorze w swojej książce „Wiara i wina” Jacek Kuroń (NOWA, Warszawa 1989, str. 16): „We Lwowie pracował doktor Weigl, Żyd, który produkował szczepionki przeciw tyfusowi. Darowano mu życie na pewien czas. (...)”. W pierwszym zdaniu zawarte są aż trzy nieprawdziwe informacje – Weigl nie tylko był „doktorem”, lecz od dawna już profesorem zwyczajnym Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, po drugie był pochodzącym z Moraw Austriakiem. Po trzecie był wynalazcą szczepionki, a nie jej producentem.

Warto powiedzieć, że mimo austriackiego pochodzenia, nacisków i kuszących obietnic okupacyjnych władz niemieckich (obietnice dotyczyły utworzenia placówki naukowej w Berlinie i nagrody Nobla), profesor Rudolf Weigl podkreślał, że czuje się Polakiem i nigdy nie podpisał Reichlisty. Po wojnie niesprawiedliwe posądzenia przysporzyły Mu wiele poważnych przykrości. „Wierność wobec przybranej Ojczyzny nie przyniosła mu satysfakcji po wojnie. Wyrządzono mu krzywdę i zrobiły to nie tylko władze PRL, utracając szansę otrzymania w 1948 roku nagrody Nobla. Również jego dwaj pracownicy, po wojnie profesorowie Uniwersytetu Jagiellońskiego, pomówili go o kolaborację z Niemcami.”

W 55 rocznicę śmierci chcemy przypomnieć społeczeństwu, a nade wszystko młodzieży, dorobek naukowy i godną naśladowania postawę tego wielkiego Polaka i Naukowca. „Rudolf Weigl był wielki jako Uczony, wielki jako Polak i wielki jako Człowiek. Dzieło jego życia przysparza chwały Polsce i całej ludzkości.”²

Przypisy:

¹ Cyt za Danuta Nespiak, Zdzisław Ojrzyński, w: „Rudolf Weigl” Wrocław, 1994

² Cyt za: Tomasz Cieszyński, j.w. □

Idzi Martynowicz

Wspomnienia o tajnym nauczaniu w Złoczowie

W Złoczowie, mieście powiatowym między Lwowem i Tarnopolem, było jedno polskie gimnazjum i liceum ogólnokształcące im. Króla Jana III Sobieskiego, cieszące się uznaniem za dobry poziom w nauczaniu i wychowywaniu młodzieży.

1 września 1939 wybuch II wojny światowej, a 17 wkroczenie wojsk rosyjskich przerwały normalną naukę. Wprawdzie po przyłączeniu do ZSRR, była polska szkoła ogólnokształcąca zwana 10-latką, stanowiąca połączenie szkoły powszechnej, gimnazjum i liceum, ale poziom nauczania niczym nie przypominał szkoły przedwojennej.

Po dwu latach, w 1941 r., wkroczyli Niemcy, którzy uważali, że Polacy mogą się uczyć tylko zawodu. W Złoczowie po skończeniu szkoły podstawowej, można było kształcić się tylko w szkole handlowej. Nie było innego wyjścia, aby uchronić się przed wywozem do

robót w Niemczech, trzeba było zapisać się do „handlowki”.

Nie wszystkim to wystarczało. W poszukiwaniu czegoś lepszego pojechałem z moim kolegą Piotrem Łęgowym do Lwowa i tam dowiedzieliśmy się od mojej ciotki (profesorki gimnazjalnej), że we Lwowie jest prowadzone Tajne Nauczanie. Próbowaliśmy tam zaliczyć naukę z dziesięciolatki, ale świadectwo sowieckie nie było brane pod uwagę. Poradzono nam, abyśmy postarali się o polskie przedwojenne podręczniki, a ponieważ w Złoczowie nie było jeszcze zorganizowanego nauczania, abyśmy przyjeżdżali do Lwowa zdawać poszczególne klasy. Przed wojną mieliśmy skończoną 2-gą kl. gimnazjalną. Materiał z 3-ciej i 4-tej przerabialiśmy w Złoczowie i zdawaliśmy we Lwowie, łącznie z maturą.

W r. 1942 staraliśmy się o podręczniki do liceum, ale nie wszystkie znaleźliśmy. Powstał poważny problem

z dalszą nauką. Kolega Łęgowy został wzięty do tzw. „Baudienstu” (służby budowlanej), a mnie do towarzysstwa w nauce przybyła kuzynka Krystyna Dydaćka z ukończoną przed wojną 1-szą kl. licealną. Brak podręczników częściowo zaczęli zastępować nauczyciele gimnazjalni. Matematyki uczył nas pan Władysław Jasiński, a łaciny początkowo pan Ludwik Michalec, a potem pan Lewek. Ponieważ z innymi przedmiotami były trudności w dalszym ciągu, pojechaliśmy na dalszą naukę do Lwowa.

Początkowo z kuzynką uczylimy się w komplecie 2-osobowym. Wnet kuzynka z powodu wojny i przyczyn rodzinnych wyjechała pod Kraków, a ja zmieniałem komplety od 2 do 6-ciu uczniów. Też rozmaicie było z przedmiotami, nie wszyscy z jednego kompletu chodzili do tych samych osób na wszystkie przedmioty. Np. pamiętam, że w budynku Ossolineum, po skończonej lekcji u jednego profesora, nie wszyscy przechodzili do innego razem, niektórzy uczniowie szli do innego. Największe zgrupowanie (parę kompletów) było na lekcjach religii, które odbywały się w kościele i dzięki temu nie rzucano się w oczy większa ilość młodzieży wychodząca w jednym czasie.

Matura zbliżała się, ale nie tylko, zbliżał się również front niemiecko-rosyjski. Wiadomo już było, że wschodnia część Polski odpadnie na rzecz ZSRR. Zaczęły się już dobrowolne przesiedlenia Polaków do centralnej Polski. Nic więc dziwnego, że w 1944 r. starałem się możliwie szybko zdać maturę. Trafiła się ku temu okazja w Złoczowie. W maju, po przyjeździe do rodziców, dowiedziałem się, że za kilka dni w ramach Tajnego Nauczania odbędzie się matura. Miałem całość materia-

łu opanowaną i zgłosiłem się w Złoczowie do matury. Rodzice moi mieszkali w małym, jednorodinnym domu na przedmieściu przy ul. Strzeleckiej. Ojciec był dyrektorem szpitala, do którego często przychodziło wiele osób, więc nie rzucano się w oczy jak pewnego dnia przyszła komisja egzaminacyjna w składzie: przedwojenny dyrektor gimnazjum i liceum ogólnokształcącego Mieczysław Kalitański (egzaminował z j. polskiego), ówczesny wikariusz parafii rzymsko-katolickiej ks. Jan Cieński* (egz. z religii i łaciny), Władysław Jasiński (egz. z matematyki), przedwojenny dyr. gimnazjum kupieckiego Tadeusz Gorączko, Irena Mogilnicka, Antoni Kociubiński i Ludwik Michalec oraz licealiści: Piotr Łęgowy, Bogusław Idzi Martynowicz, Roman Szwarowski i Tadeusz Świerzawski. Wszyscy w komplecie zdali maturę, ale świadectwa dostali dopiero po wyzwoleniu spod okupacji niemieckiej.

Po maturze zawiadomiłem o tym zwierzchników Tajnego Nauczania we Lwowie i wyjechałem z matką pod Kraków. Ojciec musiał jeszcze zostać, by ratować rannych Polaków napadanych przez ukraińskich nacjonalistów.

Po wojnie tylko P. Łęgowy poszedł na medycynę w Krakowie, której nie skończył z powodu choroby, natomiast wszyscy pozostali skończyli Politechnikę Wrocławską.

* Ks. J. Cieński do śmierci pracował w Złoczowie. W czasach istnienia ZSRR raz udało mu się przyjechać do Polski na zaproszenie rodziny i wtedy ks. prymas Wyszyński wyświęcił go na biskupa, co było tajemnicą dla ogółu, do śmierci księdza. □

Piotr Marek Stański

Bracia Mokłowscy: Kazimierz i Tadeusz

Obydwaj byli z wykształcenia architektami. Przyszli na świat w rodzinie Mieczysława Mokłowskiego, poety i uczestnika Powstania Styczniowego, ożenionego z Zofią Pogorską. Miał z nią jeszcze troje innych dzieci: syna Juliusza, skrzypka Filharmonii Warszawskiej, oraz dwie córki – Olę i Zofię, po mężu Rossowską.

Kazimierz urodził się w Kosowie 17 lipca 1869, a Tadeusz 30 października 1878. Pierwszy do gimnazjum uczęszczał w Stanisławowie, gdzie w 1889 roku zdał maturę. Drugi dekadę później. Studia Kazimierz Mokłowski rozpoczął na Politechnice Lwowskiej, ale z przyczyn politycznych zmuszony był przenosić się do Zurychu, Berlina i Dreżna, by je ostatecznie ukończyć na uczelni monachijskiej. Początkowo praktykował jako architekt w Szwajcarii, Niemczech i Kongresówce. W 1897 roku zamieszkał we Lwowie, wraz z żoną Zofią, z domu Hiszpańską. Jego największym dokonaniem architektonicznym stał się szpital izraelicki im. Lazarsa przy ul. Rappaporta 8, wzniesiony w oryginalnym stylu mauretańskim, z dominującą pośrodku kopułą, stanowiącą wyróżniający się akcent w panoramie miasta, oglądanej z Kopca Unii Lubelskiej. Związany z niepodległościowym ruchem socjalistycznym, wskutek choroby, która w 1900 roku pozbawiła go lewej nogi, jak napisze „Gazeta Narodowa” z 16 maja 1905 – „Zarzucał agitację socjalistyczną i oddał się zupełnie pracy naukowej, zdobywając uznanie całego społeczeństwa.”. W 1903 roku, nakładem księgarni Altenberga, ukazała się zadedykowana żonie, fundamentalna i

pionierska monografia jego autorstwa – „Sztuka ludowa w Polsce”. Zdjęcia i część rysunków wykonał do niej Tadeusz, który pomagał starszemu bratu przy zbieraniu materiałów, a oprócz tego prowadził własne biuro budowlane przy ulicy Senatorskiej, późniejszej Paderewskiego. Wspomniana praca uhonorowana została nagrodą przez krakowską Akademię Umiejętności, która przyznała ponadto stypendium na prowadzenie dalszych badań w tym zakresie. Według „Kuriera Lwowskiego” z 15 maja 1905 „w resztkach i zabytkach budownictwa i zdobnictwa drzewnego odnajdywał ślady stylu narodowego”. Do wzorców tych nawiązał w zaprojektowanej przez siebie bramie wjazdowej do słynnego Zakładu Przyrodoleczniczego doktora Apolinarego Tarnawskiego w Kosowie. Z kolei daleko idąca zbieżność poglądów w tym względzie ze Stanisławem Witkiewiczem sprawi, że zainteresuje się propagowanym przez tamtego „stylem zakopiańskim”. Będzie starał się nawet przeszczyć go na grunt miejskiego budownictwa czynszowego (kamienice przy ul. Piekarskiej nr 38 i 40). Stąd po jego śmierci Marian Olszewski w „Słowie Polskim” z 15 maja 1905 napisze: „Niechybnie marzeniem Mokłowskiego było widzieć obraz miast polskich o jakimś odrębnym, niewidzianym nigdzie indziej charakterze. Pragnął forsownego kształtowania odrębnej kultury polskiej.”. Tego rodzaju założenia przyświecały też prowadzonym przezeń pracom konserwatorskim m. in. podczas restauracji kościoła w Dobromilu oraz pałacu książęcej Lubomirskiej w Czerwonogrodzie koło Zalesz-

czyk. Ponadto rozwijał szeroką działalność popularyzatorską, publikując w „Tygodniu”, dodatku do „Kuriera Lwowskiego”, liczne artykuły i recenzje z dziedziny etnografii i historii sztuki, a także wygłaszając odczyty i wykłady w ramach Uniwersytetu Ludowego im. Adama Mickiewicza we Lwowie (m. in. w marcu 1902) oraz na uniwersytecie wakacyjnym w Zakopanem (sierpień 1904). Jedną z ostatnich jego inicjatyw był projekt przebudowy Baszty Prochowej na Wałach Gubernatorskich z myślą urządzenia tam miejskiego Archiwum oraz Muzeum Historycznego. Niebawem miał też objąć stanowisko dyrektora budownictwa miejskiego po zmarłym Juliuszu Hochbergerze.

W okresie Bożego Narodzenia 1904 otrzymał zamówienie na zaprojektowanie dworu pod Stanisławowem. W czasie wyjazdu nabawił się infekcji, po której wywiązały się kolejne powikłania (zapalenia: nerek, opłucnej, płuc i osierdza), doprowadzając do kompletnej prostracji stosunkowo młodego i odpornego organizmu. Kazimierz Mokłowski zmarł o godzinie 3 nad ranem 14 maja 1905 we Lwowie. Według „Kuriera Lwowskiego”, który ukazał się nazajutrz: „Jeszcze w ostatnich chwilach prosił, aby go pochowano bez ostentacji, bez wieńców, bez mów pogrzebowych. Sam szedł przez życie, sam łamał trudności i twierdząc ciemnoty, sam też chce odejść w ciszy i pokoju na wieczny spoczynek, po życiu krótkim a dobrym, wielkim i górnym.”. Przypomniała o tym również rodzina w nekrologu, zamieszczonym 16 maja na łamach „Słowa Polskiego”. Niestety, nie uszanowano ostatniej woli zmarłego. Zgodnie z miejscowym obyczajem, 16 maja po południu, z balkonu w miejscu zamieszkania przy ul. Miłkowskiego 11 przemówił Józef Hudec, na rzecz którego Kazimierz Mokłowski zrezygnował swego czasu z ubiegania się o mandat poselski. Następnie w drodze na cmentarz Ły-

czakowski kondukt żałobny przemierzył ulice Kochanowskiego, Batorego, plac Bernardyński i Piekarską, przy której znajdowały się zaprojektowane przez zmarłego budynki. Przez cały czas trumnę nieśli na swych ramionach współpracownicy i przyjaciele. Nad grobem przemówienie wygłosił poseł Ignacy Daszyński. W sprawozdaniu z uroczystości, opublikowanym w wydaniu porannym „Słowa Polskiego” z 17 maja, można było przeczytać: „W pogrzebie wzięły udział tłumy publiczności ze wszystkich sfer miasta.”. Poprzedniego dnia Towarzystwo „Bratniej Pomocy” oraz Związek Studentów Architektury postanowiły ufundować naukowe stypendium im. K. Mokłowskiego dla słuchaczy tego kierunku. Poza tym w przedwojennym Lwowie upamiętniająca go ulica biegła pomiędzy Lubieńską i Kulparowską (dziś Teofila Kopystyńskiego, ukraińskiego malarza cerkiewnego i portrecisty z przełomu XIX i XX wieku, m. in. twórcy podobizny legendarnej Halszki Ostrojskiej).

Syn Kazimierza – Bohdan – był oficerem Wojska Polskiego i poległ w wieku 39 lat pod Kutnem, podczas Kampanii Wrześniowej. Z wojskiem związał swe życie także brat Tadeusz, dochodząc do stopnia podpułkownika. W czasie I wojny światowej służył w II Brygadzie Legionów, dowodzonej przez Józefa Hallera. W okresie niepodległości skierowano go do formacji chemicznych, w których dokonał kilku znaczących wynalazków, m. in. prochu odpornego na działanie wilgoci. Ze Lwowa przeniesiony zostaje do Wilna, a następnie Warszawy, gdzie zostaje go okupacja. Traci wtedy w eksplozji lewą rękę i trafia do oflagu w bawarskim Murnau. Po wyzwoleniu przez armię amerykańską pozostaje na obczyźnie. Zamieszkuje w Domu Polskim w Penrhos w Północnej Walii. Opatentowuje kolejne wynalazki. Umiera 22 kwietnia 1956 w Polskim Szpitalu w Penley, a pochowany zostaje na cmentarzu w pobliskim Wrexham. □

† Z ŻAŁOBNEJ KARTY

Śp. Jacek Dębicki (1931-2002)



W dniu 20 września 2002 r. odszedł od nas były prezes i niestrudzony działacz Kieleckiego Oddziału TMLiKPW odznaczony Złotą Odznaką Towarzystwa.

Lekarz medycyny ur. 09. 03. 1931 r. we Lwowie w rodzinie inteligenckiej. Ojca stracił mając zaledwie 6 lat.

W 1941 r. po wkroczeniu wojsk sowieckich do Lwowa ukrywał się wraz z matką na wsi w leśniczówce w obawie przed wywiezieniem na Syberię. Do Lwowa powrócił po wkroczeniu Niemców. W 1944 r. opuścił Lwów na zawsze i wyjechał z matką do zaprzyjaźnionej rodziny do Zakopanego. Tam ukończył szkołę podstawową, a w 1945 r. podobnie jak wielu mieszkańców byłych Kresów Wschodnich wyjechał na Ziemię Odzyskaną.

W 1950 r. zdał egzamin dojrzałości i podjął studia na Śląskiej Akademii Medycznej w Zabrze.

Po otrzymaniu dyplomu w 1957 r. podjął pracę w woj. kieleckim. Początkowo jako kierownik Ośrodka Zdrowia w Lelowie, następnie kierownik Wydziału Zdrowia we

Włoszczowie, a od 1971 r. do 1983 r. sprawował funkcję dyrektora Wojewódzkiego Szpitala Zespołowego na Czarnowie w Kielcach.

Do ostatnich swych dni był czynny zawodowo pracując w Lekarskiej Specjalistycznej Spółdzielni Pracy w Kielcach.

W latach swej działalności zawodowej zyskał I i II stopień specjalizacji z zakresu medycyny ogólnej, I stopień specjalizacji z zakresu ginekologii i położnictwa oraz I i II stopień specjalizacji z organizacji i zarządzania służbą zdrowia.

Pełnił też wiele funkcji społecznych. Choć całe życie tęsknił za Lwowem, gdzie pozostawił dom rodziny, groby ojca i dziadków, ukochał Ziemię Świętokrzyską, dla której pracował przez całe zawodowe życie.

Z głębokim żalem pożegnaliśmy naszego wspaniałego Kolegę w dniu 26 września 2002 r. na cmentarzu komunalnym w Kielcach grudką ziemi z Cmentarza Łyczakowskiego we Lwowie, gdzie spoczywa Jego ojciec.

*Dobry Jezu a nasz Panie
daj mu wieczne spoczywanie.*

Rodzina, Zarząd i członkowie
Kieleckiego Oddziału Towarzystwa
Miłośników Lwowa i Kresów
Południowo-Wschodnich.



Śp. Zdzisław Naja (1925-2002)

Współzałożyciel i długoletni Prezes ostatnio Viceprezes Oddziału w Szczecinku. Urodził się w Gedlarowej, woj. lwowskie, 7 maja 1925. Po wojnie zamieszkał w Szczecinku, gdzie pracował jako architekt powiatowy w Prezydium Powiatowej Rady Narodowej. Do końca życia uczył w szkołach średnich historii architektury, projektowania i planowania przestrzennego. Wspaniały rysownik, zakochany we Lwowie. Wykonywał wiele rysunków do Kalendarzy Lwowskich i cegiełek przeznaczonych na cele charytatywne i odbudowę Cmentarza Orląt. Zmarł nagle 10 września 2002 przy katedrze profesorskiej, wśród swoich ukochanych uczniów.



Śp. Tadeusz Lewicki (1928-2002)

Inicjator i założyciel Oddziału TML w Szczecinku. Pierwszy Prezes Oddziału, ostatnio kronikarz. Urodził się w Rawie Ruskiej 11 marca 1928. Geodeta, pracował w Biurze Urządzania Lasu, później jako miejski geodeta w Urzędzie Miasta w Szczecinku. Harcmistrz Rze-

czypospolitej, bardzo aktywny działacz Harcerstwa, organizator Kręgu Instruktorów Harcerstwa i Harcerskiej Fundacji Pomocy Dzieciom. Wspaniały pomysłodawca i organizator wielu przedsięwzięć w naszym Oddziale. Zmarł 7 października 2002.

Śp. Zbigniew Stójkiewicz (1931-2001)



Urodził się w Stryju 14 września 1931, przez wiele lat mieszkał we Lwowie. Pracownik administracyjny. Jego wielkim życiowym hobby była fotografia i film. Uwieczniał na kasetach wideo wszystkie większe i mniejsze wydarzenia w naszym Oddziale i wykonywał zdjęcia do Kroniki. Zmarł 20 listopada 2001.

Odejście nieodżałowanych naszych Kolegów pozostawiło wielki żal w naszych sercach i wytworzyło wielką pustkę w naszym Oddziale. W tym, co robili, byli zawsze perfekcyjni i nie do zastąpienia. Łączyło nas z nimi ukochanie Lwowa i Kresów. Tacy na zawsze pozostaną w naszej pamięci.

Wieczne odpoczywnie racz Im dać Panie!

Zarząd i członkowie Oddziału TMLiKPW
w Szczecinku

Wspomnienie o profesorze dr. hab. Stanie Schellerze (1928-2002)



W dniu 15 kwietnia 2002 roku zmarł w wieku 74 lat profesor dr hab. Stan Scheller, emerytowany profesor zwyczajny nauk medycznych, mikrobiolog i immunolog, wieloletni kierownik Katedry i Zakładu Mikrobiologii i Immunologii Wydziału Lekarskiego w Zabrze Śląskiej Akademii Medycznej w Katowicach. Społeczność akademicka przyjęła wiadomość o Jego zgonie z głębokim smutkiem i żalem.

Profesor S. Scheller urodził się dnia 7 stycznia 1928 roku we Lwowie jako syn Elżbiety z d. Stasiak i Józefa, Obrońcy Lwowa i uczestnika wojny polsko-bolszewickiej. Okres dzieciństwa spędził we Lwowie w domu rodzinnym przy ulicy Kętrzyńskiej. W roku 1935 rozpoczął swoją edukację w szkole im. HENRYKA SIENKIEWICZA. W 1942 roku uczęszczał do średniej szkoły handlowej. W 1944 roku wraz z rodzicami wyjechał do Warszawy. W latach 1945-46 uczęszczał do Gimnazjum Ogólnokształcącego w Grójcu, a od 1946 roku kontynuował naukę w Liceum Ogólnokształcącym we Wrocławiu, uzyskując w 1947 r. świadectwo

dojrzałości. W październiku tego roku rozpoczął studia na UNIWERSYTECIE WROCŁAWSKIM.

W 1950 roku będąc jeszcze studentem rozpoczął pracę w charakterze młodszego asystenta u profesora Ludwika Hirszfelda w Zakładzie Mikrobiologii Lekarskiej AM we Wrocławiu (1950-53).

Dyplom ukończenia studiów uzyskał w 1953 roku. Pod koniec tegoż roku, ze względów zdrowotnych przeniósł się do Zakopanego, gdzie podjął pracę w Laboratorium Zespołu Sanatoriów Przeciwgruźliczych, na stanowisku asystenta. Do roku 1960 pracuje w Dziecięcym Ośrodku Sanatoryjno-Prewencyjnym w Rabce, gdzie organizuje diagnostykę bakteriologiczną oraz transfuzjologię i tamże kieruje Centralnym Laboratorium. W tym okresie był też zatrudniony w Dziecięcym Ośrodku Sanatoryjno-Prewencyjnym w Zakopanem, w którym zorganizował i uruchomił transfuzjologię. Krótką przerwę w pobycie na terenie Podhala (1956-57) spędził we Wrocławiu, gdzie w Zakładzie Badań nad Leptospirozą, pod kierunkiem profesora Józefa Zwierza, wykonał pracę doktorską pt. „Wpływ aminokwasów na wzrost *Lictheaemorrhagiae*” i obronił ją w styczniu 1961 roku.

Od dnia 1 stycznia 1960 roku rozpoczął pracę w Katedrze Mikrobiologii SAM w Zabrze-Rokitnicy na stanowisku starszego asystenta (1960-62), adiunkta

(1962-71), docenta (1971-85), profesora nadzwyczajnego (1985-97) i profesora zwyczajnego (1997-98). Prowadząc badania nad gruźlicą przedstawił rozprawę habilitacyjną pt. „Badania nad opornością w gruźlicy metodą hodowli komórek *in vitro*”, na podstawie której, uchwałą Rady Wydziału ŚAM (11 XII 1968), uzyskał stopień doktora habilitowanego nauk medycznych w zakresie mikrobiologii, a w maju 1971 został mianowany na stanowisko docenta.

W dniu 1 X 1976 został mianowany kierownikiem Katedry Mikrobiologii ŚAM i funkcję tę pełnił do czasu przejścia na emeryturę tj. do dnia 1 października 1998 r. Tytuł profesora nadzwyczajnego otrzymał w dniu 16 października 1985, a stanowisko profesora zwyczajnego w 1997 roku.

Trzydziestoletnia działalność dydaktyczna profesora S. Schellera w ŚAM, rozpoczęta 1 stycznia, a zakończona 1 października 1998 r., wiązała się ze stałą modernizacją dydaktyki, do której wprowadzał aktualne zdobycze nauki zarówno do problematyki wykładowej jak i ćwiczeniowej.

W 1972 roku wydał skrypt pt. „Mikrobiologia ogólna dla studentów stomatologii”, współredagował „Przewodnik do ćwiczeń” wydany w 1970 roku (red. J. Szaflarski), był redaktorem zbiorowej pracy pt. „Materiały pomocnicze do egzaminu testowego z mikrobiologii i immunologii” (1994).

Działalność naukową profesora Schellera cechuje podejmowanie kierunków badań aktualnych o wysokiej randze naukowej.

Działalność tę profesor Scheller rozpoczął jeszcze na studiach, w Katedrze Mikrobiologii Lekarskiej AM we Wrocławiu (1950).

– Wraz z R. Mycielskim pracował nad patologią ciąży na modelu zwierzęcym (psy). Spostrzeżenie to było w ówczesnym czasie istotnym novum w immunologii, pierwsi opisali chorobę hemolityczną u psich noworodków.

– Na komórkach hodowlanych *in vitro* przeprowadzał badania zjawisk związanych z zakażeniem gruźliczym, wykazując różnicowanie stopnia odporności komórek zależnie od immunizacji użytymi zwierzętami.

– W 1966 roku zawiesił prowadzone badania nad gruźlicą, podejmując badania nad propolisem. Opracował metodę wprowadzenia hydrofobowych etanolowych ekstraktów propolisu (EEP) (nazwa ekstraktu, która została przyjęta w piśmiennictwie światowym) do roztworów wodnych, co umożliwiło badania ich biologicznych właściwości. Wykazał w nich obecność 19 pierwiastków. Udowodnił ich bakteriobójcze działanie na bakterie Gram-dodatnie, zjadliwe prątki gruźlicy i niektóre pierwotniaki. Stwierdził aktywizację procesów metabolicznych komórek hodowanych *in vitro* oraz regenerację tkanek uszkodzonych doświadczalnie (kość, chrząstka, miazga zębowa) lub zmienionych chorobowo (owrzodzenia troficzne, odleżyny, owrzodzenia popromienne). Wykazał antyutleniające działanie EEP, jego zdolność zmiatania wolnych rodników, właściwości radioprotekcyjne i immunostymulacyjne. Wykazał hamowanie rozwoju raka Ehrlicha u myszy.

– Wprowadził do diagnostyki monitoring odporności miejscowej (jama ustna) i układowej (krew) w stanach patologii (choroba alkoholowa, choroba reumatyczna, przewlekłe zapalenie oskrzeli) oraz w stanach narażenia na działanie szkodliwych fizykalnych i chemicznych czynników przemysłowych występujących w kopal-

niach, hutach i koksowniach. W związku z tymi pracami uczestniczył w realizacji wielu centralnych i resortowych programów badawczych, zwykle kierując ich wykonaniem.

Wyniki badań profesora S. Schellera publikowane są w ponad 140 publikacjach, spośród których około 90 to oryginalne prace doświadczalne, z czego 49 ogłoszono za granicą (Niemcy, Anglia, Austria, Irlandia, Indie, Włochy, USA), zwykle w czasopiśmie mających wysoki Impact Factor, oraz referatów ze zjazdów krajowych i zagranicznych (ZSRR, Czechosłowacja, Izrael, Szwecja, Słowacja, Japonia).

Był twórcą 3 patentów i 1 wzoru użytkowego. Promował 14 doktorantów i był opiekunem 2 habilitacji. Recenzował około 20 prac doktorskich, kilka habilitacyjnych oraz dorobku naukowego na tytuł profesora. Był recenzentem kilkunastu prac doświadczalnych dla czasopism zagranicznych.

Profesor S. Scheller zorganizował Śląski Oddział Polskiego Towarzystwa Mikrobiologów, któremu przewodniczył w latach 1974-1986.

W latach 60-tych działał aktywnie w Związkach Zawodowych Służby Zdrowia. W latach 80-tych był członkiem Klubu Inteligencji Katolickiej w Katowicach oraz Towarzystwa Schweitzerowskiego w Krakowie.

Pod koniec swej działalności zawodowej profesor S. Scheller pozostał członkiem następujących Towarzystw Naukowych:

Polskie Towarzystwo Immunologii Doświadczalnej i Eksperymentalnej od 1974,
Polskie Towarzystwo Mikrobiologów od 1974,
New York Academy of Science Od 1995,
Japanese Cancer Association od 1996,
National Geographic Society od 1996.

Uchonorowany:

Medalem i dyplomem „Złata Vcela”, Słowacki Związek Pszczelarski łącznie ze Słowacką Akademią Nauk (1974) oraz wpisem do:

Marquis Who's Who in Science and Engineering (1996/1997) (USA),
Marquis Who's Who in the World (1997) (USA),
The International Directory of Distinguished Leadership, American Biographical Institute (1998) (USA),
2000 Outstanding People of the 20-th Century (1998), Cambridge (England).

Otrzymał kilkanaście nagród JM Rektora za osiągnięcia naukowe I i II stopnia.

Z działalności pozanaukowej profesora S. Schellera należy wymienić publikacje małych form (aforyzmy) i artykuły publicystyczne w „Gazecie Wyborczej”, „Przekroju”, „Tygodniku Powszechnym” i „Polityce”.

Pod koniec życia Profesora odezwała się w Nim ogromna nostalgia za na zawsze utraconą Ojczyzną – Lwowem. Częściowo uczucie to zdążył wyrazić w cyklu artykułów wspomnieniowych publikowanych na łamach *Semper Fidelis*.

W tym czasie aktywnie współpracował z Towarzystwem Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w Zabrzu.

Nigdy nie wrócił do Lwowa. Jego wspomnienia nie zostały skażone obrazem utraconej i zmienionej Ojczyzny, której zawsze był wierny.

Uroczystość pogrzebowa odbyła się w dniu 19 kwietnia 2002 roku na cmentarzu kościoła parafialnego św. Józefa Robotnika w Tarnowskich Górach przy ul. Ks. Kardynała Wyszyńskiego.

Pozostawił żonę, córkę i dwóch synów. □

Lista Ofiarodawców za miesiące X-XI 2002 r.

1. Józef Gałązka, Wrocław 20.-	12. Mieczysław Wastalski, Anglia pomoc świąt. 122,20
2. Janina Blum, Wrocław 60.-	13. Witold Gaca, Wrocław, pomoc świąt. 200.-
3. Kazimierz Berezowski, Tułowice, Szkoła w Stanisławowie 40.-	14. Julia Kiszokiewicz, Wrocław, pomoc świąt. 50.-
4. Kazimierz Hrynyk, Gdańsk 100.-	15. Zbigniew Kwaśny, Wrocław, pomoc świąt. 200.-
5. Adam Nikorowicz, Dębica, Cm. Orl. Lw. 20.-	16. TMLiKPW Gniezno, kwesta na Cm. Orl. Lw. 788.-
6. Andrzej Malina, Warszawa 200.-	17. TMLiKPW Nysa, kwesta na Cm. Orl. Lw. ... 3100.-
7. Tadeusz Tomkiewicz, Poznań 30.-	18. Wanda Stojanowska, Wrocław, pomoc świąt. 100.-
8. Marian Letki, Wrocław, dla dzieci z Kresów 50.-	19. Dr T. Z. Błażyński, Anglia, pomoc świąt. 120.-
9. Jan Stojanowski, Lublin, pomoc świąt. 50.-	
10. Władysław Mikułowicz, pomoc na Wsch. 100.-	
11. Joanna Domaszewska, Wrocław, pomoc świąt. 50.-	

Wszystkim Szanownym Ofiarodawcom składamy najserdeczniejsze podziękowania.

Contents

J. Masior – "To the Christmas midnight mass" – a poem	1
D. Śliwińska – Christmas – the Family Feast	1
B. Kopyt – Andrzej Przewoźnik – the devoted guard of national memory	4
Z. Berling – Premier's visit to meeting of the Kołomyja Poles	6
Z. Małyszczyczy – Don't let us belittle the Ukrainian menace! On the anti-Polish resolution of the Organization of Ukrainian Nationalists	7
J. A. Hotała – Hugon Steinhaus – the founder of Lwów and Wrocław mathematical school	8
S. Kowalińska – Recollection of the late rev. Janusz Popławski	9
M. Hemar – "The Lwów stanzas" – a poem	11
M. Białokur – Publicist and political Joachim Bartoszewicz's years in Lwów	11
A. M. Dancewicz – The story of Chodorów – vicissitudes of the town and its inhabitants (cont.)	14
A. Cieplewicz – Reception of Polish youth from Ukraine in Warsaw	19
M. Kowal – On the L. Radłowski Foundation for help to Polish Children in Ukraine	20
Z. Umański – Bordeland Diary	22
J. J. Szewczyński – The 63rd anniversary of Polish Underground State at Elbląg	25
P. Franków – Regaining of Polish independence and defence of Polish Lwów in 1918	27
N. Koczan – Appendix to the problem of Polish-Ukrainian understanding and reconciliation. Ecclesiastical plane (II)	29
P. Franków – The victims of Ukrainian murders should never be forgotten!	32
T. Łodziana – Recollection of the State Fine Arts Institute in Lwów in the years 1937-1943	33
B. Nagay – A recollection of Adam Węgier, Head of the Kordecki school in Lwów during the second Soviet occupation	38
E. J. Błaszczak – The story of a plain Lady's umbrella	39
M. Świetlicka – Heart-written recollection of my family's residence now beyond the border	39
J. Masior – 55 Łyczakowska St – the home of Zbigniew Herbert, one of the most eminent Polish poets	41
J. Masior – Łyczakowskie – the most beautiful quarter in the city of Lwów	41
D. Nespiak – Lwów in the queer view of Mr Jacek Kuroń	44
A. Janicki – Report of the Tarnopol Poles' Meeting at Żary	46
D. Koziołowa – Prof. Rudolf Weigl's activity in Lwów during the German occupation	47
I. Martynowicz – Recollections of clandestine teaching at Złoczów during the German occupation	48
P. M. Stański – The Mokłowsky brothers: Kazimierz and Tadeusz	49
OBITUARY COLUMN	
Obituary note on the late Jacek Dębicki	50
Obituaries of the late Zdzisław Naja, Tadeusz Lewicki and Zbigniew Stójkiewicz	51
Recollection of the late Prof. dr Stan Scheller	51



*Między Odrą a Pełtwią
 Między Pełtwią a Rzymem
 Postuchajcie mnie mili
 Ja pozdrawiam Was rymem
 Jeszcze chwila – godzina
 Przyjdzie Święta Wigilia
 A w Wigilię – choinka
 Jeszcze chwila – godzinka
 Usiądziemy przy stole
 Barszcz czerwony z uszkami
 W ręce biały opłatek
 Boże Dziecię jest z nami
 Na pożytek ludzkości
 Zabrzmi lwowska kolęda
 Więc przytulcie do serca
 Wszystkich na te święta.*

(Andrzej Bartyński)

Od Wydawcy

W mijającym roku Fundacja Kresowa „Semper Fidelis” objęła pomocą charytatywną wiele miejscowości zamieszkałych przez Rodaków na Ukrainie. Nie mając własnego transportu do przewiezienia lekarstw, odzieży, pościeli, podręczników i słodyczy, przekazywaliśmy je przez wycieczki i pielgrzymki, które organizowały wrocławskie kluby i oddziały TMLiKPW. Dzięki nim nasza pomoc dotarła do Kołomyi i Stanisławowa, Drohobycza i Sądowej Wiszni, Złoczowa, Czortkowa i Budzanowa. A dzięki lwowskim siostron zakonnym pomoc otrzymali także mieszkańcy Fastowa i Lwowa.

Przed samymi świętami Bożego Narodzenia przedstawiciel naszej Fundacji przekaze skromną, niestety, sumę osobom najstarszym i najbardziej potrzebującym pomocy, aby te najbardziej

rodzinne święta mogli spędzić godnie w gronie najbliższych.

Informujemy naszych Czytelników o możliwości nabycia KALENDARZA LWOWSKIEGO 2003 w cenie 7 zł + porto.

Młodzieży biorącej udział w Ogólnopolskim Konkursie Wiedzy o Lwowie i Kresach przypominamy, że 28 lutego 2003 r. mija termin przysyłania prac na wybrany przez siebie temat.

W poprzednim numerze „SF” wkraść się błąd do informacji o naszej stronie internetowej, którą mamy dzięki wrocławskiemu „Ossolineum”. Przepraszamy. Znajdziecie ją Państwo pod: www.oss.wrocl.pl/semperfidelis.

Krystyna Karbownik
Dyrektor Fundacji

Wydawca:

Fundacja Kresowa „Semper Fidelis” 50-079 Wrocław, ul. Rуска 32/33, tel./fax (071) 344 88 93. Zarząd: KRISTYNA KARBOWNIK – dyrektor, MAŁGORZATA ORZEŁ – z-ca dyrektora, JERZY TANDECKI – sekretarz, ZBIGNIEW UMANSKI JAN ZIEMICKI – prezes, ANDRZEJ KAMINSKI – v-ce prezes, DANUTA NESPIAK, WIESŁAWA JELEŃSKA-HOMBEK, DANUTA TABIŃSKA-JUHASZ, JAN AKIELASZEK, HENRYK STANIUK, LESZEK SAWICKI

Rada Fundatorów:

Konto bankowe Fundacji Kresowej „SF”:

PKO-BP IV O/Wrocław Nr 10205255-10012-270-1-111.